



tomasz mróz

fabryka

wtórów

RW2010

TOMASZ MRÓZ
FABRYKA WTÓRÓW

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta Natalia Szczepkowska

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Tomasz Mróz 2013

Okładka Copyright © Tomasz Mróz 2013

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-015-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Spis treści

Daleko, daleko stąd.	4
Krzysztof.	13
Wielka susza i głód wiedzy.	20
Krzysztof. Porwanie.	27
Mądre pytania.	34
Światała nie pęka.	38
Angielski to podstawa.	41
Taś, taś, teren zastrzeżony.	46
Nieznane ziemie i nowe doświadczenia.	56
Czoło diabła.	66
Chirurdzy.	74
Śledztwo.	82
Mietek.	104
Ucieczka z instytutu.	112
Śledztwa ciąg dalszy.	119
Wyrok.	132
Wycieczka cztery piętra w dół.	137
Mumie i sobowtóry.	144
Dwóch.	153
Przekłęci performersi i delirium tremens.	170
Szpital.	174
Wykopowa rewolucja.	183
Srebrna poświata.	191
Wszystko jak dawniej.	205

Daleko, daleko stąd...

W roku 1582 kozacka wyprawa pod dowództwem Jermaka Timofiejewicza starła się z siłami Chanatu Syberyjskiego – resztką dawnej chwały Złotej Ordy. Był to początek wielkiej ekspansji Rosji, zwanej podówczas Wielkim Księstwem Moskiewskim, na obszary za Uralem. Zdobywanie kolejnych terenów – choć obciążone bagażem licznych konfliktów z Chinami i sprzeczne z brytyjskimi dążeniami na obszarach dzisiejszego Afganistanu – przyniosło Rosji wielkie bogactwa naturalne, przestrzeń i świeże powietrze, którego na pustyniach, w lasach i tundrach Wschodu nie brakowało. Przyniosło również kontakt z wieloma nowymi ludami i kulturami, jakże obcymi prozachodnim carom, dla których wzorem był niemiecki porządek i włoska architektura. Jedno, czego Rosja nie zdobyła, to ludzie. Pustawa europejska część wielkiego państwa przyłączyła do siebie zupełnie wyludnioną ziemię w Azji. A wszelkie wojny, których to wielkie państwo nigdy nie unikało, wymagały wielu żołnierzy i każdy nowy władca Rosji usilnie starał się wspierać armię, tak aby nigdy nie zabrakło jej rekruta.

Czas zdobywania Syberii to czas konfrontacji z nieznanym, wchłaniania do społeczeństwa skośnookich tubylców wraz z ich pogaństwem i całkowicie nieeuropejskim stylem życia. Wraz z nimi pojawiły się liczne legendy o demonach na syberyjskich bagniskach, o duchach dawnych mieszkańców Sybiru i wiele, wiele innych. Jedną z silniej zakorzenionych legend była opowieść o stworze, który żyjąc w zagubionych lasach, przedostaje się do siedlisk ludzkich i porywa mieszkańców, skazując nieszczęśników na wieczną służbę u siebie; dodatkowo demon ten umie ich zakląć tak, że z jednego człowieka powstaje wielu. Korzysta on z żywej osoby, której część daje każdemu z powielonych stworzeń, tak że po wiekach rozwoju władca zagubioną gdzieś na północnych pustkowiach armią całkowicie oddanych, stworzonych przez siebie sług. Z ust do ust krążyła również pogłoska, że armia ta

niegdyś – za cenę życia tysięcy ludzi oddawanych w wieczną niewolę – służyła Tatarom w ich podbojach. Takie plotki krążyły i niewielu w nie wierzyło, ale zimne długie wieczory sprzyjały pogwarkom przy szklance wódki, gdzie mniej zważano na fakty, a bardziej na rozrywkową stronę tych informacji. Początkowo podbój Syberii był przede wszystkim zasługą kupców, którzy widząc możliwości rozwoju handlu i pozyskiwania cennych towarów, finansowali kolejne wyprawy, poczynając od tej pierwszej, pod dowództwem Jermaka Timofiejewicza, poprzez kolejne, eksplorujące coraz to nowe tereny, hen daleko za Bajkał.

Jedna z takich wypraw w pierwszej połowie XIX wieku nigdy nie wróciła. Był to dość późny okres eksploracji Syberii, międzynarodowa sytuacja powoli dojrzewiała do zaakceptowania granic Rosji na Amurze i Ussuri, dlatego nie uznawano już tych ziem za zupełnie obce i wrogie – rozpoczęto poszukiwania. Jednakże żadna z dwóch wypraw ratunkowych nie dała rezultatów, ślad po kilkusetosobowej grupie zaginął. Co ciekawe, natrafiono na opuszczone obozowisko tamtych: rozbite namioty, przewrócony kocioł na jedzenie nad śladami wygasłego ogniska, ogryziony doszczętnie przez wilki szkielet konia przywiązanego za mocno do drzewa. Wszelkie znaki wskazywały, że grupa została zaskoczona atakiem podczas postoju i zniknęła bez oznak walki lub grabieży. Nie znaleziono też żadnego ciała. Po kilkunastu miesiącach sprawę zakończono i raport wylądował na biurku tamtejszego gubernatora, który standardową drogą zaraportował go dalej, do Moskwy. Informacja wylądowała w jednej z tysięcy teczek jednego z wielu ministerstw.

Po dalszych kilkunastu miesiącach na tym samym gubernatorskim biurku wylądowała notatka o odnalezieniu w jednej z jakuckich osad białego człowieka, który jest prawdopodobnie członkiem zagubionej wyprawy. Znaleziony sprawiał wrażenie pozbawionego rozumu, nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, jak się nazywa ani skąd pochodzi. Miejscowi powiedzieli, że się po prostu wyłonił pewnego dnia z lasu. Był do cna wyczerpany, tak że ledwo go odratowali. Jakuci uważają

pomoc innym w potrzebie za rzecz normalną; biały został w ich wiosce, zamieszkał kątem u jednej z rodzin, pomagając im w polowaniu i w jurcie.

Chaotycznie wyrzucane słowa, opisy, nazwiska, poskładane w całość, dały informację, że jest to z wysokim prawdopodobieństwem uczestnik feralnej wyprawy. Wiele razy powtarzał również słowo *ijunghan* co po chińsku oznacza tyle co „wieczny”. Człowiek ten został przewieziony do miasta gubernialnego, gdzie oddany do szpitala wegetował marnie, nawiedzany co jakiś czas przez urzędników różnego szczebla, mających za zadanie wydobyć z niego informacje na tematy związane z reprezentowanym przez nich urzędem. Rozbitek z syberyjskiej wyprawy nie wyzdrowiał, żadnej informacji się z niego wycisnąć nie dało, oprócz bezładnych zlepków słów. I nie pomagały ani zimne kąpiele, ani ostre wymioty spowodowane wywarem z piołunu i arcydzięgiela, nie pomogło również odczynianie miejscowego popa i wielogodzinna lektura Biblii. Notatki lądowały w teczkach i skoroszytach, standardowe raporty wędrowały do Moskwy. Świat się starzał, a tajemnica pozostawała nierozwikłana.

Pewnego dnia, wiele lat po opisanych wydarzeniach, trzęsąc się na wybojach drogi, która jedynie w niektóre pory roku była przejezdna, na majdan gubernialnego miasta wtoczył się powóz. Z jego wnętrza, wraz kupcami i rzemieślnikami, typowymi dla tego środka lokomocji podróżnymi, wysiadł elegancko ubrany człowiek. Wziął swoje walizy i gwizdnął na bagażowego z wózkiem. Tragarz załadował ciężary i potruchtał za elegantem, szybko oddalającym się w kierunku gmachu gubernatora. Po kilku godzinach przyjezdny opuścił budynek tylnym wyjściem, bez większych bagaży, jedynie z małą torbą na ramieniu i z zawiniętym w rulon oficjalnym dokumentem podpisanym przez samego gubernatora.

W powietrzu wirowały pierwsze w tym roku płatki śniegu, zacierając wspomnienia krótkiego, bzycającego komarami lata. Powoli bieleły kopuły cerkwi,

podjazd pałacu gubernatora, krzywe drewniane chatynki ze skrzypiącymi okiennicami; białął również dach szpitala. Krzywy napis *Больница*, wiszący nad odrapanymi drzwiami, wydawał się w tym piękniejącym z minuty na minutę otoczeniu trochę mniej krzywy. Mężczyzna skierował się właśnie do tych drzwi; nacisnął klamkę i po kilku minutach stanął przed marsowym obliczem ordynatora, który po raz kolejny czytał gubernatorski list, próbując połapać się, o co w tym wszystkim chodzi.

Z pisma wynikało, że niejaki Aliksiej Wasiliewicz Matfiejew, stojący w tym momencie przed lekarzem, ma zostać przyjęty do szpitala jako pacjent. Jednakże nie w celu wyzdrowienia, gdyż zdrowy jest jak koń, ale by posiadać ciągły kontakt z Aloszą Nieizwiestnym, jak nazywali tu ocalałego nieszczęśnika. Pan Matfiejew ma otrzymać od władz szpitala wszelką możliwą pomoc. Ordynator przenosił wzrok z kartki na uśmiechniętego człowieka i z powrotem. Przez głowę przemknęła mu myśl, że to jakaś maskarada, oszustwo. Zastanawiał się przez moment, czy nie udać się do pałacu gubernatora po wyjaśnienia. Ale po co komu kontakt z przygłupim Aloszką, co na tym zyska? Widać coś. Prośby i pytania do gubernatora lepiej zostawić sobie na stosowniejszą okazję; a nuż to coś ważnego i gubernator łaskawie spojrzy na jego sprawy. Ot, choćby kwestia kupna lasu za rzeką, ten Jefromiejew na pewno przegra proces, jeśli gubernator szepnie słówko komu trzeba. Ordynator złożył pismo; już chciał schować je do szuflady, kiedy Matfiejew, ciągle się uśmiechając, powstrzymał go krótkim, ale kategorycznym stwierdzeniem:

– List wraca do mnie.

Ordynator westchnął, a w duchu stwierdził, że może tak będzie lepiej. Po co mu jakieś półprywatne listy od wysokich rangą urzędników, tylko kłopot z tego.

– Proszę za mną do siostry przełożonej, wydamy pidżamę i prześcieradło. – Ordynator wyprowadził nowego pacjenta na korytarz i ruszyli przed siebie, odprowadzani skrzypieniem podłogi i jękami jakiegoś nieboraka.

W ciągu kilku najbliższych miesięcy Alosza i Aleksiej stali się nierozłączną parą. Początkowo nieprzychylnie nastawiony, pomylenieć stopniowo przyzwyczał się do nieodstępującego go kolegi, a następnie pokochał jak brata. Nie wiadomo, kim był przed wyprawą, jej pełen skład nie został odnotowany, a żaden z zapamiętanych członków nie pasował do Aloszy. W każdym razie po kilkunastu tygodniach jego stan zaczął się wyraźnie poprawiać. Terapia, jakiej poddał go Matfiejew, to była po prostu przyjaźń, troska i długie rozmowy. Personel szpitala z podziwem, ale i nieukrywaną zawiścią patrzył na ten sukces psychiatryczny. Wieczorami Aleksiej siedział i coś notował w dość grubej księdze; wyglądało to, jakby pisał jakieś dłuższe dzieło, którego pilnował jak żrenicy oka i nikomu nie pokazywał.

Pod koniec zimy Aleksiej zakończył swój pobyt w szpitalu. Pewnego dnia tak jak się pojawił, tak zniknął z tą swoją małą torbą na ramieniu. Jedyne przed wyjazdem długo uspokajał Aloszę, że wróci po niego, że musi wykorzystać porę przed roztopami na dotarcie do stolicy, gdzie czekały na niego ważne sprawy. Znow zniknął w pałacu gubernatora, a po kilku godzinach ubrany w elegancki strój stał na majdanie, czekając na powóz. Tym razem był pilnie obserwowany. Niepozorny człowieczek w podartym kożuszku wyszedł zaraz za nim z pałacu gubernatora. Doczekał do momentu, aż Matfiejew wsiądzie do dylizansu, a potem udał się wprost do szpitala porozmawiać z ordynatorem, który wręczył mu raport, co zresztą stało się już cotygodniowym rytuałem od momentu pojawienia się Matfiejewa. Człowiek włożył papier za pazuchę, spojrzął przeciągle na lekarza.

– Pojechał. Chwilowo nic od was nie chcemy.

Ordynator skinął głową w milczeniu. Wiele lat służby państwowej nauczyło go, by nie zadawać zbyt wielu pytań, a niepozornych ludzi z szarym błyskiem w oku i odznaką tajnej policji omijać szerokim łukiem.

– Tak, pojechał. Na pewno nie zapomnimy o waszej pomocy. Aha, pan Matfiejew wspomniał, że Alosza Nieizwiestnyj jest umierający i zaledwie godziny

dziela go od spotkania z Panem. Chętnie pomożemy w pochówku i wszelkich innych formalnościach, za kilka godzin zgłoszą się nasi ludzie.

W oczach lekarza pojawiło się na moment zdumienie; nie dalej jak dzisiaj rano widział Aloszę i wydawał się zdrowy jak nigdy dotąd. Już miał coś powiedzieć, być może zaproponować, ale ostatecznie skłonił głowę na znak, że rozumie i wykona. Po chwili drzwi trzasnęły i szpitalny korytarz opanowała cisza przerywana co jakiś czas jękami pełnymi bóleści dochodzącymi z jednej z sal.

Aliksiej Wasiliewicz Matfiejew powrócił kilka miesięcy później, jednakże był to powrót zupełnie inny od poprzedniego przyjazdu. Na główny plac wjechała niekończąca się kawalkada wozów, jeźdźców na koniach i pieszych. Pierwsze co zrobił, to skierował się do szpitala. Na dworze znów zbierały się szare chmury i krążyły pierwsze płatki śniegu, które opadając, milcząco bąbały o skutej mrozem krainie. Widać pan Matfiejew tak miał, że przywoził tu zimę.

Ordynator powitał go mało życzliwie, a na pytania odpowiadał niechętnie, często odwracając wzrok. Poinformował, że Alosza krótko po wyjeździe Matfiejewa zachorował na ostre zapalenie płuc i zmarł; został pochowany na pobliskim cmentarzyku. Jeżeli Aliksiej Wasiliewicz Matfiejew sobie życzy, to on, ordynator, sam go tam zaprowadzi, bo wie, jak Alosza był mu bliski.

Matfiejew zbyt dobrze znał ludzi, by się nie zorientować, że ordynator łże jak pies. Podziękował krótko i wyszedł przez główne drzwi tylko po to, żeby zaraz zastukać w okno po drugiej stronie budynku.

– A czego tam puka? Czego chce, obsraniec jaki? – Przez okno wychyliła się szczeciniasta gęba z bezzębny uśmiechem.

– Bywaj Iwan, to ja, Aliksiej – pozdrowił tamtego.

– Na rany jedyne, po cuś tu wrócił? Uciekaj, une już Aloszę wzięli, pewnie i ciebie szukają.

– Kto?

Iwan pokrótce opowiedział o wydarzeniach sprzed kilku miesięcy. Jak to czarny powóz podjechał pod szpital, jak wyprowadzili biednego, głupiego Aloszkę. A ten drań ordynator ani słowem nie pisnął. I odjechali, czort ich wie gdzie. Aliksiej podziękował, odwrócił się i powoli ruszył w kierunku obozowiska.

A więc to prawda. Tak jak myślał, Alosza był wysłańcem i wszelkie informacje, które miał przekazać, zostały już przekazane. Jemu. Zniknął, bo spełnił swoją misję. To znaczy również, że i na niego czekają, że go najprawdopodobniej obserwują. Rozejrzał się mimochodem; na ulicy dostrzegł jedynie zgiętą staruszkę dźwigającą stos chrustu na plecach, która walcząc ze śniegiem i podmuchami porywistego wiatru, brnęła do swojej chaty. Aliksiej przyspieszył kroku. Jego ludzie rozbijali już obozowisko; mógł zamieszkać w pałacu gubernatora, więcej, mógł nawet zarekwirować pałac gubernatora, gdyby tylko zechciał, ale wołał świeże powietrze i towarzystwo kompanów.

Usiadł przy ogniu i zamyślił się. Oto on – urzędnik średniego szczebla z Ministerstwa Wojny w Sankt Petersburgu, który jako pierwszy dostrzegł związek pomiędzy pogłoskami o domniemanej armii demona, raportem o tajemniczym zaginięciu kupieckiej wyprawy i głupim Aloszką – siedzi tu, uzbrojony w upoważnienia podpisane przez samego cara Aleksandra II. Co go czeka, co jego wyprawa przyniesie ukochanej Rosji? Zamyślony, patrzył w chwiejące się płomienie ogniska.

Następnego dnia obozowisko zostało w rekordowym czasie zwinięte i kawalkada pojechała dalej, odprowadzana niespokojnym wzrokiem nielicznych przechodniów i ciekawskimi spojrzeniami zza okiennic domów.

Wyprawa Matfiejewa już nigdy więcej nie zawitała do tego zagubionego w lasach miasta na Dalekim Wschodzie. Myśliwi handlujący skórami opowiadali o tysiącach ludzi maszerujących milcząco wraz z oddziałami Matfiejewa przez okoliczne lasy, ale ci opowiadacze, spędzając kilka miesięcy w roku na samotnych

wyprawach, gdzie za przyjaciół mieli wilki, wiatr wyjący w załomach skalnych i demony strzelające ogniem z trzęsawisk, nie byli wiarygodni. Już nieraz słyszano od nich o włochatych potworach wielkości słonia mieszkających w najbardziej niedostępnym zakątku bagien albo o potomkach chińskich cesarzy, którzy rezydują we wspaniałym mieście pośród pustkowi północy. Nikt nigdy tych bajań nie potwierdził i również tym razem tak było. Choć kilku powtórzyło wersję przekazywaną przez innych, to jednak nikt nie słuchał tych pędziwiatrów.

Dwa lata później jeden z myśliwskich pałacyków cara Aleksandra został zamknięty i oficjalnie zlikwidowany. Wymazano z map wszelkie oznaczenia informujące, że w tym rejonie kiedykolwiek coś było, a ktokolwiek chciałby się tam udać, natykał się na uzbrojonych strażników, informujących wyjątkowo grzecznie, jak na rosyjsko-carskie standardy, że dalej nie ma czego szukać, bo nic tam nie ma, a oni stoją tu właśnie po to, żeby o tej pustce i bezsensie kontynuowania wędrówki powiadamiać. Wszelki opór był szybko likwidowany, z rozstrzelaniem na miejscu włącznie.

Kilku urzędników ministerialnych z Sankt Petersburga w człowieku mijanym przypadkowo w sieni jednej z carskiej rezydencji rozpoznało dawno niewidzianego Alekseja Wasiliewicza Matfiejewa. Ten jednak stanowczo zaprzeczał swojej tożsamości i wyparł się wcześniejszej znajomości z nimi. Jeden z dawnych kolegów zaczął nawet własne śledztwo, podczas którego dowiedział się, że ktoś przypominający Matfiejewa to Anatolij Zubarow, bardzo ważna osoba, prowadząca tajne operacje na zlecenie samego cara. Chodząc i węsząc dalej, dowiedziałby się może, że pan Zubarow często jeździ tam, gdzie nic nie ma, a grzeczni strażnicy wpuszczają go bez pytania. Dowiedziałby się może także, że Jego Wysokość Jaśniepan Aleksander również tam był i wrócił bardzo poruszony.

Wielu rzeczy mógłby się dowiedzieć, gdyby nie krótka wizyta w jego urzędzie dwóch smutnych gości w szarych paltach, podczas której powiedziano mu, że

niejedna odległa gubernia czeka na wykwalifikowaną siłę administracyjną, a on bardzo chce tę lukę zapłacić. Następnego dnia do pracy nie przyszedł.

Kilkadziesiąt lat później, podczas wojny rosyjsko-japońskiej, wielu japońskich żołnierzy meldowało o nadnaturalnych zdolnościach niektórych z walczących po stronie wroga. Opowiadali o niebywalej wytrzymałości na ból i rany; niektórzy twierdzili nawet, że spotkali nieśmiertelnych. Podczas działań wojennych ciężko sprawdzić takie informacje – przerażeni nieszczęściem ludzie plotą trzy po trzy i potem okazuje się, że to wyobraźnia płatała im figle, a rzeczywistość wyglądała inaczej. Podobne doniesienia i pogłoski dochodziły z frontów Pierwszej Wojny Światowej i z walk podczas Rewolucji Październikowej. Jednak czasy były takie, że nikt nie chciał o tym opowiadać ani tym bardziej dowcipkować na ten temat. Zbyt dużo ludzi ginęło za jedno nieostrożne słowo.

Krzysztof

Ten budynek zawsze mnie fascynował. Szary kamień ścian, wysokie, posepne mury, długie schody uwieńczone dwuskrzydłowym wejściem z poczerńiałej dębiny. Nie jakaś automatycznie otwierana, lekka, aluminiowo-szklana konstrukcja, ale ciężkie, solidne skrzydła, jak oznaka królewsko-stalinowskiego autorytetu. Takie drzwi uświadamiały człowiekowi, że powiedzenia „pocałować klamkę” albo „wyrzucić kogoś za drzwi” miały kiedyś bardzo kategoryczny, fizycznie odczuwalny wydźwięk. Zatem budynek mnie fascynował i zawsze kiedy przechodziłem obok niego, miałem ochotę wspiąć się po tych schodach i wejść do świata kroków stukających w długich, pustych korytarzach. Ale nigdy nie miałem czasu ani powodu. A poza tym bałem się. Bo jak prawie każda fascynacja i ta była pochodną zachwyty i strachu przed przygniatającym ogromem, wielką niszczycielską siłą zaklętą w ponurym gmachu.

Szczególnie mocno dawało się to odczuć w szare, burzowe dni, kiedy wzrok nie napotykał jasnej granicy pomiędzy budynkiem i niebem, kontury się zacierały, szczyt tonął w skłębionej masie chmur, a malutki przerażony człowiek nie mógł już nic innego zrobić, jak tylko uciec. Ale dziś było inaczej. Skończywszy zajęcia, włączyliśmy się ze Świtałą po mieście, a Świtała to typ, przy którym strachu nie ma. O nie! Dość otyły jak na swoje dwadzieścia dwa lata, zawsze w workowatych strojach – spodnie bojówki i bluzy, które głośno, że *Bronx 1973*, *NYPD*, *Academy*, *USA* albo *Michigan State Univ. In God we trust*. Ze Świtałą nie ma strachu, bo pyskaty jest i wielki w tych swoich gaciach. Zawsze ciągnie mnie na piwo. Dziś też ciągnął, to i wypad do centrum się udał. W jego przypadku chyba też można mówić o fascynacji, no bo jak inaczej nazwać to uczucie, które mnie ogarnęło, kiedy Świtała głośno zaklął po kolejnym piwie i jeszcze opierdolił jakiegoś faceta, że się na niego gapi. Ja bym się ze wstydu spalił, nawet teraz się paliłem na samo wspomnienie, a ten był dumny z siebie jak paw. Niesamowity gość. Albo kiedy uchylił za pomocą rączki

wyjścia awaryjnego drzwi w tramwaju i wysikał się na oczach pasażerów; nawet pomachał do jakichś dziewczyn, które akurat przechodziły ulicą. Świtała był nie do pobicia. Co innego ja. Mnie po tych kilku piwach rozsadzało pęcherz, ale za nic w świecie nie zrobiłbym tego co on, nawet gdyby znajdował się tam otwór z osłaniającym delikwenta parawanikiem i napisem: „Tu należy sikać i machać do ludzi”. Ja bym się wstydził. Po wyjściu z tramwaju powędrowaliśmy dalej, a ja rozglądałem się coraz bardziej nerwowo.

– Świtała, muszę się gdzieś odlać. Zaraz eksploduję.

– A nie mogłeś ze mną? Byłoby mi raźniej, no i mielibyśmy większą siłę rażenia. Wiesz co? W tym budynku na pewno jest jakiś kibel, pójdziemy razem.

Wskazał na coś ponad moim ramieniem, pobiegłem wzrokiem za ruchem jego ręki... O w mordę! Moja budowla! Tam mamy iść? Zrobiło mi się nieswojo, choć nieco mniej niż zwykle; byłem znieczulony alkoholem.

– E, może wytrzymam – mruknąłem, choć wiedziałem, że nie wytrzymam.

– Bez krępacji, Krzychu! Uniwersytety i urzędy też są dla ludzi. Idziemy. Przynajmniej się to gmaszysko na coś przyda.

Pomaszerował szybkim krokiem w stronę niebotycznych schodów, ponaglając mnie gestem dłoni. Chcąc nie chcąc, potruchtałem za nim. Świtała już walił po dwa stopnie w górę. Drzwi zbliżały się z zawrotną szybkością. Z tej niedużej odległości można było odcyfrować napis na wielkiej mosiężnej tablicy: Instytut Techniki Stosowanej. Nazwa nic mi nie mówiła. Zarówno mnie, jak i prawdopodobnie milionom moich rodaków, wszelkie instytucje typu Polska Akademia Nauk albo Uniwersytet Warszawski Wydział Fizyki Doświadczalnej mówiły niewiele więcej niż nazwy indiańskich rezerwatów w stanie Dakota. A ludzi tam pracujących uważaliśmy za nie mniej dziwacznych od czerwonoskórych siedzących w milczeniu na skórze bizona, zapatrzonych w prerię, z fajką pokoju w ustach. To był inny, obcy świat.

Wiadomo, co robi tokarz, listonosz, piekarz. Ale co robi pracownik Instytutu Techniki Stosowanej?

Drzwi znajdowały się tuż przed naszymi nosami – zatrzaśnięte na głucho. Świtała zaczął szarpać za ogromną klamkę z brązu, ale wrota ani drgnęły. Budynek był zamknięty. Pobieżny rzut oka na schody wystarczył, aby stwierdzić, że rzadko je eksploatowano. Spomiędzy płyt kielkowała trawa, na zakurzonych stopniach wały się papierki. Portal podparty dwoma ogromnymi kolumnami w kształcie barczystych chłopów z mieczami był jak niedostępna twierdza strzeżona przez gigantycznych wojów. Dziwne. Taki wielki budynek, a jakby nieużywany. Świtała kopnął jeszcze ze dwa razy w ogrom wrót i zaczął schodzić, przeklinając pod nosem. Ja też się już zbierałem, kiedy zarejestrowałem jakiś ruch po drugiej stronie. Ktoś otwierał. Za poszarzałymi szybkami zauważyłem postać siłującą się z zamkiem, który sądząc po stanie i wielkości drzwi, nie był łatwy w obsłudze. W końcu zgrzytnęło, skrzypnęło i wrota się uchyliły. Świtała był już w połowie schodów, ja stałem zaledwie o kilka kroków od wejścia. Przez drzwi wychynęła postać – z wyglądu portier; granatowe spodnie w kancik, niebieska koszula rozsadzana ogromnym, piwnym brzuszyskiem, na głowie czapka z daszkiem i napisem ITS (pewnie skrót od: Instytut Techniki Stosowanej). Portier stanął na szczycie schodów, spoglądając na nas z góry, zarówno w przenośni, jak i naprawdę. Następnie wyduł wargi, podparł się pod boki i huknął:

– A wy tu czego?! Już mi...

Pewnie chciał powiedzieć „zmiatać” albo rzucić innym ostrzejszym słowem, ale spojrzał na mnie i umilkł. Zmarszczył brwi, chwilę ważył coś w myślach, następnie odezwał się dużo grzeczniejszym tonem:

– Dzień dobry. Czego pan sobie życzy?

Dziwna zmiana. Ale biorąc pod uwagę stan parcia na pęcherz, byłem już tak zdeterminowany i zdesperowany, że nie analizowałem ludzkiego zachowania, ani niczego innego zresztą.

– Jest tu toaleta? Muszę skorzystać.

Portier ustawił się bokiem, jakby wpuszczając mnie do środka, i radośnie zakrzyknął:

– A jakże! Zapraszamy, proszę, proszę!

Ustawiony przodem czy bokiem, tworzył dość istotną zaporę w drzwiach, ale udało mi się przecisnąć i oto byłem już w środku. Tamten zaczął się zaraz za mną wycofywać. W tym momencie Światała dopadł do nas i też chciał wejść do budynku, forsując wąską szczelinę pomiędzy niebieskim brzuchem a framugą.

– Nie wolno! – zakrzyknął strażnik, wypychając go na zewnątrz. – Teren zastrzeżony!

– Co nie wolno! Z kolegą jestem! – Światała próbował brzuchowi odźwiernego przeciwstawić swój, dużo mniejszy. Zaczęła się wojna na przepychanie. Stróż jednakże okazał się wprawnym graczem; zaparty o framugę, wypiął swą obłą ozdobę i już nie było na niego mocnych. Światała nie miał szans. Pokrzykiwał, że też płaci podatki, że kolega potrzebuje wsparcia, że służbista jeszcze go popamięta. Nie wiem, co z tego zrozumiał człowiek z napisem ITS na czapce, ale trwał niczym owe dwa posągi po obu stronach drzwi. Co chwilę wykonywał drobny ruch, zwiększając swoją przewagę, cały czas powtarzał: „Nie wolno. Teren zastrzeżony”. W końcu wypchnął Światałę za obrys pierwszego stopnia i szybko jak tygrys wrócił do drzwi. Nie spodziewałbym się takiej zręczności po tym podstarzałym cieciu. Zaczął zamykać, Światała jeszcze raz spróbował, chyba dla zasady, ale nic nie wskórał. Usłyszał kolejny raz, już przez szybę, że „teren zastrzeżony”, i zamki chrobotnęły.

Staliśmy oddzieleni od szumu ulicy, w uszach dzwoniła cisza marmurowego korytarza. Portier siłował się jeszcze chwilę z bramą. Ja rozglądałem się z ciekawionym. Trafiłem do hallu wielce szacownej instytucji; na środku okrągłego placyku ustawiono rzeźbę jegomościa w surducie, z bródką i wąsami zdobiacymi oblicze pod niemodnym monoklem. W górę i w dół ciągnęły się szerokie schody.

– Proszę – brzuchacz wskazał mi schody do góry. – Jakby co, to jestem tam... – Machnął ręką w stronę nieskończonej czerni korytarza po lewej.

Pobiegłem, pokonując po dwa stopnie naraz. Na półpiętrze zerknąłem przez małe okienko wychodzące na ulicę. Przy klombie u dołu dostrzegłem Świtałę; palił papierosa, krążąc wściekle wokół donicy z kwiatami. Zza zakrętu wyjechał tramwaj. Nie wiedziałem, że w ogóle tędy jakieś jeżdżą; nie mogłem rozpoznać numeru linii. Prawie się zderzył ze skracającą czarną limuzyną – fordem albo oplem. Marka nie do odgadnięcia z tej odległości. Kierowca wychylił się przez okno, chyba krzyknął coś obraźliwego, sądząc z gestykulacji. Po chwili pojazdy się rozjechały. Świtała dalej palił papierosa. Klomb został już przez niego zwiedzony ze wszystkich stron.

Nad kamienicami naprzeciwko kłębią się szare chmury, kruk siedzi na gzymsie, bielizna łopocze na sznurze rozpiętym od balustrady do anteny. Nagłe załamanie pogody? Kruk patrzy w dal i snuje złowrogą prognozę na najbliższe minuty, gacie i koszulki łopoczą coraz bardziej. Świtała wciąż wkurwiony, nadal pali. Kopie w krawężnik. Tramwaj znika za rogiem, na przystanek dociera zdyszany człowiek w czarnym płaszczu. Nie zdążył, będzie musiał pojechać następnym. Pewnie zmoknie, bo chmury zbliżają się z huraganową prędkością. Świtała też pewnie zmoknie. A kruk? A co mnie kruk obchodzi! Pranie zmoknie. Nie, nie zmoknie; jakaś kobieta szybko wrzuca bieliznę do kosza. Spłoszone ptaszysko krąży nad kamienicą, kracząc. Świtała pali papierosa.

Pobiegłem dalej w górę. Echo moich kroków grało na długich korytarzach. Po minucie już lało. Znalazłem łazienkę i wreszcie sobie ulżyłem.

Schodząc po schodach, utknąłem znowu na kilka chwil przy oknie. Strugi padające pod lekkim kątem chłostały beton placu z klombem, krawężniki, dachówki kamienicy. Nigdzie nie zauważyłem Świtały, człowiek w czarnym płaszczu skulił się pod słupkiem przystanku, wytrwale oczekując na następny tramwaj. Nie opuszczał posterunku, bojąc się pewnie, że znowu nie zdąży. Ja byłem suchy, oddzielony szybą

i grubym murem od nawałnicy; przez moment poczułem się bardzo bezpieczny w tym wielkim, ponurym budynku. Przez głowę przebiegła mi myśl, że niepotrzebnie się obawiałem. Wkrótce przestanie lać, a na razie można tu posiedzieć i przeczekać.

Usłyszałem kroki; ktoś się zbliżał. Podniosłem spłoszony wzrok, znów czułem się jak intruz. Po schodach schodził mężczyzna w białym fartuchu; wyglądał jak naukowiec. W końcu byłem w instytucie. Gdy mnie zobaczył, stanął jak wryty. Przez chwilę wpijał się we mnie badawczym spojrzeniem, nie mogąc zidentyfikować mojej osoby. W końcu jednak jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, postąpił kilka kolejnych kroków.

– Dzień dobry – mruknąłem nieśmiało.

– Dzień dobry, dzień dobry! – odpowiedział przyjacielsko. – Miło widzieć.

Powitać, powitać!

I poszedł dalej. Stałem oszołomiony. Już druga osoba ucieszyła się na mój widok. Gościnność tutejszych była niezwykajna. Tym bardziej że skierowana tylko na mnie. Od razu stanął mi przed oczami Świtała pchany przez potężny brzuch ciecica. Dał mu popalić, nie ma co. Świtale rura zmiękła. Uśmiechnąłem się do siebie. Taki cwaniaczek, a to właśnie ja wszedłem, nie on. Znowu zerknąłem w okno. Ulewa trwała. Jakiś atak deszczy zenitalnych, czy co? Zza rogu wychynał tępy pysk wagonu tramwajowego, gość w czarnym płaszczu stał przygotowany na przystanku. Zmoknięty kruk, nie, już dwa kruki siedziały na gzymsie kamienicy naprzeciwko, smętnie czekając na lepszy los. Czarne nieruchome punkty. Klomb opływał strumieniami wody.

Pod daszkiem domu naprzeciwko zauważyłem kogoś, jakby Świtałę. Trochę za daleko, żeby rozpoznać, ale pomachałem. Wydawało mi się, że postać również uniosła rękę. Nie. Złudzenie. To raczej nie Świtała. Zresztą jakim cudem dojrzałby mnie w małym oknie na tle szarej masy budynku? Tramwaj pojechał, czarny zniknął. Deszcz bębnił rytmicznie o dachówki i parapety, kruki trwały w letargu. Patrzyłem

jeszcze przez chwilę. Kiedy ta ulewa przejdzie? W końcu postanowiłem zejść na dół. Trudno, najwyżej zmoknę, ale nie można tak wiecznie trwać w dziwnej, dwuznacznej sytuacji na półpiętrze ponurego gmachu.

Puste, długie korytarze znowu zaczęły napawać mnie lękiem. Przerazały jakimś nieokreślonym brakiem kontekstu, brakiem życia. Podeszedłem do wielkich drzwi, po plecach przeszedł mi dreszcz. Jakby ktoś mnie obserwował. Rozejrzałem się po pustym hallu. Nikogo, tylko ta figura. Wąsy jakby bardziej nastroszone niż przed kilkoma minutami, twarz wściekła. Przedtem wydał mi się raczej dobroduszny, a teraz... Ale jak figura może zmienić wyraz twarzy? Zacząłem szarpać się z klamką, o ile metalowy kształt wielkości nielichego drağa i zawieszony na wysokości twarzy może mieć coś wspólnego z poczciwą klamką, dzięki której wchodzimy i wychodzimy przez drzwi. Tu klamka trzymała straż.

Gdzie miał być ten portier? Gdzieś tam po lewej. Spojrzałem w bezdenną czerń korytarza. Ani żywego ducha. Szarpnąłem jeszcze raz. Zawołałem: „Hop, hop!”. Czerń zabrzęczała delikatnym, zduszonym echem. Westchnąłem z rezygnacją i zacząłem wędrówkę w stronę nieskończoności korytarza. Deszcz łomotał po kamiennych schodach, zza zakrętu wyjechał tramwaj. Postać w czarnym płaszczu pędziła przez strugi wody, próbując dostać się do tramwaju, ale ten nie czekał. Zadzwoił raz i drugi, pojechał. Zdyszany człowiek kilka sekund później kopnął wściekle słupek z literą T. Potem stanął skulony, czekając na następny kurs. Mókł na otwartym placu, pewnie bał się przeoczyć kolejny tramwaj. Czarna limuzyna zbliżała się majestatycznie. Ja tego już nie widziałem, ale teraz wiem, że tak było. Tak być musiało. Ja szedłem w nieprzeniknioną przestrzeń po lewej.

Wielka susza i głód wiedzy

– No, panowie! Susza! Susza jak na balu AA. – Stalowy Kazek bezradnie rozglądał się po osiedlu, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, promyka nadziei w swym trudzie dnia codziennego. Dwóch towarzyszy niedoli mruknęło coś niemrawo. Wszyscy spuścili nosy na kwintę, a popołudnie mijało leniwie, wolno zacierając wspomnienie beznadziejnego poranka. Coś mówiło tym doświadczanym przez los ludziom, że wieczór również łatwy nie będzie. Marian dostanie rentę dopiero jutro, Pająk nie sprzedał swojej kolekcji pokryw kanałów burzowych ze względu na ich niepewne pochodzenie.

– A co jest, kurwa, pewne na tym świecie. – Kazek próbował urobić obsługę skupu. – Raz zysk, raz w pysk. Metal się marnuje, czas płynie, przeznaczenie nas goni. A pan tu marudzisz. Pan jesteś malkontent, a to bardzo niezdrowe. Malkontenci częściej zapadają na reumatyzm i schorzenia wieńcówki. No, weź pan choć jeden. Wesprzyj pan trud ludzi pracy.

Ale obsługa pozostała nieugięta. Że niby kontrole policji mają, że właściwie powinni ich wylegitymować. Ostatnie potencjalne źródło gotówki okazało się niewypałem i wózek pełen dobra wjechał z powrotem do komórki przy kamienicy Pajaka, a towarzystwo powędrowało w świat szukać szczęścia w inny sposób. Stalowy tradycyjnie wiódł prym, dogadując swoim kolegom od złomiarzy-włóczęgów, wieszał psy na skupie złomu, mianując ich złomowymi kutafonami. Nawet premierowi się dostało, no bo przecież ktoś jest winien ich „pierdolonemu położeniu”. Dzień jak co dzień toczył swój bebecz od wschodu do zachodu i niczemu się nie dziwił. No bo jakże dziwić się czemuś, co jest każdego dnia takie samo. Te same mordy, te same teksty, data tylko inna.

– Nudy na pudy, pić się chce. Człowiekowi strasznie się dłuży. Mogłoby to Słońce szybciej kręcić się wokół Ziemi – mrucał Marian, patrząc na czubki swoich butów, jakby tam było zaklęte rozwiązanie jego problemów.

Towarzystwo znów popadło w milczenie. Pająk mruknął tylko swoje ulubione słowo „dupa”, Marian wyraźnie wykrzesał z siebie co najlepsze i teraz pozostawał w jakże marnym stanie wegetacji. Natomiast twarz Stalowego wyrażała najwyższe zdumienie i wyraźne oznaki wzburzenia, któremu zresztą dał w końcu upust.

– Coś ty powiedział?! Że jak? Możesz powtórzyć? – wydarł się na Mariana.

Tamten podniósł zdziwiony wzrok.

– O co ci chodzi? Powiedziałem, że nudno i pić się chce. A co? Może tobie nie?

– Ale potem! Co potem powiedziałaś? Że Słońce...

– Że Słońce by mogło się szybciej kręcić wokół Ziemi. A co? Może nie? Może byś wolał, żeby wolniej? Żebyśmy się tu dłużej męczyli?

– A ty Pająk też tak uważasz, że Słońce ma się kręcić wokół Ziemi?! – Stalowy wyraźnie nie wierzył własnym uszom.

Pająk pociągnął nosem, podrapał się po karku, w końcu wrzucił ramionami i mruknął „dupa”. Po czym zapadł ponownie w rolę medytującego Indianina. Stalowy wrzał.

– A mówi ci to coś: „wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię”? Ile ty masz lat?

Marian wybałuszył oczy, przełknął ślinę. Wkurwiony Stalowy to nic nowego. Właściwie to niewkurwiony ich dziwił, ale tym razem wyraźnie pił do Mariana, a ten czuł się Bogu ducha winny.

– Stalowy, weź się odpierdol! Mam, ile mam. Na swoją rentę zapracowałem. W odróżnieniu od niektórych tutaj.

Atak jako obrona. Ze Stalowym nie można miękko. Mięczaków zjada bez popijania.

– Człowieku! To jest średniowiecze. Przecież Ziemia się kręci wokół Słońca, a nie odwrotnie!

– Ach, o to ci chodzi! – Twarz Mariana się rozjaśniła. – Weź się wyrażaj jaśniej, bo już myślałem, że ci odwalilo. My tu mamy poważne problemy, a temu przeszkadza, że Słońce... He, he, he! Naukowiec ławeczkowy! A jak ci powiem, że Mars się ma kręcić wokół Ziemi, to też mnie objedziesz, co!?

– Nie, bo Mars się kręci wokół Ziemi.

Zapadła ponura cisza. To, co w zamierzeniu Mariana miało być puentą konfliktu i łagodnym zejściem w normalny stan bytowania, stało się zarzewiem kolejnej zaczepki.

– No dobra. Może się kręci. I co?

– To, że jesteście ignoranci i nieuki. Myślicie tylko, kiedy renta przyjdzie, bo brakuje wam na wino. A wokół wszechświat, nauka, innowacje! A ten... Ja pierdolę!

– A co?! Może ty nie czekasz na rentę?! Na moją rentę! Może ty jesteś ten od nauki albo innowacji?! Chyba takich, jak znowu wydębić kasę od Kisiela na wódę. Stalowy, pogięło cię?! Przecież nie możesz z powodu Słońca, Marsa i cholera wie jeszcze jakich innych kosmicznych głupot robić tu cyrku. To nas nie dotyczy. To tylko nazwy z książki! Teoria. Normalnym ludziom one na nic. No chyba żeby zaimponować kolegom. Co nie?

Kazek przez chwilę bębnił palcami w dechę ławki, potem wstał i westchnął, mówiąc:

– Jasne. Racja. Ale od jutra trzeba coś z tym zrobić. Cześć pracy. Siemanko.

I poszedł.

– Ty, Pająk, co od jutra niby mamy robić? Z czym? Rozumiesz coś?

Pająk długo patrzył w przestrzeń, w końcu powiedział swoje ulubione słowo i patrzył dalej.

Następnego dnia Słońce kręciło się jak zwykle, znaczy... Ziemia kręciła się jak zwykle wokół Słońca. Towarzystwo leniwie podążało na swoje stanowiska. Stalowy nieco bardziej nerwowo niż zazwyczaj trzymał w ręku książkę. Gdy już usiedli, rozpoczął swoje nauki.

– Postanowiłem, że nadrobicie, mhm... że nadrobimy zaległości w nauce. Wykształceni ludzie są pożyteczni i cenni dla społeczeństwa, a my chcemy być pożyteczni i cenni, co nie?

Twarze Pajaka i Mariana wyrażały nikłą chęć bycia cennym i pożytecznym, właściwie nie wyrażały jej wcale, ale niezrażony Stalowy ciągnął dalej.

– Dodatkowo, wykształcony człowiek się nie nudzi. W swojej wiedzy sam sobie dostarcza bodźców rozwojowych. Jest ciekawy świata, żyje, a nie wegetuje nędznie jak, jak... – Zawahał się, kogo wskazać jako nędznie wegetującą istotę, pewnie z obawy, że dostanie od wskazanego po twarzy. – Jak niektórzy – dokończył bez konkretów.

Miny dwóch kompanów nie wyrażały niczego, co można by nazwać reakcją na przemowę Stalowego. Ten miał ochotę postawić przed nimi lustro, by zaprezentować dwa modelowe przykłady istot nędznie wegetujących, ale wiedział, że nie tędy droga, że nie można przesadzać w dołowaniu kumpli. Trzeba ich zachęcić, pokazać korzyści płynące z nauki.

– Wykształcony człowiek radzi sobie lepiej w życiu, w pracy. No wszędzie.

W końcu Marian nie wytrzymał:

– A ty skąd to wszystko wiesz? Przecież nie jesteś wykształcony.

Stalowy się nadał, podniósł dumnie czoło.

– A właśnie, że jestem... No, trochę jestem... – Właśnie miał zacząć określać poziom swojego wykształcenia, ale Marian go ubiegł.

– Tym gorzej, bo twój przykład wcale nie udowadnia, że wykształcenie jest dobre.

– Że niby, kurwa, co?! Że niby se nie radzę, tak?! – Stalowy poderwał się z ławki jak kukielka na sprężynce wyskakująca z pudełka.

– A radzisz se? – Marian też stał gotowy do bójki.

– Spokój! – Pająk wszedł między nich. – Kończ, Kazek, ale konkretnie, bez rozwodzenia się, bo na razie nie kapujemy, o co biega. A ty się uspokój. Niech dokończy i wtedy będzie lanie po mordach.

Usiedli. Stalowy powrócił do swoich wywodów.

– W każdym razie wiedzieć jest lepiej, niż nie wiedzieć. Będziemy się różnych rzeczy dowiadywać, z książek, prasy, od innych. Zaczniemy się uczyć. I dzięki temu będziemy mądrzejsi.

– Po co? – Marian znowu zaczął rezonować. Kazek już był gotów zerwać się z ławki, ale Pająk ponownie ich uspokoił.

– Chce, niech uczy, może coś z tego będzie. Mnie tam wisi. Kręci się czy nie kręci, teoria czy nie teoria – mruknął. – Ale mam dość waszych kłótni o pierdoły.

Kazek pociągnął nosem, spojrział przeciągle na Pajaka, nie wiedząc, czy ma mu podziękować, czy opierdolić go za niepotrzebną interwencję. W końcu wydusił z siebie „Dziękkkk...” i otworzył książkę.

– Pierwszy punkt: astronomia. Mam tu *Małą Encyklopedię PWN*, rok wydania 1971. Pamiętasz, Pająk, kiedyś znalazłeś ją przy śmietniku na Bałtyckiej. Leżała se, leżała, aż się przydała. Układ Słoneczny. Tutaj pod hasłem „Słoneczny Układ”. – Stalowy wertował księgę, aż znalazł odpowiedni punkt. Po czym rozpoczął odczyt, zacinając się na trudniejszych słowach.

– Układ Słoneczny to Słońce wraz z otaczającą je i związaną z nim grawitacyjnie materią w postaci planet z ich księżycami, planetoid, komet i metero...metry...me-te-re-doroidów, a także pyłu i gazu wypełniających przestrzeń międzyplanetarną. Obiekty Układu Słonecznego są powiązane siłami wzajemnych oddziaływań, z których najsilniejsze jest grawitacyjne oddziaływanie Słońca. Ciałem

centralnym, skupiającym prawie całą, czyli dziewięćdziesiąt dziewięć i osiemdziesiąt siedem procent, masę Układu Słonecznego jest Słońce, obiegane przez osiem planet. Czyli, kurwa, nie my. Słońce jest w środku, zrozumieliście, średniowieczne głąby? Najbliżej Słońca, w przedziale odległości 0,4–1,5 AU, to chyba jakaś astronomiczna jednostka, czy cholera wie co, poruszają się cztery planety grupy ziemskiej: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars. Czyli, kurwa, naszej. A w przedziale odległości 5–30 AU cztery tak zwane planety grupy jowiszowej, czyli nie naszej, zwane olbrzymami lub gigantami: Jowisz, Saturn, Uran, Neptun. Między orbitami Marsa i Jowisza...

– Weź, Kazek, zwolnij! – Marian bezradnie spoglądał na kompanów. – Ja już się pogubiłem.

– No dobra. Na tym możemy chwilowo zakończyć. Podsumowanie. Co zrozumieliście?

Nastała grobowa cisza. Jakiś ptaszek zaczął swoje trele, w tle zadzwonił tramwaj. Hen, wysoko nad chmurami szumiał samolot. Ale tu było jak makiem zasiał. W końcu Kazek nie zdierzył.

– No to jak z tym Słońcem: kręci się czy nie?

– Noo, chyba tak... – zaczął niepewnie Marian.

– Jak tak!?! – wrzasnął Kazek. – Przecież słyszeliście wyraźnie, jest ciałem centralnym. Cen-tral-ny! Czyli tym w środku. Tak czy nie?!

Ponownie nastąpiła ponura cisza. Pająk patrzył w dal, Marian udawał, że myśli. Stałowy aż bulgotał.

– Idioci, nieuki!

– Pająk! Mogę go już jebnąć? – Marian zerwał się jak oparzony. Pająk skinął w zadumie głową. Panowie zaczęli się okładać, *Mała Encyklopedia PWN* pofrunęła na trawnik, zaraz za nią poleciało dwóch dorosłych facetów tłumaczących sobie zawzięcie, gdzie naprawdę tkwi Słońce. Dzisiejszy dzień zaczął się od walki z nudą i wstecznictwem. I jak na razie sukces akcji był pełny.

Krzysztof. Porwanie

Korytarz prowadzi mnie ręką ciemności; zapach pustych pomieszczeń, zapach pasty do podłóg, zapach zatechłej ciszy. Z tyłu kwadrat światła maleje do kwadraciku, a następnie do punktu gdzieś daleko na widnokregu. O ile można mówić o widnokregu w takiej sytuacji. Postać z nastroszonym wąsem złagodniała. Oglądając się przez ramię, widzę ją, jak maleje w oddali. Ona też wygina się i wyteżę wzrok, żeby sprawdzić, jak sobie radzę. Jak to możliwe? Nie mam pojęcia. Ale dziś wiem, że tak właśnie było. Tak musiało być. Korytarz nie okazał się zupełnie ciemny. Małe świetliki, rozmieszczone co kilkanaście metrów, odrobinę rozpraszają mrok. Rozmazana po podłodze i ścianach szarawa plamka światła to mniej niż słaby znak życia, ale więcej niż śmierć. Bo nie wiadomo dlaczego myślę teraz o śmierci. Idę, szukam ciecia, który by mnie wypuścił z tej marmurowej klatki. Prosta sprawa – drzwi, portier, uszanowanie, do widzenia. A ja tu nagle o śmierci. Szarawe plamy prowadzą mnie, zda się kilometrami, choć to raczej dziesiątki metrów, bo przecież widziałem ten budynek z zewnątrz. Kilkadziesiąt metrów, nie więcej. Ale idę kilometrami. Wyprawa wydaje się coraz bardziej beznadziejna, żadnych oznak życia, poza świetlikami, żadnych szmerów. Żadnych ludzi. Katakumby.

Kilkadziesiąt metrów przed sobą zauważam dużo większy obszar światła. Podchodzę bliżej. Uchylone drzwi, zza nich bije łuna. Lekko sinawe światło jarzeniowe. Pomieszczenie to sala, w moim polu widzenia – pusta. Ale wychyliłam się mocniej, zaglądam ciekawie w drugi kąt, gdzie krzątają się postacie w białych ubraniach. Duża grupa nachyla się nad czymś. Dwóch odchodzi na moment. Przez mgnienie oka widziałem owo coś, jakby leżącego człowieka, pomiędzy białymi kitlami, ale trwało to tylko ułamek sekundy. Potem znowu dostrzegam tylko plecy grupy. Nic nie mać ciszy wokół. Praca w pomieszczeniu przebiega w całkowitym milczeniu.

Nagle ktoś mnie ciągnie. Drzwi się zamykają. Szczęk klamki. Mój wzrok, oślepiiony mocnym światłem lamp w sali, nie różnicuje delikatnego cieniowania na korytarzu. Nic nie widzę, przed oczami latają mi szare plamy na tle czerni.

– Pan? – padło pytanie albo raczej wymówka, że wtrącam się w nie swoje sprawy.

– Szukam portiera. Mówił, że tu... – zacząłem się tłumaczyć.

– Proszę za mną. – Postać bezszelestnie ruszyła w stronę maleńkiego kwadracika światła na końcu tunelu. Mogłem już dojrzeć zarysy kształtów i ruchy w otoczeniu, wzrok przywykł na nowo do nocnego środowiska. Pospieszyłem więc za tym kształtem i ruchem. Wkrótce dotarliśmy w pobliże figury. O ile droga w czerń trwała wieki, powrót okazał się minutowym spacerem. Wychynęliśmy na oświetlony hall, rzeźba tkwiła na swoim miejscu, dumnie wpatrzona w dal. Nie dawała najmniejszego znaku, że jest zainteresowana moim losem. Przedemną stał ten sam człowiek, który na schodach tak ucieszył się na mój widok. Teraz nie wydawał się już taki radosny.

– Tak? – To chyba było pytanie.

– Przepraszam, szukałem tego pana. Portiera chyba... – ponownie zacząłem się tłumaczyć, ale w tym momencie pomiędzy filarami na półpiętrze zamajaczyła znajoma niebieska koszula. Przerwałem swoje wywody, uniosłem rękę, wskazując na odzwierne. Co ciekawe, gdy tylko człowiek w czapce nas dostrzegł, natychmiast się cofnął. I nie wiem, jak to zrobił, ale jakby rozpląnął się pomiędzy filarami. Mój rozmówca uniósł wzrok.

– Tak? – Znowu monosylabiczny komunikaty.

– O, tego tam! Miał mnie wypuścić. – Człowiek w białym fartuchu trwał z głową uniesioną do góry. Wyglądał przez chwilę jak pomnik jakiegoś dumnego wodza, ale zaraz powrócił wzrokiem na mój poziom.

– Nie ma nikogo – zakomunikował ze zdumioną miną. Podeszedł do drzwi, naparł na znajomo wielką klamkę. – Zamknięte – stwierdził odkrywco.

– No właśnie dlatego ja... – zacząłem ponownie, choć rwany, skrótowy styl komunikacji trochę mnie już denerwował.

– Proszę za mną – tamten znów wszedł mi w słowo. Odwrócił się na pięcie i rozpoczął wędrówkę po schodach. Pospieszyłem za nim, choć wiedziałem, że brzuchaty jegomość musiał nas widzieć i być może dalej nas obserwuje. Dlaczego nie podeszedł? Wchodząc na półpiętro, zauważyłem, że w czerni korytarza na dole majaczy postać portiera. Ledwo widoczna, kuląca się jakby lekliwie, ale była na pewno. Jak on się tam dostał? Musiał zejść innymi schodami albo zjechać windą. Gdy zorientował się, że mogę go widzieć, zaszył się głębiej w czerń. O co tu chodzi?

– Tam, tam jest! – zakrzyknąłem i popędziłem na dół. Po kilku sekundach wbiegłem ponownie w czerń przetykaną mdłym oświetleniem okienek pod sufitem. Wzrok wyostrzał się chwilę w ciemności. Nikogo nie widziałem. Gdzież on się podział?

– Zniknął! – wrzasnąłem do człowieka czekającego na schodach. Ten dłuższą chwilę mierzył mnie wzrokiem, jakby czekając, aż furiatowi minie atak. Po czym spokojnie zakomunikował:

– Proszę za mną.

Ruszył w górę, a ja popędziłem za nim, oglądając się co chwilę. U samego szczytu schodów znowu wydało mi się, że widzę niebieską koszulę gdzieś tam w dole, ale machnąłem na to ręką i podążyłem za swoim przewodnikiem. Echo kamiennego korytarza zabrzęczało głucho i zgasło. Szliśmy teraz innym korytarzem, dużo lepiej oświetlonym niż ten na dole. Po lewej co jakiś czas rozbłyskiwało okno.

Pogoda na zewnątrz się ustabilizowała. Mżyło zaledwie, o ulewie świat powoli zapominał, na niebie kłębiły się szare pierzyny, starając się choć na moment zastygnąć w swym biegu. Ale nic z tego. Wiatr przepychał chmury, które pojawiały

się i niknęły nad dachami kamienic, odprowadzane ciekawskim krakaniem znajomego kruka i jego kolegów. Jakaś postać na balkonie paliła papierosa. Z tej strony widok był inny, nie widziałem klombów ani przystanku z jegomościem w płaszczu. Choć tam w bramie chyba stał jeszcze Światała. Nie. Chyba nie. Ktoś zniknął w mroku przejścia, ale to nie Światała. Po pustej ulicy jechała czarna limuzyna. Ford albo opel, ciężko rozpoznać z tej odległości. Dziwny był ten brak ruchu na ulicy. Zazwyczaj ulice są ruchliwe. Może tu obowiązywał jakiś zakaz. Teren zastrzeżony, jak mawiał gruby portier w niebieskiej koszuli.

Odwróciłem wzrok od mijanych okien, przenosząc spojrzenie na ciąg zamkniętych drzwi po prawej. Choć nie, nie wszystkie były zamknięte. Kilka pozostało lekko uchylonych i chyba ktoś ciekawie wyglądał przez wąziutką szparę. Nie byłem pewien, bo gdy tylko znaleźliśmy się bliżej, okazywało się, że drzwi są jednak zamknięte. Ale gdy gwałtownie się odwróciłem, zobaczyłem dwie głowy wystające z framug. Jednak zaraz zniknęły jak za pociągnięciem sznurka.

Naukowiec maszerował szybko korytarzem, nie oglądając się. Zdezorientowany pobiegłem za nim. W końcu dotarliśmy do drzwi. Niczym się zewnętrznie nie różniły od innych, ale zostały tak usytuowane, że od razu nasuwała się myśl o gabinecie dyrektora. Człowiek w kitlu pewnym ruchem nacisnął klamkę, następnie wszedł, ale zatrzymał się zaraz przy drzwiach, zachęcając mnie do przekroczenia progu.

– Proszę, proszę. – Przedemną rozpościerał się elegancki gabinet, urządzone w stylu dziś już niespotykanym; solidne meble, rozłożyste fotele, jakaś figura z brązu. Z bliska rozpoznałem wąsatego z hallu, w innej pozie, ale to na pewno był ten sam model. Wszedłem niepewnie, drzwi zamknęły się za mną, naukowiec wskazał fotel.

– Proszę siadać. Może szklaneczkę wody? – Manipulował przy korku karafki z rżniętego kryształu, wypełnionej jakąś cieczą.

– Nie, nie, dziękuję. – Starłem się nie pić niepewnych napojów. Tamten przybrał urażoną minę.

– Jak pan chce. Pozwoli pan, że się przedstawię. Nowak. Doktor Nowak. Szef instytutu. Tego instytutu – podkreślił, jakbym mniemał, że urzęduje tu, a kieruje inną jednostką.

Również podałem swoje nazwisko, bąknąłem coś o przyjemności spotkania. Ale przyjemnie nie było. Doktor Nowak mierzył mnie badawczym spojrzeniem od stóp do głów. Miałem wrażenie, że porównuje rzeczywistość z jakimś swoim wyobrażeniem. Po chwili takiej analizy odwrócił się do okna, obrzucił spojrzeniem dachy i ciężko sunące deszczowe chmury.

– Chyba się wypogadza – zagadnął zdawkowo.

– Chyba tak – odpowiedziałem równie lakonicznie. Ciężki, szary dywan skrywający niebo wcale nie dawał nadziei na słońce. Postanowiłem zakończyć to spotkanie.

– Przepraszam, ale tak jak mówiłem, szukałem tego portiera z dołu. Chciałbym, żeby otworzył drzwi.

Doktor Nowak odwrócił się od szarości za oknem, jego mina zdawała się wyrażać radość z powrotu do tego tematu.

– A tak, tak. Zaraz dzwoniemy. – Chwycił za słuchawkę starego, czarnego telefonu z tarczą. Pokręcił nią. – Panie Franciszku, mam tu w gabinecie... Co? Aha, dobrze. Tak, za kilka minut. Rozumiem.

Odłożył czarną słuchawkę na widelki. Przypatrywałem się z ciekawością archaicznemu sprzętowi. Czuję się jak w gabinecie jakiegoś notabla sprzed pięćdziesięciu lat. Ta rzeźba, te rozłożyste, ale też mocno wysiedziane fotele, ta karafka.

– Pan Franciszek musiał wyjść w ważnej sprawie. Prosi o kilka minut cierpliwości. Proszę się rozgościć, panie Krzysztofie, a ja w tym czasie skoczę czegoś dopilnować. Wrócę za chwilę. Aha, jakby co, proszę się nie krępować. – Wskazał ręką karafkę i wyszedł.

Zostałem w objęciach wielkiego fotela z widokiem na stolik i karafkę, okno z przesuwanymi się po niebie chmurzyskami, wielkie biurko i rzeźbę. Po chwili wstałem i zbliżyłem się do figury z plakietką na postumencie: B. MAPJIBEKOHEB. Po rosyjsku. Nie znałem ani literki z tego języka. Mój wzrok powędrował w górę, napotkał oczy tamtego. Tym razem połączone w brązową całość nie z monoklem, lecz z małymi okularami, lenonkami, nałożonymi na garbaty nos. Wyobraziłem sobie nagle tego jegomościa w surducie sprzed stu lat, jak bierze do ręki gitarę albo bałajkę, bo to jakiś Ruski, i zawodzi: *give peace a chance*. Parsknąłem śmiechem.

Figura zgasła moje śmichy-chichy ponurym milczeniem. Podszedłem do biurka. Papierzyska, teczki z dokumentami, ozdobny kałamarz. Ani śladu komputera, jedynie ten czarny telefon. Jak samotny kruk na blacie. Kruk. Tak. Już dziś widziałem kruka. Wiele kruków. Mój wzrok bezwiednie powędrował w stronę okna, zawisł na pędzącym pierzastym dywanie. Kruk rzeczywiście siedział na wystającym kawałku muru. Odwróciłem się do biurka. W tym momencie zauważyłem małą karteczkę z kilkoma niedbale nagryzmlonymi literami. „KP już w środku”. KP? KP to moje inicjały. Nie, to musi znaczyć coś innego. Nie będę przecież czytał cudzych papierów, żeby się upewnić. Już chciałem wrócić na swój fotel, kiedy przez głowę przemknęło mi wspomnienie sprzed chwili. „Proszę się rozgościć, panie Krzysztofie...” Nie wyjawiałem temu Nowakowi swojego imienia. Po chwili przyszła kolejna myśl. Zadzwoił do portiera, a ten powiedział mu, że wyszedł, ale zaraz wróci. A ja go widziałem tu, w tym budynku. Nie na zewnątrz! A w jaki sposób zadzwonił? Raz zakręcił tarczą. Czyli wybrał tylko jedną cyfrę! Moi rodzice mieli telefon z tarczą jeszcze kilka lat temu. Nawet jeżeli portier Franciszek posiadał komórkę, a nie wyglądał na takiego, to doktor Nowak nie zadzwonił do niego.

Zerwałem się w panice. Rany! Gdzie ja jestem? Pobiegłem do drzwi. Próbowałem je otworzyć, ale były zamknięte na glucho. W przerażeniu lustrowałem cały pokój, dostrzegłem drugie drzwi, prowadzące nie wiadomo dokąd. Podbiegłem i

już miałem chwycić klamkę, kiedy się uchyliły. W progu stanął uśmiechnięty Nowak. Zamierzał coś powiedzieć, ale powstrzymał go mój stan wzburzenia. W reakcji kiwnął tylko na kogoś za swoimi plecami. Chciałem natychmiast i kategorycznie zażądać wypuszczenia, kiedy dwie postacie w białych fartuchach wybiegły zza Nowaka i chwyciły mnie za ręce. Ktoś mi przyłożył mokry wacik do nosa. Pokój zafalował, a następnie się zawalił, niknąc pod zamkniętymi powiekami.

Mądre pytania

Następnego dnia panowie tradycyjnie spotkali się pod trzepakiem. Stalowy trochę się boczył na Mariana, Marian na Stalowego, Pająk się na nikogo nie boczył, ale i tak wyglądał, jakby się boczył. Dokładna lektura porannej prasy wykazywała również niechęć prawicy do lewicy, brak sympatii Chińczyków do reszty świata oraz reszty świata do Chińczyków. Innymi słowy wszyscy chętnie by powtórzyli wczorajsze mordobicie, gdyby to tylko miało jakikolwiek sens. Ale nie miało. Rozbita warga Stalowego i opuchnięte oko Mariana ani trochę nie zmieniły porządku wszechświata i pozycji Słońca, które być może stało w centrum, a być może kręciło się wokół Ziemi. Dlatego wszyscy siedli, ledwo tolerując się nawzajem. Siedzieli i wydawali z siebie pomruki, łącząc je z ponurymi westchnieniami. Wiedzieli, że Marian powinien już dostać rentę. Zazwyczaj było to święto, szkło dzwoniło od samego rana. Ale dzisiaj Marian milczał jak zaklęty, ani słowem nie pisał o forsie, nie mówiąc o zapraszaniu kogokolwiek na cokolwiek. W końcu Stalowy nie wytrzymał:

– No i co? – wyartykułował przełomowe pytanie, patrząc z ukosa na kolegę.

Ten wzruszył ramionami.

– I nic.

Odpowiedź była prosta i zrozumiała, choć nie wniosła do sprawy nic nowego.

– Aha – Stalowy potwierdził przyjęcie komunikatu. Znowu zaległa cisza przerywana westchnieniami i nikotynowym pokaszliwaniem.

Marian czuł oczekiwanie kolegów i rozkoszował się chwilą tryumfu. Od niego zależały teraz ich losy. Dziś muszą się postarać, żeby go udobruchać. Nie ma: „dawaj na szkło, wiemy, że już przysła”. O, nie! Jak chcą mieć sponsora, muszą mu pokazać, że jest ważny. A jak nie, to niech zapierdzielają do skupu z trefnymi pokrywami. Może się który tam zlituje. Dziś on jest przy forsie. Dość ograniczonej co prawda, bo Zofia po wieloletnich doświadczeniach, kiedy rodzina przymierała

głodem pod koniec miesiąca z powodu zbyt wystawnego stylu życia szanownego małżonka, rekwirowała obecnie lwią część wypłaty. Marian dostawał kieszonkowe. Ale to i tak było coś w porównaniu z golizną finansową kompanów. Po kilku minutach takiego stanu Stalowy zerwał się i odwrócił w stronę kolegów. Widać było, że stoczył walkę wewnętrzną i obecnie jest gotów poświęcić niejedno w imię wspólnej konsumpcji wina.

– No dobra! Przepraszam cię za wczoraj. Niepotrzebna awantura.

Marian popatrzył na Stalowego, ale nie zmienił wyrazu twarzy. Wyraźnie oczekiwał dalszego płaszczenia się dumnego kolegi. Ten zrozumiał sygnał. Sapnął gniewnie, ale się opanował.

– Na pewno nie jesteście idiotami ani nieukami. Może ta porcja wiedzy to było trochę za dużo... – Przerwał, czując, że znowu wypływa na niebezpieczne wody. – W każdym razie nie gniewaj, znaczy, nie gniewajcie się. Postaram się opanować na przyszłość.

Marian już dużo łaskawszym okiem taksował kolegę. W końcu, uznawszy, że pogardliwe milczenie trwa dostatecznie długo, odpowiedział:

– A jesteś, jakby co, gotów przyznać, że Słońce się kręci wokół Ziemi?

Stalowy wbił wzrok w podłogę, nie chcąc zepsuć dobrego obrotu sprawy, choć widać było, że propozycja Mariana bardzo go wzburzyła. W końcu wymamrotał:

– Niech będzie. Co mi tam.

– A to, że Ziemia jest płaska i pływa na czterech wielorybach?

To był szczyt upodlenia. Stalowy zacisnął pięści i popatrzył wściekle na Mariana. Ten zorientował się, że przesadził, bo szybko dodał:

– Żart, żart! Nie musisz niczego przyznawać, Kazek. Twoje nauki z wczoraj są również nadal aktualne. No dobra! Idziemy!

Wszyscy zerwali się z ławki i pobiegli do pobliskiego sklepu spożywczego.

Po kilkunastu minutach nastrój wyraźnie się poprawił. Dzień nabrał tradycyjnie świątecznego charakteru. Trzech panów hałasowało i kleło jak zwykle, i jak zwykle spokojni mieszkańcy, emeryci i niepijący bezrobotni obchodzili ławeczkowe towarzyszo szerokim łukiem. A ci wrócili do naukowych dysput.

– Suche definicje to, jak widać, droga donikąd, ale problemy można też ugryźć z drugiej strony. Dajmy na to przez zadawanie pytań. Mądrych pytań.

– A są głupie?

– No jasne. Marian zadaj jakieś pytanie.

– A co? Już wiesz na bank, że będzie głupie? – Marian zerwał się z chlupoczącą butelką w dłoni, gotów na zniewagę odpowiedzieć zbrojnie.

– Spokojnie, nie o to chodziło. Zadaj pytanie i przeanalizujemy możliwości odpowiedzi. Chodzi o wypracowanie metody dobrego zadawania pytań.

Marian zastygł w bezruchu, twarz przybrała cierpiętniczy wyraz towarzyszący myśleniu. Ale im bardziej skupiał się na zadaniu pytania, tym większą pustkę czuł w głowie. Po kilkunastu sekundach wydawało mu się, że nie ma na świecie rzeczy, o którą można spytać, nie ma słów służących tworzeniu pytań, nic nie ma. Stan ten tak bardzo uwidoczniał się na obliczu Mariana, że jego rozochoceni winem kompani wybuchnęli śmiechem. Marian nateżał umysł coraz bardziej, ale był coraz dalej od zadania pytania.

– I czego się śmiejecie, pacany? – warknął wreszcie.

– O, pytanie! – zachwycił się Stalowy, cały czas rechocząc. – No dobra! Niech będzie. Co można o nim powiedzieć, Pająk?

Śmiech Pajaka skończył się jak nożem uciął. Wpatrywał się w swoich kompanów tępym wzrokiem, czując, tak jak Marian przed momentem, całkowity brak kwalifikacji do wypowiedzenia się w danej kwestii. Jego milczenie trwało dobrych kilkadziesiąt sekund, w tym czasie Kazek się uspokoił.

– To może ty coś powiesz na ten temat. – Marian przeszedł do kontrataku. – Zaczynasz innym mącić, a sam nic.

– Zapytałeś: „I czego się śmiejecie, pacany?”. Czego chciałeś się dowiedzieć?

– Jak to czego? Chciałem wiedzieć, dlaczego się śmiejecie.

– Świetnie! Pytanie otwarte. Zmusza do zdefiniowania własnej odpowiedzi. Po drugie sugeruje, że musimy opowiedzieć o wyśmiewanej postawie, zjawisku, a nie z kogo się śmialiśmy. Po trzecie sugeruje, poprzez słowo „pacany”, że śmiech w takiej sytuacji jest zachowaniem niegodnym.

– Czyli zadałem zarąbiste pytanie! – ucieszył się Marian. Następnie łyknął z trzymanej butelki i dodał: – Ma się ten łeb na karku!

– No, powiedzmy. – Stalowy studził zapal Mariana. – Ale pytanie z siebie wydusiłeś. To fakt.

– No i co dalej? – zainteresował się swoim dalszym losem Pająk.

– Zadawajmy dobre pytania, to będziemy na pewno mądrzejsi! – Stalowy wygłosił ten slogan tak, jakby ćwiczył go przez cały wieczór przed lustrem. Co było zresztą prawdą.

Pająk i Marian mruknęli, popierając słuszną koncepcję, ale na tym się skończyło; żadne pytanie nie padło. Znowu czuli potężną pustkę w głowach, a oczywisty był tylko fakt, że trzeba skoczyć do sklepu po dolewkę. Pająk już zbierał zamówienia. I zadawał mądre pytania, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Świtała nie pęka

Dyżurny siedział jak co dzień za swoim biurkiem, mieszał niesamowite ilości cukru w herbacie i marzył, żeby wszystkich interesantów komisariatu szlag trafił na miejscu. Zgłoszenia i zgłoszenia. O kradzieżach, oszustwach, dzieciach rysujących lakier samochodu, o podejrzeniu zamiaru gwałtu, o braku spodziewanego gwałtu. I tak dalej. Ale ten gość to już była gruba przesada, nawet w oczach zblazowanego policjanta.

– No i rozumiesz pan, porwany, uwięziony! Przez grubego portiera. A może całą szajkę. Wszedł, a nie wyszedł. Ile można tam siedzieć? – Świtała mówił szybko i wywijał przy tym dość ciekawe choreograficznie wygibasy. Na dyżurnym nie robiło to jednak kompletnie wrażenia.

– Ile chłopczyk ma lat? Zna swój adres, wie, jak się nazywa? – Szedł według procedury.

Świtała zamarł na chwilę, analizując pytania.

– Jak się nazywa? Tak, sądzę, że wie. I adres też zna, kiedyś mi podawał z pamięci. Ma jakieś dwadzieścia dwa lata.

Dyżurny zatrzasnął wściekle skoroszyt i huknął pięścią w stół, aż szklanka z napojem podskoczyła.

– To co pan dupę zawracasz?! Dwadzieścia dwa lata! Przecież to stary koń! Zgłoszenie przyjmujemy czterdzieści osiem godzin po udokumentowanym zniknięciu. Następny proszę!

Ale Świtała nie dał się tak łatwo spławić. Ani myślał odchodzić od stołu rumianego policjanta, a następny petent bezskutecznie starał się go obejść to z prawej, to z lewej strony, szukając dostępu do dyżurnego. Ale wypięty i ruszający się ciągle zad Świtały blokował drogę, stając się przeszkodą nie do pokonania. Zaś jego właściciel nabierał rozpędu krasomówczego:

– Jeśli jemu coś się przytrafi, to pan będziesz winien. Pan spojrzysz w oczy jego matce, powiesz jego dziewczynie albo chłopakowi: „Przepraszam, ale musiałem czekać dwa dni, bo on już jest stary koń”. I to pan znajdziesz oderżniętą głowę konia w pościeli! Bo zemsta będzie straszna!

Ostatnia groźba podziałała na wszystkich zebranych w poczekalni piorunująco; zapanowała cisza jak makiem zasiał, wszystkie głowy zwróciły się w kierunku dyskutującej pary. Dyżurny wstał z za stołu i wlepił wściekły wzrok w Świtale, palce rąk wpiły się w blat i zacisnęły tak mocno, że aż zbieleły na końcach. Trwała pełna napięcia cisza. Widać było, że w otyłym policjancie się gotuje, że zaraz... W tym momencie zegar dotarł wskazówkami do godziny szesnastej. Wyjechała kukułka, która ze względu na obluzowaną śrubkę była przekrecona o sto osiemdziesiąt stopni i kukała do góry nogami. Napięcie pękło jak bańka mydlana, dyżurny usiadł, wyciągnął arkusz.

– Imię i nazwisko... – Procedura potoczyła się dalej, tak jakby zaginęło małe dziecko. Świtale nie odpuszczał, o nie. Papiery poszły w ruch.

Tej scenie przyglądał się również Wątroba. Komisarz, choć zewnętrznie podobny do dyżurnego, miał inny, dużo mniej formalny pogląd na pracę policji. Jeżeli ktoś ma przecucie, że stało się nieszczęście, to należy działać. Choćby potem wyszło, że chłopak zabawił dłużej ze swoją dziewczyną albo że spotkał kolegę z podstawówki i budzi się właśnie na ławce w parku, mając cztery promile we krwi. Trudno. Za dużo się naoglądał tragedii spowodowanych marudzeniem i okresami ustawowymi. Można to nazwać przezornością, można też ADHD, ale Wątroba już taki był. Zewnętrznie spasiony i niemrawy, ale naprawdę szybki i wnikliwie działający.

Gdy tylko dyżurny skończył swoją robotę, Wątroba wziął teczkę, machnął na Świtale i poszli do biura. Tam usłyszał wszystko jeszcze raz. Nie wiadomo czemu,

ale dwóch panów działało i rozumowało bardzo podobnie. Wątroba obiecał sprawdzić, co i jak. Zaraz zawołał posterunkowego Chwiejczaka.

– Melduję się, panie komisarzu.

– Chwiejczak, szukamy chłopczyka, zaginął biedaczyna. Lat dwadzieścia jeden... znaczy dwa – poprawił się i zawiesił głos, patrząc na reakcję podkomendnego. Ten jednakże słuchał skupiony i scalony w jedną bryłę jak słup soli.

– Krzysztof Podemski, macie tu adres. Sprawdźcie, czy jest w domu albo czy ktoś coś o nim wie.

Chwiejczak odmaszerował. Wątroba spojrział na Świtale.

– A właściwie dlaczego ten budynek i portier wydały się panu podejrzane?

– Niby środek miasta, a ty stoisz na schodach i niczego nie słyszysz, ani samochodów, ani nic. I nikogo na skwerze. Tylko te dwa giganty z mieczami. Normalnie wcisnęło mnie w chodnik. To nie jest zwykłe miejsce.

Wątroba, słysząc te bajania, stwierdził w duchu, że raczej przesadził z zaangażowaniem w sprawę, ale po chwili machnął ręką. Trudno. Chwiejczak już poszedł, sprawdzi się, upewni i zapomni.

Angielski to podstawa

Następnego dnia zapasy były jeszcze obfite i towarzystwo herbu „Ławeczka pod trzepakiem” spokojnie konsumowało radość życia. Słoneczko świeciło, ptaszki się uwijały po ptaszkowemu, a ludzie po ludzku. ONZ przegłosowała z rana rezolucję potępiającą jakieś reżimy w Ameryce, a może w Australii. Ale te sprawy były dla nich równie odległe co Jowisz. Do tematu mądrych pytań nie wracano, bo i po co. Człowiek pod wpływem alkoholu różne rzeczy gada. Ale żeby to od razu roztrząsać i się czepiać? Stalowy miał dziś bardzo tajemniczą minę i wciąż się rozglądał, co nie umknęło uwadze kolegów.

– A ty co tak mięsień szyjny ćwiczysz, stara cię pogoniła i boisz się, że cię tu dopadnie? – Marian nie miał lekkiego życia w domu, więc tu upatrywał powodów nerwowości kolegi.

– A nie, nie. Czekam na kogoś. Właściwie to czekamy. – Do tajemniczej miny dołączyła tajemnicza informacja. Kumple spojrzeli pytająco na Stalowego. – Jest taka sprawa – zaczął. – Słyszałem, że w dzisiejszych czasach angielski to podstawa. A szczególnie w badaniach naukowych, rozwoju i innowacji. Poprosiłem kogoś, mhm... siostrzeńca konkretnie, żeby trochę nas wprowadził w temat. Chwalił się, że umie dobrze po angielsku.

– Boże, znowu badania naukowe i innowacje. Przecież już to wczoraj zaliczyliśmy! – Marian był wyraźnie zdenerwowany natarczywością kolegi, ale w ostatecznie wzruszył ramionami. Może być angielski.

Po chwili ujrzeli zbliżającą się zakapturzoną postać w łopoczących, o wiele za dużych, ciągle opadających spodniach, w których nie dało się zidentyfikować miejsca, gdzie nogawki rozdzielały się na prawą i lewą. Przydeptane portki kończyły się czymś w rodzaju tenisówek. Postać wyraźnie zmierzała w ich kierunku. Po chwili stanęła przed ławką.

– Siemka, wujo!

– Cześć, Konrad. To moi koledzy. Chcemy trochę liznąć angielskiego.

– Ale oldskulowcy! Ja cież chromolę! A co to za melanż? – Wskazał na butelki trzymane przez towarzystwo. Następnie wziął do ręki flaszkę Stalowego, spojrzął na etykietę. – Napój alkoholizowany *Wykop*. Zawartość alkoholu jedenaście procent. No, wujas! Starzy mówili, że jesteś niezła kira. Szacun!

Wszyscy zastygli, patrząc na młodego przybysza. Kilka słów brzmiało, jakby już zostały wypowiedziane w obcym języku, ale zasadniczo treść rozumieli, więc to raczej nie był angielski.

– Słuchaj, Konrad. Możesz nas tu trochę wspomóc w angielskim? Chcemy iść z duchem czasu. A dziś bez języka to... sam zresztą wiesz.

– No problem, wujas. Słuchajcie – zwrócił się bezpośrednio do całej obsady ławki. – W angielskim najważniejszy jest *feeling*. Jak wejdziecie w te klimaty, to słowa będą wam same przychodzić do głowy. A najlepszy *feeling* jest w muzie. A najlepsza muza to... – Zamiast dokończyć zdanie, wyciągnął swój telefon komórkowy. Poszukał czegoś w menu i po chwili z charczącego głośniczka uniosły się dźwięki.

Yo if you're fucked up, put your cups up

Ice Cube and Snoop Dogg, nigga what's up

See he's a gangster, I'm a hustler

*Yo it's either thank ya, or it's fuck ya*¹

Konrad gibał się i kołysał, przebierał nogami, wykonując przy tym dziwne, węzowe ruchy rękami, usta mamrotały coś niewyraźnie. Komórka charczała jednostajny, długi tekst, wzmacniany podkładem muzycznym. Wielbiciele napoju

¹ Ice Cube, *Go To Church*

Wykop siedzieli jak oniemiaли. Po dwóch minutach spektakl ustał. Konrad, cały czas lekko się bujając, zwrócił się do zebranych:

– No i jak? Czujecie *feeling*? Daje kopa w czachę, nie ma co!

Po czym puścił szczekaczkę ponownie i ruszył w tany. Kazek usiłował go powstrzymać ruchem ręki.

– Konrad, Konrad! Koniec! Konrad!

Rozochocony siostrzeniec nie od razu zrozumiał, o co chodzi, ale po chwili wyłączył urządzenie.

– I co? Nieźle daje w cza...

– Co to było? – Kazek wszedł mu w słowo.

– Jak to co? Muza, debeściacki *feeling*, gangsta i madafaka!

– Ale co on tam, mhm, śpiewa? Nic nie zrozumiałem.

– Jak to co? Że najlepiej być gangsta, mieć dupy i hajc! Wejdźcie w *feeling*, to słowa same przyjdą do głowy.

– Ty, Konrad, a powiedz mi, jak jest po angielsku: „Nazywam się Kazimierz Opalek”? – Kazek wyraźnie nabierał podejrzeń co do umiejętności lingwistycznych siostrzeńca. Ten wydał pogardliwie wargi i popatrzył na nich z politowaniem.

– Ja im Ajs Kjuba, a ten mi „Nazywam się Kazimierz Opalek”. Wujas! *Feeling* to...

– Konrad, ty chyba nie do końca umiesz angielski, tak jak mówiłeś.

Chłopak stropił się.

– No wiesz, wujas. Ja ćwiczę *feeling* i mnie słowa same wpadają do głowy, ale tak bez muzy to... – Konrad zawiesił ze smutkiem głos.

Kazek pokiwał w zadumie głową. Tak, tak, z rodziną dobrze się wychodzi tylko na zdjęciu. Twierdził, że umie dobrze, a teraz słowa same przychodzą do głowy. Tyle że jego słowa, a nie angielskie. Pająk i Marian patrzyli z politowaniem, słuchając ich dialogów.

– Konrad, dziękujemy bardzo, że przyszedłeś. Grunt to zaangażowanie. *Feeling*, jak ty to nazywasz, ale chyba sobie inaczej poradzimy.

Chłopak ponuro spoglądał na wuja. Dopiero teraz dotarł do niego fakt, że nikogo niczego nie nauczy, bo sam nic nie umie, na dokładkę to, co jego kręci, innych nie rusza ani trochę. Pociągnął nosem, schował telefon do kieszeni.

– No to lecę, wujas.

– Trzymaj się, Konrad, dzięki.

Kazek patrzył ponuro za oddalającym się młodzieńcem. Następnie wstał z ławki.

– Konrad!

Ten odwrócił się z pytającym wzrokiem. Kazek wstał.

– Dzięki jeszcze raz za fatywę. Miło, że się postarałeś. Bardzo miło. Wiesz, nie mam za bardzo kasy, ale... – Rozglądał się przez chwilę bezradnie. – Weź to. Za fatywę. – Wręczył mu niedopitą butelkę z *Wykopem*. – Na zdrowie!

Konrad zmierzył Kazka wejrzeniem spod kaptura, po czym wyciągnął rękę i przejął szkło.

– Nie, żebym chciał zapłaty, ale miło coś od ciebie dostać, wujas. Dobry, oldskulowy *Wykop*. – Pokiwał głową z uznaniem.

I poszedł. Kazek usiadł na ławce z ciężkim westchnieniem. Zapatrzył się w punkt.

– Miło coś od ciebie dostać, wujas, powiedział. To mój chrześniak, a nigdy mu nawet ołówka nie dałem na urodziny. Taki ze mnie wujas...

Marian poklepał go pocieszająco po plecach.

– Ale musi cię lubić, skoro przyszedł. Może jednak nie jest tak źle.

– Może nie. – Stalowy uśmiechnął się blado.

Panów opanował nastrój zadumy popołudniowej. Słońce przesunęło się już za obrys trzepaka, wesoło nucać, że grunt to być gangsta, mieć dupy i hajc.

Taś, taś, teren zastrzeżony

Wątroba po przybyciu następnego dnia do pracy zastał Chwiejczaka przy pisaniu jakiegoś zaległego protokołu. Praca tak go pochłonęła, że nie widział nikogo ani niczego. Mruczał jedynie pod nosem jakieś swoje przemyślenia, długopis pędził po papierze, myśl stawała się czynem zgodnie z rozporządzeniem Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji. Komisarz na palcach podszedł do zajętego podkomendnego, pochylił się nad jego uchem i ile sił w płucach wrzasnął: „Alarm!”. Postać wyprostowała się nagle jak pięść wyskakująca z pudełka, Wątroba odskoczył, ledwie umykając przed uderzeniem głową w szczękę. Następnie Chwiejczak wydał ciche westchnienie i osunął się miękko z krzesła na podłogę. Komisarz zastygł na chwilę, podziwiając swoje dzieło, następnie mruknął: „Przesadziłem” i zawołał dyżurnego.

Rozpoczęto akcję reanimacyjną, bo blade lico Chwiejczaka wyglądało już nieco jakby nie z tego świata. Jednakże po kilku minutach, wachlowany zeszytem A4 w kratkę i pojony słodziutką herbatą dyżurnego, zaczął dawać pierwsze oznaki życia. Usta poruszyły się, próbując przemówić, ale tak cicho, że nikt nie słyszał słów. Dyżurny pochylił się.

– Co on tam mówi? – zapytał Wątroba.

Dyżurny zmarszczył czoło, próbując rozszyfrować informację od cuconego; jego ucho prawie przywierało do ust posterunkowego.

– Puchowy śniegu tren... Na górze, nie... na chmurze ty i ja... Z miłości jest nasz herb... Z niebios bałwan spadł...

Dyżurny odsunął się gwałtownie od leżącego kolegi, jakby ten zaproponował mu coś niestosownego. Ktoś parsknął śmiechem. Wątroba wpatrywał się w posterunkowego i do głowy przyszła mu taka myśl, nie wiadomo skąd, że

Chwiejczak ma drugie dno. Nie, żeby w ogóle miał dno, nie jest przecież łodzią, ale drugie dno miał na pewno.

Po następnej minucie policjant otrzeźwiał zupełnie, rozejrzał się wkoło, wyraźnie nie rozumiejąc, co się stało i dlaczego znalazł się w tak nieprzepisowej pozycji. Po chwili chyba jakieś fakty mu się przypomniały, bo zmarszczył brwi, potoczył wokół ciężkim spojrzeniem, jakby szukając czegoś, co zgubił, w końcu jego wzrok spoczął na dobrotliwym obliczu Wątroby.

– Pan coś mówił, komisarzu? Że alarm, czy jakoś tak?

– Nie, to chyba złudzenie akustyczne. – Wątroba przyjął taktykę „dobroduszny idiota”.

– Aha. – Chwiejczak uznał istnienie dobrodusznego idioty. Następnie wstał, otrzepał spodnie i bluzę, po czym usiadł do przerwanej pracy nad protokołem. Długopis podjął szalony taniec po kartce papieru. Wtem posterunkowy przerwał, spojrzał jeszcze raz na Wątrobę i wycedził:

– Ale proszę nie stwarzać żadnych złudzeń akustycznych więcej, to bardzo niezdrowe dla układu oddechowego.

I wrócił do roboty. Dyżurny zaś powrócił do petentów niecierpliwie drepczących i chrząkających znacząco przy opuszczonej ladzie. Wątroba zawstydzony usiadł za swoim biurkiem. Po dwóch godzinach sytuacja się unormowała; Chwiejczak wszedł w tryb „żywy” i wyglądało na to, że puścił w niepamięć przeżycia poranka. Wątroba chciał zamknąć kilka spraw czekających na podsumowanie. Między innymi wczorajszą interwencję w sprawie zaginionego dwudziestodwulatka. Chwiejczak zreferował pozostałe sprawy, natomiast przy Podemskim nieco się stropił.

– Byłem u niego w domu, panie komisarzu. Rozmawiałem z facetem...

– Aha, to sprawa zakończona! A wytłumaczył, co się stało?

– Wytłumaczył i... – Chwiejczak zawiesił głos – i jakoś tak mętnie się tłumaczył. Wszedł do budynku i już miał za chwilę wyjść, ale padał deszcz, więc przeczekał...

– Mogłoby tak być. Ale wczoraj nie padał deszcz – zauważył komisarz.

– Nie padał. – Chwiejczak smętnie pokiwał głową. – Chyba że tylko tam padał, bywają lokalne chmury.

– Bywają. – Wątroba nie wyglądał na znawcę małych, lokalnych opadów. – Choć dosyć rzadko – dodał z miną godną eksperta meteorologii, którego postanowił mimo wszystko udawać.

– Ale... – zaczął Chwiejczak.

– Ale co? – zaciekawiał się Wątroba.

– Pan wie, jak się zachowuje gość, który ma trefne alibi. Nie umiem tego inaczej wyjaśnić, ale on gada właśnie tak, jakby miał trefne alibi.

Wątroba wiedział, jak się taki gość zachowuje. Grzecznie odpowiada, wie co i jak, wyjaśnia każdą wątpliwość, ale ty czujesz, że kręci, choć nie wiesz gdzie.

– Czyli kręci? – zapytał.

Chwiejczak skinął głową.

– Ale nie ma powodu, żeby się nim dłużej interesować?

Nie było powodu. Sprawa została odłożona *ad acta*; podsumował ją króciutki, lakoniczny raport. Chwiejczak zajął się pożyteczniejszymi sprawami, czyli wypełnianiem protokołów. Za ścianą dyżurny odpierał kolejne ataki wściekłych petentów, którzy nie zdawali sobie sprawy, że gość, który przyjmuje ich zgłoszenia, zapisując te wyrwane torebki albo upiłowane kłódki, szczerze ich nienawidzi i chętnie by ich wypatroszył oraz upiekł na wolnym ogniu w odwecie za zmarnowane życie. Ale na razie się powstrzymywał, siedział za murem biurokratycznych zasad i formularzy, czekając na swój dzień.

Wątroba po skończonej pracy postanowił przejść się przez miasto, odwiedzając dawno nieodwiedzane kąty w centrum. Zainspirowany opowieściami Światy i Chwiejczaka chciał również zobaczyć ów ponury budynek. Po drodze zjadł loda, hamburgera z cebulką, hot doga i bezę; tak pokrzepiony, uznał, że świat jest piękny, ludzie ładni i dobrzy, a on – odporny na każde zaskoczenie i wszelką nieprzyjemność. Wiedział z doświadczenia, że to stan krótkotrwały, a szara rzeczywistość wkrótce go walnie piąchą w nos, ale tymczasem maszerował z miną godną dobrodusznego idioty, którego przecież udawał od rana.

Budynek rzeczywiście był ponury i przygniatający, zaprojektowany w taki sposób, że wydawał się jakby oddzielony od reszty dzielnicy. Wyrastał nagle zza rogu ulicy, ale nie sąsiadował bezpośrednio z żadnym innym gmachem. Odpychał wszystkich ciekawskich, a długie schody i dwóch granitowych przyjemniaczków z mieczami pilnujących wejścia dodatkowo nie ułatwiało kontaktu. Wątroba poczuł, że jego dobry humor właśnie dostaje pięścią w nos. Ale cóż, zwiedzanie to zwiedzanie. Podszedł do schodów – piętrzyły się przed nim piramidką kamieni, twardo i niedostępnie, grożąc milcząco jego niepewnym krokom. Każdy stopień oznaczał przeszkodę, niepewność, strach. Każdy stopień oddzielał go coraz bardziej od świata, szumu samochodów i pełnej życia ulicy – wszystko to było coraz dalej, tak jakby ktoś łopata za łopata przysypywał go watą.

Niebo zaciągnęło się szarością. Wątrobę trochę zdziwiło to nagłe załamanie pogody; jeszcze przed chwilą lizał loda, marzył o plaży nad Adriatykiem i nic nie zapowiadało deszczu. Olbrzymy z mieczami górowały już nad nim całkiem wyraźnie, wielkie drzwi brały w dużą ramę jego sporą przecież postać. Wątroba poczuwszy na twarzy lekkie krople mżawki, odwrócił się, spoglądając z góry na okolice. Zachmurzenie i groźba burzy musiały wystraszyć przechodniów, którzy jeszcze kilka minut temu tak tłumnie maszerowali chodnikami, bo zrobiło się pustawo. Kamienice naprzeciwko szarym murem okalały ten mały, granitowo-

posepny świat. Na sznurze rozpiętym na balkonie łopotała bielizna, którą ktoś pospiesznie ściągał, usiłując zdążyć przed ulewą; kraczące kruki krążyły nad placem. Ulicą jechała czarna limuzyna, ford albo opel, Wątroba nie mógł rozpoznać z tej odległości. Zza zakrętu wychynał tramwaj; dzwoniąc, zbliżał się do przystanku, do którego ktoś biegł, przecinając w poprzek ulicę.

Komisarz pociągnął za ogromną klamkę; wrota ani drgnęły. Przylepił twarz do małej szybki w drzwiach, kapelusik zsunął się na tył głowy. Zniekształcony refleksami i załamaniem rżniętego szkła, widok był dość ubogi. Dostrzegł poręcz schodów, za drzwiami jakąś figurę, ale przede wszystkim widział szarość i ciemność. Przez kilka sekund trwał tak, usiłując lepiej się przyjrzeć, ale efekt był mizerny. Wreszcie za drugimi, wewnętrznymi drzwiami coś się poruszyło, ktoś je otworzył, a potem siłował się z wrotami na zewnątrz. Komisarz odskoczył. Ciężkie skrzydło uchyliło się, brzuchaty portier wynurzył się i z marsowym obliczem zakomunikował:

– Nie ma oglądania! Teren zastrzeżony! – Dla zwiększenia efektu stanął na rozkraczonych nogach, ręce założył na piersiach, podniósł głowę, wskutek czego fałdy podbródka nieco się wyprostowały. – Przebywanie zabronione! Teren zastrzeżony! – Komunikat został powtórzony.

– Już idę, idę. A co tu się robi w tym waszym... instytucie? – Wątroba musnął wzrokiem tablicę z nazwą obiektu.

– Badania. – Odpowiedź nie zaskakiwała. – Badania naukowe – dodał portier, sądząc pewnie, że Wątroba może pomylić instytut z przychodnią lekarską.

– Aha. – Znow pojawił się uśmiech dobrodusznego idioty. – A wy jesteście PAN albo uniwersytet?

Posągowa postać odźwiernego nieco się skuliła, jak pytanie było niemiłe. Po chwili jednakże cieć odzyskał rezon.

– Jesteśmy samodzielną jednostką. I dość pytań! Te informacje również są zastrzeżone! – burczał grubas.

Wątroba mruknął krótkie podziękowanie i zaczął schodzić po schodach. Czuł na plecach badawczy wzrok portiera, widział oczyma duszy, jak tamten analizuje każdy jego ruch, zastanawiając się, kim jest ten ciekawski intruz. Zupełnie inaczej niż typowy cieć, który ledwo wygoni natręta, zaraz wraca do krzyżówki albo teleturnieju. Ale ten odźwierny wszystko zapamięta, opíše, zaraportuje. Wątroba był tego pewien, nie wiadomo skąd, ale nie miał w tej kwestii żadnych wątpliwości.

Pogoda na szczęście się nie zepsuła, mżawka okazała się przelotna i gdy tylko zszedł z kamiennej nieskończoności schodów, zza chmur wyjrzało słońce i świat wokół znów wyglądał bardziej letnio, na balkonach suszyła się bielizna, a kruki tańczyły w powietrzu z gołębiami i wróblami. Wątroba głęboko odetchnął i uśmiechnął się dobrodusznie, jak na dobrodusznego idiotę przystało. Odwrócił się, lustrując bryłę posępnego gmachu, i zdało mu się, że w jednym z okien widzi twarz obserwatora. Nie, to chyba złudzenie. Machnął w końcu ręką i pomaszerował obok kwiatowych klombów w stronę niewielkiego skweru, który rozciągał się za placem.

Widok ławeczek otoczonych śmieciami i zbitymi butelkami po piwie oraz winie od razu przywiódł mu na myśl Stalowego Kazka z kolegami. Po chwili zauważył na ławeczce po drugiej stronie jakąś przygarbioną postać. Staruszek emeryt. Siwa głowa, szare palto, rozpięte w odpowiedzi na słoneczną pogodę, i tony chleba kruszone na chodnik – dla gołębi. Podeszedł do niego z przyjaznym, dobrodusznym uśmiechem wiadomo kogo.

– Jak się woła na gołębie? Taś, taś? – zagaił.

Staruszek spojrział na Wątrobę tak, jakby to pytanie go obraziło.

– Taś, taś. Ale wymyślił! W ogóle się nie woła, no chyba żeby skłonić je do latania. Wtedy: „Bujaj, bujaj!”. A tak to normalnie można do nich mówić, na przykład... mhm, „Dzień dobry” albo... A zresztą, kim pan jesteś? Czego pan chcesz? – Staruszek wyraźnie się zdenerwował, że Wątrobie udało się go naciągnąć na jakieś dziwne, nieomal intymne zwierzenia.

– Też lubię gołębie – uspokajał sytuację komisarz. – Miło popatrzeć, że ktoś tak kocha przyrodę. – Lał wazelinę szerokim strumieniem, aż staruszek pokraśniał z zadowolenia.

– A tak, tak. Może chce pan sobie rzucić? – Podał mu kawałek bułki. Wątroba pokruszył pieczywo, ptactwo przesunęło się częściowo w jego stronę.

– Często pan tu bywa? Nigdy pana tu jeszcze nie spotkałem.

– Prawie codziennie. To pan tu nie przychodzisz, tylko teraz bywalca udajesz. To prawie mój skwer, no i tych, tego, co te butelki... Ale oni zazwyczaj wieczorami...

– Starszy pan zasepił się, jakby nie mógł przeboleć, że musi dzielić zieleniec z miejscowymi pijaczkami.

– A ten budynek? Skoro pan tu bywa codziennie, pewnie wie pan, co się tam dzieje.

– Nigdy pan nie słyszałeś o tym budynku?

Wątroba pokręcił przecząco głową. Zapanowała długa chwila ciszy; szumiały drzewa czesane przez wiatr w oddali, zadzwonił tramwaj. Staruszek podniósł się z miejsca i wbił spojrzenie bladoszarych oczu w dobroduszne oblicze komisarza. Wątroba zauważył, że z emerytem działo się coś dziwnego, niepokojącego. Zniknął przyjazny wyraz twarzy, zastąpiony nienaturalnym, wściekłym grymasem. Zaczął mówić – szybko, chrapliwie. Ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania. Wyglądał, jakby był w transie.

– To miejsce przeklęte, słyszysz, przeklęte! Ja widzę to, co było, co jest i co będzie! Ja wiem, co to życie, co śmierć. I mówię ci, to miejsce przeklęte. Odbiera ludziom życie, nie zabierając go, odbiera ludziom radość, obiecując szczęście. Mówią, że dają mądrość, a tylko w głowach mieszają. Ja ani tam wejść, ani pomóc tym, co wchodzi, nie mogę, ale pilnuję, trwam, żeby ta zgnilizna dalej się na świat nie rozlała. Chcesz ocaleć? Chcesz. To uciekaj. Uciekaj! Mówię ci!

Wątroba stał przerażony, zmartwiały, trzymając na wpół skruszoną bułkę. Słuchał tyrady, nie rozumiejąc, co się dzieje. Kim jest ten człowiek, co to za przemiana? No i w końcu, o co chodzi z tym budynkiem?

– Ale nie, ty nie odejdziesz! – wrzeszczał dalej emeryt. – Widzę to. Ty będziesz chciał znać prawdę. Poznasz ją i pożałujesz, będziesz błagał o zapomnienie. O minutę zapomnienia! A pierwszy krok do prawdy zrobisz tam. O północy! Skieruj wzrok na czoło diabła, zapatrz się na czoło diabła, a on zacznie mówić... – Wskazał na środek zieleńca.

Tu staruszek się rozkaszał. Nie mógł złapać tchu, dusił się. Opadł na ławkę, walcząc z atakiem kaszlu. Wrażenie było piorunujące. Wątroba czekał na dalszy ciąg proroctwa. W ogóle czekał na jakiegokolwiek dalsze wyjaśnienia, ale po chwili mężczyzna się uspokoił, uśmiechnął i zaczął ponownie kruszyć bułkę gołębim.

– Taś, taś – mrucał pod nosem i mrugał porozumiewawczo do Wątroby, dając do zrozumienia, że właśnie powiedział coś dowcipnego. – No, kruszymy, kruszymy! Gołąbki głodne.

– Ale jakie czoło diabła? – Wątroba dopytywał się zdezorientowany. Nadkruszona bułka nadal tkwiła bezużytecznie w jego dłoni.

– Że co, że jak? Co pan tam mruyczysz, panie Wątroba? – staruszek był chętny do pomocy, ale nie wiedział, o co chodzi.

– Jakie czoło diabła? Przecież sam pan mówiłeś? Co mam poznać?

– Czoło diabła? Ja coś mówiłem? Tylko żebyśmy więcej kruszyli, bo ptactwo czeka.

– Ale... – Wątroba zawiesił głos. Zdał sobie sprawę, że emeryt albo nic nie pamięta, albo nie chce mu powiedzieć. Następnie odwrócił się, lustrując cały skwer w poszukiwaniu czegoś szczególnego w okolicach wskazanego przed chwilą miejsca. Niczego nadzwyczajnego nie zauważył, oprócz kilku ławek i wielkiej kępy kolczastych krzaków pośrodku.

– Czy... – Odwrócił się, chcąc zadać pytanie, ale staruszka już nie było. Jego przygarbione plecy okryte szarym płaszczem mignęły jeszcze pomiędzy krzewami i tyle go widział. Chciał za nim gonić, ale w końcu machnął ręką. Nie wyglądało na to, żeby mógł z dziadka coś więcej wydusić. Nawet to, skąd znał jego nazwisko.

Zaczął obchodzić kępę kolczastych krzaków płożących się na środku zieleńca. Beładna kupa liści i ostrych gałązek. Z jednej strony wystawał fragment murku albo kamienia, który ukrywał się pod tą mini dżunglą. Wątroba bezskutecznie usiłował rozsunać albo wyrwać pnącza blokujące drogę do tajemniczego obiektu. W końcu pokłuty i podrapany rozpoczął poszukiwania jakiegoś narzędzia. Śmieci i potłuczone butelki nie nadawały się do roli maczety; spróbował więc sił ze sztachetą z pobliskiego płotku, ale ta była mocno przyspawana i za nic nie chciała się poddać atakowi wandala. Dwoje dzieci, wracających nieco później ze szkoły, z niemym zaciekawieniem wpatrywało się w grubasa starającego się zdewastować i tak już zaniedbane otoczenie.

Wątroba przez chwilę rozważał, jak bardzo powinien przejmować się misją dawania przykładu młodszym. Ostateczna decyzja nie zapadła, bo uczniaki poszły dalej, a sztacheta nie uległa przemocy. W końcu komisarz znalazł wbity w trawnik starą zardzewiałą tabliczkę z niewyraźnym napisem: „Szanuj zieleń”, osadzoną na nóżce ze stalowego profilu. Kilka minut siłowania i cenny kawałek stali znalazł się w rękach zawziętego policjanta. Niepotrzebna tabliczka poszybowała za najbliższe krzaki, a Wątroba rozpoczął karczowanie przejścia. W końcu zasapany, ociekający potem i krwią z pokaleczonych rąk i nóg, dotarł do tajemniczego obiektu, który okazał się pustym cokołem. Prosty w formie, ozdobionym czymś w rodzaju esów-floresów wrytych na płaskiej powierzchni. Wątroba oczyszczał właśnie obiekt z resztek kolczastej pokrywy, kiedy usłyszał dobiegające zza krzaków głośnie śmiechy, przekleństwa i pokrzykiwania okraszone słowami na „k”, na „ch” i na „j”. Po chwili na skwerku pojawili się autochtoni, dzierżąc w dłoniach butelki, a na twarzach niosąc

uśmiechy pełne nadziei na udany wieczorny relaks. Wszyscy zasiedli, otworzyli co trzeba i puszczając chmurki siniego, nikotynowego dymu, z ciekawością obserwowali człowieka tkwiącego w samym środku kolczastej kępy. Wątroba wiedział, że ten stan osłupienia prędzej czy później minie i podochoceni tubylecy zaczną stroić żarty z dziwaka lub, nie daj Boże, rozpoznają popularnego w mieście policjanta. Dlatego czym prędzej rozpoczął odwrót i mocno trzymając swą „maczetę”, spacerowym krokiem udał się w stronę miasta.

Punkt widokowy „czoło diabła” uznaje się za otwarty.

Nieznane ziemie i nowe doświadczenia

Każdy inny dałby już spokój. Nieużyteczne, suche definicje, źle zadawane pytania, niewykwalifikowana kadra nauczająca, brak zainteresowania jakąkolwiek wiedzą ze strony audytorium – to położyłoby każdy projekt dydaktyczny, jednakże Stalowy się zaparł. Będą mądrzejsi i już! Choćby szczył, spopieliał albo eksplodował, nie ustąpi. Z idiotami nie pije! W duchu co prawda przyznawał, że poziom intelektualny reprezentowali równy, ale to on był tą zaangażowaną siłaczką, a reszta aktorami trzeciego planu. Tak kombinując i określając role w świecie dla siebie i swoich znajomych, Stalowy doszedł do jednej podstawowej konkluzji – nauka powinna być nieświadomiona. Jak u dzieci. Z dziećmi, co prawda, doświadczenia miał marne, ale to porównanie bardzo mu pasowało. Tak trzeba pokierować procesem nauki, żeby było jak zwykle, ale zarazem pożytecznie. On, Pająk i Marian jako elita intelektualna osiedla – to stało się teraz jego celem, a osiągnie go poprzez jedyne działanie mobilizujące jego kolegów do życia. Poprzez alkoholizowanie się.

– Dybry... – przywitał się jak co dzień z towarzystwem na ławeczce pod trzepakiem.

– Dybry... – mruknęły dwie zblazowane twarze.

Szał rentowy minął, w oczy zajrzała stara bieda i szarość dnia powszedniego. Co prawda zapas gotówki nie stopniał jeszcze do zera, ale iluzja niezmiernego dobrobytu prysnęła jak bańka mydlana. Stalowy usiadł z westchnieniem obok kumpli i zapatrzył się w przestrzeń zadumanym wzrokiem intelektualnego osiedlowego guru. Koledzy milczeli z szacunku dla jego rozmyślań. Tak przynajmniej sądził do momentu, aż odezwał się Marian.

– Te, Stalowy, a jak jest „dybry” po angielsku? – zapytał i zarechotali zgodnie z Pajakiem, trącąc się łokciami.

Stalowy milczał dalej, udając mędrca wznoszącego się ponad marność tego świata.

Marian wstał, zaczął podrygiwać i ruszać rękoma, całkiem jak wczoraj Konrad. Mruczał przy tym:

– Dzień dobry to dżyn dybry, do widzenia to do łydzenia, stalowy to stełowy...

– Zatkaj się, Marian! Z Konradem była wpadka, ale lepsze to niż wasze... – chwilę się zawahał – opierdalanie się – dokończył.

Marian przerwał taniec, usiadł i westchnął.

– No i dupa – dorzucił swoje westchnienie Pająk. Stalowy pokiwał głową, potwierdzając diagnozę. Po chwili Marian klepnął Kazka w plecy i pocieszył go:

– Nie martw się, zaraz przestaniemy się opierdalać!

I poszedł po trunki. Po chwili wrócił z solidnym zapasem, ale Stalowy powstrzymał jakąkolwiek akcję kategorię ruchem ręki. Obaj koledzy patrzyli pytająco.

– Mamy lepsze miejsca niż ta ławeczka.

Marian i Pająk zaczęli się rozglądać po swoim mikrootoczeniu z takimi minami, jakby po raz pierwszy widzieli to miejsce. W końcu ich zaskoczenie, a dokładniej zaskoczenie niezadowolonym Stalowego, zostało wyartykułowane:

– Ale o co znowu chodzi? Ławka jak ławka. – Marian z Pajakiem nie widzieli nic zdrożnego w śmierdzącym śmietniku, podrdzewiałym trzepaku ani w łuszczącej się na deskach farbie olejnej.

– O to, że może być przyjemniej, wznioślej, mhm... zajebiściej – pompatycznie oświadczył Stalowy. – Chodźcie za mną.

Obaj kumple poderwali się na równe nogi i z pytającymi minami rozpoczęli wędrówkę za tajemniczo brzmiącym przewodnikiem. Próbowali kilka razy zagaic, naciągnąć Kazka na zwierzenia, ale ten pozostawał nieodgadniony. Droga wiodła przez miasto. Wędrując tak, zaczęli sobie uświadamiać, jak bardzo zasiedzieli się w

osiedlowym grajdołku. Zmiany zasze w ostatnich latach nie były może wstrząsające, ale dawały się zauważyć, zwłaszcza jeżeli ktoś od piętnastu lat kursował głównie na linii monopolowy – ławeczka.

Po kilkunastu minutach zamajaczyła przed nimi masywna sylwetka gmachu instytutu. Pająk i Marian nerwowo rozglądali się dookoła, ich szczególną podejrzliwość budził pobliski skwerek, skąd dobiegały odgłosy ni to wesołości, ni to wściekłości. Najwyraźniej imprezka, która wygoniła Wątrobę, trwała dalej w najlepsze. Postacie odziane w dresy i skóropodobne kurtki wzięły ten kawałek ziemi w posiadanie i ani myślały się nim dzielić. Nawet jeden z nich znaczył teren, wymiotując za pobliski żywopłot.

– Chyba weszliśmy na czyjś rewir – zduszonym głosem powiedział Marian. – Nie lubię być na cudzej ziemi. – Zdecydowanie nie był kosmopolitą i uważał, że świat dalej dzieli się na plemiona i sioła, a jakkolwiek obcy to wróg.

– Każdy może sobie tu chodzić. A z hołotą gadać nie będziemy! – Stalowy udawał, że wcale się nie boi, choć głos miał niepewny. – Chyba że hołota przyjdzie sama – dorzucił pod nosem.

Wycieczka minęła tętniący imprezowym życiem zieleniec i skierowała się ku majestatycznej szarości. Dwóch granitowych przyjemniaczków na górze schodów czekało na ławeczkową trójcę z gotowymi do ciosu mieczami. Niebo szarzało złowrogo. Zza zakrętu wyjechał tramwaj, postać w czarnej pelerynie próbowała zdążyć na przystanek, a czarna limuzyna zahamowała z piskiem opon, prawie rozjeżdżając rozkojarzonego biegnącego człowieka. Rozpoczęła się stała ceremonia.

– Tu! – zdecydował Stalowy, wskazując na kamienną balustradę mniej więcej w połowie schodów. – Tu se klapniemy.

Marian nerwowo pociągnął nosem, w końcu nie wytrzymał.

– Po co tu przyszliśmy? Tam jacyś... – szukał przez chwilę odpowiedniego określenia na towarzystwo ze skweru – ...menele. Tu szara kupa kamieni, źle nam było na ławeczce? – Krytycznie ocenił budynek instytutu.

Stalowy jednakże już się zadomowił w nowym środowisku. Otworzył swoją butelczynę i powiódł rozbawionym spojrzeniem po zdenerwowanych kompanach.

– Panowie, bez nerwów! Czasami trzeba zmienić otoczenie, bo inaczej zardzewiejemy. A tu... – zatoczył ręką szeroki łuk, obejmując plac i wielki przygniatający gmach – jest taka atmosfera, że... że... aż miło – dokończył. Nie pisał ani słowem o nauce przez alkohol. Nie chciał ich spłoszyć przedwczesną informacją.

– Jak komu – burknął Marian. Nie czuł się przyjemnie, patrząc na kamienny krajobraz, ale w końcu przysiadł obok Stalowego na balustradzie i również odkorkował chlupoczące dobro. Pająk od dobrej minuty konsumował bez tracenia czasu na marudzenie. Chmury szarzały i kłębiły się złowrogo nad ich głowami, ale oczekiwany deszcz nie nadchodził. Po kilku minutach Stalowy postanowił rozpocząć swoją akcję absorpcji wiedzy poprzez jej bliskość. Uznał, że poziom alkoholu osiągnął stan wspomagający ten proces.

– Bo wiecie, rozumiecie... – zagaił. – W tym budynku pracują tęgie głowy.

– Ehe – wiedzieli, rozumieli Marian i Pająk. Myny mieli wysoce absorpcyjne, więc zachęcony Stalowy kontynuował.

– Nie, żeby to coś znaczyło, ale będąc blisko, możemy ich umiejętności tak jakby... – zastanawiał się nad właściwym słowem – podebrać. O! Przejął transmisję ich fal mózgowych. Z pożytkiem dla siebie.

– Ehe – potwierdzili odbiór fali głosowej Kazka.

– Dlatego chciałbym częściej tu bywać, żebyśmy nieco przyjęli, tak od niechcienia, przy okazji, te ich fale, tę wiedzę. A robić będziemy to, co zawsze... – Stalowy zamilkł, czekając na burzliwą reakcję. Szczególnie Mariana się obawiał, bo zawsze był oporny na wszystkie nowe pomysły.

Dwa odbiorniki fal mózgowych zastanawiały się chwilę nad przekazaną ideą. Spodziewana krytyka jednakże nie nadchodziła. Stalowy coraz bardziej zdumiony spoglądał na swoich kompanów, a ci trwali wpatrzeni w jeden punkt. W końcu nie wytrzymał.

– A wy co? W mumie się bawicie albo te posągi z mieczami? Co wy na to?

Marian zmarszczył czoło w zamyśleniu.

– No dobrze. Zgoda. Ale nie obawiasz się interferencji fal z przekazem z przeciwnego kierunku? – Wskazał na dokazujących na skwerze typków.

– Marian! Przyjmując zdalny przekaz wiedzy jako funkcję emitera falowego mózgu i traktując treść przekazu jak implikator długości fali, to sądzę, że możemy tamten sygnał zminimalizować do poziomu szumu na poziomie drugiej czy trzeciej harmonicznej. Innymi słowy nie przejmowałbym się. – Pająk nie widział problemu.

– Aha, ale takie założenie wymagałoby badań nad charakterystyką fali w przypadku różnych ośrodków emisyjnych. A tego nie znamy. – Marian wątpił w brak interferencji.

Stalowy z otwartymi ze zdumienia ustami śledził tę wymianę zdań. Jego dwóch zazwyczaj zblazowanych kompanów zaczęło się kłócić o charakterystyki widm fal mózgowych w różnych badaniach. Tak przynajmniej się domyślił, sklejjając do kupy co prostsze słowa generowane przez kolegów, bo tak naprawdę z ich dyskusji nie zrozumiał nic. Różnica zdań pogłębiała się z każdą wypowiedzią. Marian szydził z „durnego, neutrinowego pajęczaka”, który myśli, że zjadł wszystkie rozumy, bo zna lemat Mandragorodowa. Pająk odwzajemniał się, klasyfikując Mariana jako „zaplutego karzelka postnewtonowskiego purytanizmu”. W końcu Marian, rycząc z wściekłości, zerwał się z kamiennej balustrady, walnął w nią pustą butelką i stanął nad Pajakiem z przepisowym „tulipankiem” w dłoni, dysząc wściekle. Tamten skoczył, kopnął z wrzaskiem w dłoń trzymającą niebezpieczne szkło – „tulipane” zatoczył piękny łuk w powietrzu i stłukł się na schodach poniżej. Następnie

„neutrinowy pajęczak” i „karzełek postnewtonowskiego purytanizmu” zwarli się w bezlitosnych zapasach, waląc się pięchami i próbując kopnąć adwersarza w krocze lub szczękę. Po kilku sekundach zmagania i bezskutecznych nawoływań Stalowego do opamiętania się, obie postacie stoczyły się na niższe stopnie, następnie w ferworze walki na jeszcze niższe, potem na najniższe. Aż stoczyli się na plac.

– Ty chuju, ty palancie...! – Igraszkom towarzyszyły niecenzuralne wrzaski i sapania.

W końcu Stalowemu udało się rozdzielić osłabłych przeciągającą się walką zawodników, którzy dysząc ciężko, ocierali rozbite nosy i obolałe ciała. Obaj błędzili wokoło nieprzytomnym wzrokiem.

– Co z wami? Pogięło was?

Ci jednakże byli jak otepalia, cały czas wodzili błędnym wzrokiem wokół. W końcu Pająk wymamrotał:

– Że interferencja, czy coś...

Marian zrobił minę, jakby go ktoś ukłuł.

– O co chodzi? Co my tu robimy?

– No właśnie? Co wy wyprawiacie? Co w was wstąpiło?! – Stalowy dawał upust swojemu zdenerwowaniu.

– Nie wiem... – jęczał Marian. – Czuję się, jakbym wypił trzy flaszki *Wykopu*, ale wczoraj, i właśnie się obudziłem.

Stalowy zrobił współczującą minę; wiedział, jak się człowiek czuje na drugi dzień po trzech *Wykopach*. Jednakże nie zamierzał odpuszczać.

– A interfe-feren-ce-cja?! A fale mózgowe?! A lemat Mandragaradorowowa, czy cholera wie kogo?!

– O czym ty, człowieku, mówisz? Jakie fale, jaki lewat? – Marian wszedł na zwykły tor konwersacji.

Stalowy popatrzył na nich w zadumie.

– Kurde, wiedza poprzez alkoholizowanie się – szepnął zachwycony. – Ale czemu oni, a ja nie? Może za mało wypilem?

I pognał po dwa stopnie na górę, chwycił po drodze niedopitą flaszkę z kamiennego murku, podbiegł do wielkich frontowych drzwi instytutu. Wtulił się w nie, pragnąc być jak najbliżej źródła wiedzy, i zaczął duszkiem pić pozostały w naczyniu napój. Pająk i Marian z podziwem patrzyli z dołu na ten popis stalowego gardła. Kazek z westchnieniem oderwał pustą flaszkę od ust, otarł je rękawem i zastygł, czekając na spodziewany efekt. Ten jednakże nie nadchodził. Próbował przywołać wspomnienie mądrej rozmowy swoich towarzyszy sprzed chwili, ale czaszkę wypełniało tylko alkoholowe pulsowanie *Wykopu*, a jedyne słowa Mariana i Pajaka, które na pewno pamiętał, to wyzwiska, których sobie nie szczędzili podczas niedawnej bójki. Koledzy pozbierali się już z ziemi i podeszli do Stalowego.

– Ty, Marian, jak tam, tego, no, z tą interferancją? – Kazek próbował wejść na spodziewany wyższy poziom mądrości.

– Weź się odczep, łeb mi pęka! – Odpowiedź nie pozostawiała wątpliwości, że scenka sprzed kilku minut była jedynie krótkim epizodem i wszystko wróciło już do normy.

– A ty, Pająk? Co powiesz? – Stalowy chwycił się ostatniej deski ratunku.

– Dupa. – Pająk nie zaskoczył ich niczym nowym.

Zapadła ponura cisza. Po chwili w drzwiach wejściowych coś zgrzytnęło, skrzypnęło i na schody wyszedł brzuchaty portier w czapce z napisem ITS.

– Proszę odejść! Teren zastrzeżony, przebywanie zabronione! – zaczął mówić to, co umiał najlepiej.

Żądne wiedzy oczy Stalowego podejrzliwie lustrowały brzuchatego intruza, ale po chwili zaskoczenia błysnęły radością. Kazek podbiegł do niego, objął zwałistą postać obiema rękoma i przytulił się z całych sił do brzuszyska.

– Interferencja, kosmos, inteligencja... – mamrotał pod nosem mądre w swoim mniemaniu słowa. Wyraźnie miał nadzieję, że ktoś ze środka budynku instytutu jest silnym nośnikiem owych fal, czy diabli wiedzą czego, co tak odmieniło na chwilę Mariana i Pajaka. A jako że miał już dobrze w czubie po wypitej prawie na raz butelce, nie miał zahamowań przed jakimkolwiek obściskiwaniem się, a nawet całowaniem. Portier był tak zaskoczony nagłym atakiem czułości, że zamarł w bezruchu z przyklejonym do siebie facetem.

– Dyfrakcja, atawizm, erekcja... – sapał Kazek, wpijając się w obły korpus. Portier zaczął z wolna dochodzić do siebie.

– Weź pan, co pan... – Odrywał wpite w swoje boki dłonie.

Po chwili odtracony Kazek stał obok z nosem spuszczonego na kwintę, a portier lustrował dziwne towarzystwo spod zmarszczonych brwi.

– Co to ma znaczyć?

– Bo my, panie, panie starszy, panie starszy kochany, próbujemy zaabsorbować trochę fal z mózgu tych tęgich mózgów, co to tu falują... znaczy pracują – bełkotliwie tłumaczył Stalowy, całkiem już zamroczony pochłoniętym *Wykopem*. – Wydawało się, że sukces już blisko, bo ci tam, te palanty – wskazał na kolegów – zaczęli gadać mądrze, trochę bez sensu, ale mądrze... A ja nic, chociaż to ja mądrzejszy tak naprawdę jestem, a potem się pobili... Ale ja muszę do wiedzy. Nalałem se absorbenta, ale może za mało... A pan to chyba nic nie emitujesz? Bo nic nie czułem. Ani trochę. Chłopaki, chodźcie no tu! Teraz wy się przytulcie do pana... pana... Jakże się pan nazywa? Choć nie trzeba mówić, z facjaty widzę, że Franciszek. Chłopaki, podejdźcie no do pana Franciszka, może znowu was porwie to nieznane coś...

Portier cofał się w stronę budynku, chcąc najwyraźniej uniknąć kolejnych podпиты gości ściskających jego brzuch w poszukiwaniu wiedzy.

– Uspokój się, Stalowy, przepraszamy pana, kolega ma obsesję, wszędzie się chce dokształcać i powoli zaczyna to być uciążliwe dla otoczenia. – Marian studiował sytuację i przytrzymał wyrywającego się do dalszych czułości Kazka.

– No dobrze, w porządku, zmykać już. Teren zastrzeżony! – portier uciał dyskusję.

– To może się poznamy, zapraszam na łyceczek czegoś mocniejszego, Stalowy, znaczy Opalek Kazimierz jestem. – Kazek wyciągnął niedopitą butelkę Pajaka w kierunku portiera. – Zdrówko, panie starszy kochanieńki!

Portier znowu dał się zaskoczyć, wziął do ręki szkło i z pytającym wyrazem twarzy lustrował przybyszów.

– No to nasze kawalerskie, chociaż pan to pewnie już dzieciaty, a może też wnuczaty – plótl trzy po trzy Stalowy.

Pan Franciszek trzymał w dłoni butelkę i patrzył to na nią, to na trójkę natrętów. Następnie zaczął flaszkę oglądać ze wszystkich stron, pod światło, zerknął na denko, na etykietkę. Marian, Pajak i Stalowy zamilkli, obserwując z zaskoczeniem badawczą aktywność nowego znajomego. Ten stał i stał, analizując wręczony przedmiot, tak jakby był to mały Marsjanin.

– Te, co jest? Pierwszy raz wino widzi, czy jak? – sceniczny szept Pajaka rozszedł się i pozostał bez odpowiedzi.

W tym momencie zza drzwi instytutu wychynęła głowa, widać było również część tułowia odzianego w biały kitel.

– Panie Franciszku, co tu się wyprawia? Mówiłem, że podczas transmisji nie może być żadnych intruzów! Proszę za mną!

Twarz portiera zamarła w przerażeniu; oddał szybko butelkę Pajakowi i truchtem wrócił za masywne drzwi. Zamki zgrzytnęły, szyby lekko zadrżały i po kilkunastu sekundach zostali sami na szczycie wielkich kamiennych schodów.

Na zamarłą ze zdziwienia trójkę zaczęły padać pierwsze kropelki mżawki, gdzieś w oddali za skwerem postać w czarnym płaszczu biegła na przystanek tramwajowy, kruki krążyły nad dachami i antenami pobliskich kamienic, wieszcząc koniec świata.

– Dziwne – mruknął Stalowy i zaczął schodzić chwiejnie po kamiennych stopniach, co rusz oglądając się za siebie.

Czoło diabła

Wątroba nie mógł się doczekać nocy. Niezwykłe wydarzenia popołudnia – oraz odkrycie cokołu, co potwierdzało słowa dziadka – sugerowały, że wokół instytutu skupiały się niewyjaśnione sprawy. W każdym razie ani kolejny hamburger z cebulką, ani beza z olbrzymią chmurą piany nie rozproszyły jego zatroskania. Czekał już tylko niecierpliwie na północ. Wieczorem kilka razy zachodził w okolice skweru, ale zacna kompania, która wypłoszyła go kilka godzin temu, jeszcze nie opuściła posterunku, choć były to marne resztki dawnej chwały. Dwóch dresiarzy drzemało na ławce, jeden palił papierosa, mrużąc coś do siebie. Wątroba czekał, aż pójdą, i czekał; dopiero za dziesięć dwunasta towarzystwo zebrało się i chwiejnie poszło. Skwer i cokół były puste. Akcja „Czoło diabła” mogła się rozpocząć.

Klnąc i sycząc z bólu, komisarz przedarł się poprzez kolczaste krzaki na kamienny postument. Głowę dałby sobie uciąć, że popołudniu droga była dużo bardziej oczyszczona. Wyglądało to tak, jakby przejście i cokół zarastały w tempie spotykanym jedynie w puszczach tropikalnych. W końcu wdrapał się na kamień, wyplątując nogę z jakiegoś wyjątkowo opornego pnącza. Wyprostował się, ustawił twarzą w kierunku gmachu instytutu wyrastającego zza księżycowej szarości placu. Okazało się, że na postumencie znajdowały się wgłębienia sprawiające, że stojącemu było wygodnie tylko w jednej pozycji.

Budynek odcinał się szarością na tle ciemniejszego nieba, księżycowe refleksy grały na setkach szyb okiennych. Noc szeptała stłumionym głosem nocne bajki. Wątrobie nijak to nie przypominało ani czoła, ani diabła, ani niczego innego. Kupa kamieni, szkła i... samotność. Czemu tak pomyślał, nie potrafił powiedzieć, ale po głowie przeszła mu taka mała myśl, mała jak mróweczka, która mówiła „samotność”. A zaraz za nią pojawiły się: „miłość”, „nienawiść”, „strach”, „odraza” i wiele, wiele innych myśli-mrówek. Komisarz z przerażeniem obserwował tę chmurę atakującą go

ze wszystkich stron; chciał się ogonić, strzepnąć to paskudztwo, ale one wciąż wędrowały, pokrywały ciało czarną, szemrzącą masą, wtapiały się w niego. Wątroba nie mógł nic zrobić, obrzydzenie i przerażenie odebrały mu zdolność jakiegokolwiek działania. Po chwili wszystko się uspokoiło – znowu cisza, tykanie zegara. Komisarz obrócił się, rozglądając dookoła. Eleganckie biuro, kamienna podłoga, lampa z abażurem z witraża, w kącie rzeźba. Znał tę postać, to był...

– Towarzysz prezydent czeka! – W szeroko otwartych, wysokich drzwiach stoi strażnik i spogląda z marsową miną. Wątroba rusza... Z wielkim zdziwieniem spostrzega, że nie steruje już swoim ciałem. Nogi idą, oczy patrzą, płuca oddychają, ale to nie on, on jest tylko wewnątrz tego kogoś, on tylko obserwuje. Kolejne odrzwia otwierają się przed nim i zamykają, jakby poruszane mechanizmem automatycznie wyczuwającym jego ruch. Trasę wskazują odziane w mundur plecy strażnika, pistolet kołysze się u biodra, obcasy wystukują miarowy rytm o podłogę. Nikt z licznie siedzących w mijanych pomieszczeniach ludzi nie ogląda się za nimi. Każdy wydaje się pochłonięty bez reszty swoją pilną pracą, tylko strażnicy salutują. A oni idą. Wątroba muska wzrokiem kalendarz wiszący na jednej z biurowych ścian. 1949. Rany boskie. Za kolejnymi ogromnymi drzwiami otoczenie się zmienia. Przez potężne okna korytarza widać szarzejący świat – raz cień, raz rachityczne światło przebijające się przez chmury – gruby dywan tłumi kroki, stukanie obcasów dźwięczy jeszcze echem, ale już tylko za nimi. Tu nikt nie pracuje, żadnych urzędników, szara cisza i szary kamień ścian.

– Towarzysz prezydent czeka! – strażnik powtarza komunikat, jakby kazano mu to zrobić dwa razy w identycznie lakoniczny sposób.

Drzwi uchylają się i ogromny, elegancko umeblowany gabinet staje otworem; za biurkiem siedzi jakiś człowiek, na kanapie drugi. W powietrzu unosi się dym z fajki, zegar tyka, nad kominkiem wielkich rozmiarów portret Stalina z Bierutem, stoją zapatrzeni w dal, niby razem, ale osobno. Na dźwięk zamykanych drzwi postać znad

biurka podnosi głowę. Nie ma wątpliwości: portret przedstawia tę samą twarz, na którą patrzy teraz osobnik, w którym tkwi Wątroba.

Bierut zakreślił coś w dokumentach, przerzucił ze dwie strony i dopiero wtedy wstał zza biurka, podchodząc do przybyłego. Wyciągnął rękę na przywitanie, jego usta rozciągnęły się na moment w nikłym uśmiechu.

– Witajcie, witajcie, towarzyszu Malik. – Uścisk dłoni i ruch ręki wskazujący fotel przy kanapie. Siedzący na niej mężczyzna wstał równo z Bierutem. Po chwili Wątroba poczuł jego uścisk, dużo mocniejszy od objęć Bieruta.

– Nowak, miło mi towarzysza poznać – usłyszał głos. Od pierwszego podania ręki, od pierwszej sylaby powitania poczuł ogromną niechęć do tego człowieka, tym większą, że towarzyszyła jej myśl, iż od tego momentu coś ich będzie nierozzerwalnie łączyć. Czuł to.

Cała trójka zasiadła za niskim stolikiem. W zapadłej ciszy Wątroba obserwował obu mężczyzn, choć bez wątplenia to oni byli obserwatorami, a zarazem sędziami jego osoby. Po przeciągającym się milczeniu głos zabrał prezydent:

– Towarzyszu, jesteście młodym, oddanym sprawie naszej kochanej ojczyzny naukowcem. Znamy was... – Zawiesił na chwilę głos, patrząc na Wątrobę badawczo.
– Znamy was już bardzo dobrze. I dlatego, po głębszym namyśle, chciałbym przekazać... mhm, zaproponować – złagodził nieco kateryczny wydźwięk wcześniejszego słowa – pracę nad ważnym projektem, realizowanym wspólnie z towarzyszem Nowakiem.

Tu skinął głową na Nowaka, dając jasno do zrozumienia, że to właśnie o niego chodzi. Tamten, domyślając się, że ma przejąć inicjatywę, chrząknął, po czym odezwał się:

– Znacie, jak sądzę, prace Marlekoniewa w obszarze genetyki i reakcji interhumanoidadonistycznej.

Wątroba poczuł, jak kiwa potakująco głową i wydaje z siebie opinię o wspomnianym Marlekoniewie:

– To największy autorytet w tej dziedzinie na świecie. To badania na miarę nagrody Nobla.

Nowak wstał i mierząc surowym wzrokiem Wątrobę w postaci Malika, zakomunikował w sposób bardzo kategoryczny:

– Tak, ale towarzysz Marlekoniew stracił, niestety, zaufanie na wysokim szczeblu, a co za tym idzie również autorytet. Nie umiał odpowiednio dostosować wyników swoich badań do wyzwań stawianych przez socjalistyczną ojczyznę. A wspomnianie w tym kontekście o jakiejś nagrodzie Nobla, gdy celem jest realizacja wspólnej walki o lepszą przyszłość, to... – zastanowił się chwilę – co najmniej nieodpowiednie – zakończył dość łagodnie.

Wątroba poczuł, jak jego usta już układają się do odpowiedzi, że autorytet naukowy nie powstaje w wyniku zaufania innych, zaś badania są faktami obiektywnymi, a nie działaniem na froncie.

– Innymi słowy Marlekoniew porzucił swoje badania – ciągnął Nowak. – Porzucił je definitywnie, bez możliwości kontynuowania, a są one niezwykle dla nas i dla społeczeństwa cenne. Dlatego nie możemy pozwolić...

– Ale nawet jeżeli Marlekoniew z jakichś powodów nie może pracować, to jest przecież jego zespół, asystenci. Nad tym trzymała się zapewne duża grupa ludzi! Wyniki nie są stracone – usłyszał wypowiedziane przez siebie słowa.

– Tak, ale... – Nowak spojrzął na Bieruta, tamten skinął przyzwalająco głową – ale oni również stracili zaufanie. Większość z nich straciła zaufanie.

– I dlatego, towarzyszu Malik, mamy dla was zadanie. – Bierut wyraźnie chciał już dojść do sedna sprawy, bez dyskusji o asystentach Marlekoniewa. – Towarzysz Nowak, jako jeden z bliższych współpracowników Marlekoniewa, dostał zadanie kontynuacji jego dzieła. Ale już tu, w Polsce. Zapadła decyzja o przekazaniu nam

tego, mhm, eksperymentu. I co za tym idzie, potrzebuje zaufanego współpracownika, zarówno do organizacji laboratorium, jak i samych badań. Chcemy, żebyście to byli wy.

– Ja... – z zaskoczenia głos uwiązł mu w gardle – ale... ale ja nie znam prac Marlekoniewa, nie na takim poziomie, jak by tego wymagała...

– Zapoznacie się. – Nowak był dobrej myśli. – To głównie kwestia zaangażowania i zaufania, a wiedza jest do zdobycia.

– Ale... – Wątpliwości narastały, zamiast ustępować.

– Możecie się wycofać, jeszcze możecie – Nowak tłumaczył dalej. – Jednak pomyślcie tylko o waszej karierze naukowej. Kto z wami będzie chciał rozmawiać, pracować, jeśli nie przyjmiecie propozycji od samego prezydenta? A nawet od samego... – Spojrzał przeciągle na portret ze Stalinem.

Wątroba miał chaos w głowie, gdy patrzył na tę dwójkę; czuł się zaszantażowany przez Nowaka i rozpierała go chęć pracy nad tym nowatorskim tematem, był ciekawy, co się stało z samym Marlekoniewem, i obawiał się tej wiedzy. Czuł podekscytowanie, ale również rosnącą odrazę do Nowaka. Innymi słowy buzowało w nim od sprzecznych myśli i emocji.

– Towarzysz prezydent w pełni popiera ten projekt, zostaniemy uprawomocnieni specjalnym dekretem. – Nowak, widząc wahanie, postanowił schować kij, a dać trochę marchewki. – No i laboratorium, ogromne, budowane tylko dla nas. Z własnym ujęciem i odpływem wody, z własną siłownią typu jądrowego... Nie wiem, czy znacie, towarzyszu, ten typ pozyskiwania energii? Bardzo wydajny, u nas będzie pracować instalacja prototypowa, supernowoczesna. Przewidziana jest również bogata infrastruktura, to prawie miasteczko. Tylko dla nas!

– Ale po co nam, znaczy w tym laboratorium, tyle energii i wody? – Głos Wątroby vel Malika wyrażał zaskoczenie tą gigantomanią. – O ile się orientuję, to nie

są energożerne doświadczenia. Jakież nowe metody badawcze? Nie będziemy, znaczy, to nie będzie się działo na uniwersytecie?

Nowak spochmurniał, słysząc brak entuzjazmu w głosie kolegi naukowca. Wbił ciężkie spojrzenie w Malika, nie kryjąc irytacji. Co chwilę zerkał na posepną twarz Bieruta.

– Tak, to nowe metody badawcze. I nie będą przeprowadzane na istniejącym uniwersytecie ani w żadnym innym ośrodku badawczym. Tworzymy wszystko od podstaw. Niczego się więcej nie dowiecie, albo przystępujecie, albo... – Zawiesił głos, w którym wyraźnie czaiła się groźba.

Po kilku minutach Wątroba wędrował z powrotem przez szarość wysokich, kamiennych wnętrz. W głowie kłębiły się tysiące wątpliwości, ale i przebłyśki radości oraz nadziei na nowy etap w życiu i pracy. W jednym z mijanych pokoiów pomiędzy oknami wisiało ogromne lustro w złoczonej ramie; Wątroba nie kierował co prawda tym ciałem, ale ono i tak się zatrzymało przed srebrną taflą. Odbijała się w niej sylwetka młodego człowieka w marynarce, o jasnych włosach i szarych oczach. Postać stała tak przez chwilę, a Wątroba ze zdumieniem odkrył, że mruga do niego, czyli do siebie, okiem i syczy cicho: „Już mnie poznajesz?”.

– Towarzyszu, proszę za mną, tu nie wolno niczego oglądać. Teren zastrzeżony!

Wątroba ze zdumieniem usłyszał znajomy tekst, chciał zobaczyć, kto to mówi, ale po obróceniu się w stronę drzwi zauważył jedynie plecy odziane w mundur, podążające do wyjścia. Westchnął i poszedł za nimi. Drzwi zamknęły się – znowu tykanie zegara, znowu szary kamień posadzki...

– **Ty**, no mówię ci, tu żadna figura nigdy nie stała.

– Jak nie stała, jak stoi. Przecież nie spadła z Marsa. A gdyby to wczoraj ustawili, to by jakaś tabliczka była, że obrońca ojczyzny albo zasłużony w słusznej sprawie.

– Zasłużony w słusznej sprawie, taki gruby? A może to człowiek? Wlazł tam i wariata zgrywa. Eee, ty tam! Jesteś żywy?

Wątroba spod zmrużonych powiek obserwował dwóch policjantów patrolujących skwer. Trwała jeszcze noc, choć delikatne rozjaśnienie tła świadczyło o nadchodzącym świcie. Uświadomił sobie, gdzie jest, i już chciał się odezwać do kolegów po fachu, kiedy nagle pojawił groźbę sytuacji. Jeżeli oni go rozpoznają – co mogło się zdarzyć, bo Wątroba był znany w mieście – to wyjaśnienie, dlaczego nocą tkwi w bezruchu na cokole otoczonym kolczastymi krzakami, będzie zadaniem nie do wykonania. Plotki, szczególnie te pochodzące ze środowiska zawodowego, zniszczyły już niejedną karierę. O ile przyłapanie kogoś z kochanką albo wyciągnięcie z rowu z czterema promilami alkoholu we krwi stanowiło raczej powód do dumy, o tyle zachowania nietypowe, jak tkwienie na cokole w bezruchu lub czytanie poezji, nie obyłyby się bez poważnych konsekwencji. Dlatego Wątroba zamarł, postanawiając w duchu na nic nie reagować.

– A jakby tam miał wleźć? Przez te kolce?

– Nie wiem, Polak potrafi. A narąbany Polak to ho, ho! Ty, jakby się poruszył.

– A gdzie tam. Ciemno jest, to się tak wydaje.

– Pierdolną go cegłówką, to się wyjaśni.

Wątrobie cała krew odpłynęła z twarzy. Boże, zaraz oberwie kilowym kamieniem i nie może nawet drgnąć!

– Zwariowałeś? Przecież jesteśmy na patrolu. Jak ktoś zobaczy, że niszczymy pomnik, to dadzą nam bobu.

– Co racja, to racja. Eee, panie starszy, gołąb panu siedzi na kapeluszu!

Wątroba machinalnie drgnął, gdy chciał sięgnąć ręką w kierunku głowy. Opanował się w ostatniej chwili, modląc się, żeby ptak nie potraktował go jak wucetu.

– No jakby się poruszył. Widziałeś?

– Ciemno jest, nie widziałem. Ale nie, on stoi jakby kij połknął.

Podeliberowali jeszcze kilka minut, paląc papierosy, w końcu poszli, zawzięcie dyskutując, czy Wątroba jest rzeźbą, czy człowiekiem, a jeżeli tak, to w jakim stanie duszy i jak się tam dostał. Gdy tylko policjanci zniknęli za drzewami, komisarz zszedł z cokołu, a dokładniej runął. Noga oplątana kolczastym pnączem skutecznie pozbawiła go równowagi i przy próbie zejścia padł jak długi w kolczastą otchłań.

– Aaa! – wycie szarpanego żywcem grubego zwierza rozległo się w całej uśpionej dzielnicy.

Po kilkunastu sekundach szamotaniny wydobył się z pułapki ostrych gałązek, przedarł z trudem przez krzaki i uciekł co sił w nogach z tego nieprzyjaznego miejsca. Zaalarmowany wyciem patrol wpadł na placyk kilkanaście sekund po zniknięciu Wątroby, gotowy do akcji, zatrzymań i prewencji. Ale powitały ich cisza i wietrzyk omiatający pusty cokół.

– Ty, patrz, nie ma go. Mówiłem, że człowiek! Zwiął.

– A ja dalej myślę, że to figura.

Kolega wątpiącego westchnął i pomyślał, że przynajmniej niektóre kawały o policjantach nie są bzdurnymi historyjkami bez pokrycia w rzeczywistości.

Chirurdzy

– **Dybry** – Stalowy powtórzył swoje powitanie z dnia poprzedniego i wielu innych go poprzedzających. Marian i Pająk odpowiedzieli jak zwykle, czyli bez entuzjazmu, zawierając w głosie wyraźne nuty autodestrukcji i życiowej goryczy. – To jak, lecimy do źródelka wiedzy, czyli do „Pijalni pod posepnymi posągami”? W skrócie PPPP.

Marian i Pająk wzruszyli ramionami i nic nie odpowiedzieli. Widać było, że nie zaliczają wczorajszej wycieczki do swoich największych życiowych sukcesów, a gadanie o widmach fal mózgowych, choćby najmądrzejsze w formie i treści, nie rekompensuje pulsującego wielogodzinnego bólu głowy, jaki był wynikiem tej erupcji elokwencji. Kazek na próżno ich przekonywał, dodawał animuszu, mamił wizją wielkiej intelektualnej uczty pod wpływem fal z szarego budynku. Ci jednak pozostali nieugięci i nawet pachnąca szantażem groźba, że zamiast nich weźmie Bolusia z konkurencyjnej jabolkowej ławeczki nie zdała się na nic. W końcu stwierdził, że są do bani i pomaszerował sam w wiadomym kierunku.

Dodatkowym elementem, który zmobilizował go do samotnej wycieczki, było dręczące go całą noc wspomnienie pana Franciszka. Nie chodziło bynajmniej o wyrzuty sumienia z powodu zbytniego spoufalenia, do którego wczoraj doszło. Stalowy Kazek miał konwenanse daleko w tyle i żadna wpadka towarzyska nie mąciła jego dobrego samopoczucia dłużej niż przez kilka sekund. Spokoju nie dawało mu uczucie, jakiego doświadczył, dotykając portiera. Jego ciało było jakby... martwe. Kazek nie umiał tego inaczej nazwać – podczas bliskiego kontaktu ze srogim portierem nie odczuł niczego, co można odczuć, przytulając się do drugiego człowieka. Nie wyczuł oddechu, ciepła ciała, wielki piwny brzuch wydawał się wykonany z twardej gumy. Przez całą noc dręczył go koszmarny sen, który – przerywany kilkukrotnym zrywaniem się z łóżka – powracał z przerażającą dokładnością szczegółów. Oto Kazek biegnie przez łąkę, uśmiecha się, po drugiej

stronie stoi jego matka. „Mamo, mamo!” – krzyczy i zbliża się poprzez zieloność majowego ugoru. W końcu dopada do niej, wtula twarz, ale jedyne, co czuje, to gumową, zimną poduchę. Patrzy z zaskoczeniem na twarz matki, ale obejmuje już tylko ponurą postać w niebieskiej koszuli, której oblicze wykrzywione jest jakimś dziwnie nienaturalnym grymasem, a martwe usta cedzą wolno słowa: „Weź pan, co pan? Teren zastrzeżony”.

Stalowy aż się otrząsnął, wspominając, setny już chyba raz, matkę zamienioną w gumowatego pana Franciszka. Żona wielokrotnie ostrzegała go przed zgubnymi skutkami pijaństwa, raz nawet podrzuciła mu na szafkę nocną broszurę pod wiele mówiącym tytułem: *Delirium tremens i co dalej?*. Był to powód do największej w historii państwa Opałków awantury; poleciały talerze, szklanki i łyży, a określenia typu „pijak”, „zmarnowane życie” albo „nierób” długo jeszcze fruwały w ich mieszkaniu jak szare wróble w klatce. Dziś Kazek obawiał się, że broszurka okaże się zlekceważonym ostrzeżeniem i gumowe strachy zostaną z nim na zawsze, a żona niekoniecznie. Dlatego postanowił wyhamować konsumpcję alkoholu, co wydawało się tym łatwiejsze, że kac po wczorajszym był jeszcze bardzo dotkliwy i w takim stanie dobre postanowienia nie są żadnym problemem. Po drodze układał nawet plany, jak zakłada z Pajakiem i Marianem klub niepijących, a konkretnie Klub Niepijących Intelktualistów imienia Jego Światłości Kazimierza Opałka. Jak umacnia ich w postanowieniu trzeźwości, a oni dziękują mu kornie za otwarcie oczu na ich koszmarne położenie i za wyciągnięcie pomocnej dłoni.

Maszerując dalej przez miasto, opracowywał plan trzeźwości całego powiatu, a może nawet całej Ziemi, i ani się obejrzał, jak doszedł na znany z wczorajszej wycieczki skwer. Dziś świecił pustkami i szumiał unoszącymi się wokół śmietników papierami. Przeciął zieleniec, podążając w stronę szarego budynku. Z każdym krokiem wykonanym w kierunku kamiennej bryły niebo mocniej zaciągały chmury, a kruki niżej krążyły nad głową Stalowego, ponuro śmiejąc się z niego. Pod samym

budynkiem zawahał się; pamiętał, że człowiek na schodach jest tu dokładnie obserwowany i traktowany jak niechciany intruz. Dlatego postanowił obejść gmach dookoła, udając zabląkanego spacerowicza, ale zamiar ten, prosty w zamyśle, okazał się w praktyce dość trudny.

Szara budowla była ze wszystkich stron czymś zabezpieczona, częściowo otaczała ją kute ogrodzenie, częściowo skrywał ją niebosiężny mur niedający żadnego oparcia dla wzroku, choćby w postaci okna. Jednakże Kazek wyznawał jedną podstawową zasadę: „żaden teren zamknięty nie jest do końca zamknięty”; dlatego nie tracił nadziei, wędrując wzdłuż szarości muru i niedostępności płotu. Po drugiej stronie budynku ogrodzenie tonęło w rozkrzewionych zaroślach, żelazne szpice prętów z ledwością wystawały z zielonej puszczy. Znajdowała się jednak w tej zieloności wąziutka przecinka, na której trawa była mocniej wydeptana. Wiedziony instynktem poszukiwacza przygód, Kazek wtopił się w gąszcz, burząc spokój tutejszych pajaków i kleszczy. Nie pomylił się. Pręty ogrodzenia były rozszerzone, jakby je rozsadziła na boki jakaś potężna siła. Innymi słowy przejście na szerokość człowieka istniało.

Stalowy przedarł się przez zarośla, przekroczył żelazną granicę i wychynął po drugiej stronie, klnąc pomysł stworzenia przesmyku przez tak gęste krzaki, choć domyślał się, że tylko dlatego przejście nie zostało jeszcze wykryte. Po chwili zajął się obserwacją otoczenia. Z tej strony budynek posiadał okna oraz dwie pary symetrycznie usytuowanych drzwi.

Od kilku minut Kazek odczuwał rosnące pragnienie; odganiał od siebie tę pokusę jak muchę, ale ona wracała, bzyząc mu złośliwie nad uchem. Dobrą godzinę temu zadeklarował się jako aktywnie niepijący i zwalczający alkoholowy nałóg całego świata, ale w tej chwili kombinował tylko, jak usprawiedliwić odkorkowanie przyniesionej flaszki. Okazało się to zadaniem niezwykle łatwym. Kazek wytłumaczył sam sobie, że musi znowu doprowadzić się do stanu umożliwiającego

absorpcję fal z wnętrza budynku. Przysiadł na podmurówce ogrodzenia i otoczony zewsząd krzakami doprowadzał się do rzeczoności absorpcji, a jednocześnie obserwował otoczenie zakamuflowany jak zwiadowca na terenach wroga.

Po kilku minutach wyjaśniło się, komu właściwie służy tunel w listowiu. Drzwi otworzyły się i wychyły na zewnątrz dwie postacie, obie w szarych kurtkach z narzuconymi kapturami. Zamknęły za sobą drzwi, a ich ruchy zdradzały ostrożność i dbałość o to, żeby nikt ich nie zauważył. Postacie zlustrowały trawnik pod murem i spokojnym, choć szybkim krokiem wdarły się w listowie tuż obok Kazka. Ten zamarł z przerażenia, oczekując dekonspiracji, jednakże ponieważ siedział nieco z boku, a zakapturzeni byli zajęci głównie swoim bezpieczeństwem – uniknął wykrycia. Usłyszał tylko jakiś strzęp rozmowy, a raczej pytania: „Czy nie widział?”. Niestety, nie dowiedział się ani kto, ani czy widział. Po chwili gałązki przestały się chwiać, a uciekinierzy zniknęli z pola widzenia, a raczej słyszenia. „Ho, ho, jak na koloniach. Nielegalne wypadki na miasto podczas ciszy poobiedniej” – zamruczał w myślach Stalowy. Usiadł i postanowił poczekać na rozwój wydarzeń.

Pogoda pomimo kłębiącej się na niebie szarości nie zepsuła się całkowicie i wyraźnie już podchmielonemu Kazkowi zaczęła się podobać ta majówka podlewana ciepłym *Wykopem*. Rozkoszował się spokojem i alkoholowym falowaniem w czasce. Jednakże po kilku minutach braku jakiegokolwiek akcji nuda zaczęła mu doskwierać; Stalowy, przyzwyczajony do kłótni i gawęd z Marianem oraz Pajakiem, zatęsknił za życiem towarzyskim i jakąkolwiek aktywnością. Przypomniał mu się również oficjalny powód spożycia butelki *Wykopu*; przecież to absorbent tych mądrych fal niosących wiedzę. A on czuł się teraz, jakby go wiedza opuszczała. Nie potrafił wygenerować żadnej mądrej myśli, w ogóle jego myślenie jakby zwolniło. W tym momencie ogarnęło go przerażenie na skutek odkrycia, że przecież wiedzę można zdobywać, ale i tracić. A może ktoś jemu kradnie fale, może cała jego mądrość teraz ulatuje, bo jakiś nieuk postanowił zmądrzeć jego kosztem? Idea ta

spotęgowana została wspomnieniem wczorajszego dnia. Z ich trójki tylko on nic nie czuł. Czemu tak było, czemu oni tak, a on nie?

Okradali go, gadali o tej „interferyncjacji” dzięki niemu! Stalowy aż się spocił z nerwów podczas tych rozmyślań. Nieco się uspokoił, sprawdziwszy swój obecny stan mądrości; wykonał w głowie kilka działań dodawania, odejmowania, mnożenia i dzielenia w zakresie do stu, przypomniał sobie datę bitwy pod Grunwaldem oraz stwierdził stanowczo, że nigdy w życiu nie słyszał o żadnej „interferyncjacji”. Wniosek podstawowy brzmiał: jeżeli coś ukradziono, to nie jemu. On jest dalej tak mądry, jak był, czyli fale pochodziły z wnętrza gmachu. Tak pokrzepiony na duchu i ciele, wydostał się z krzaczorów i pewnym krokiem podszedł do drzwi, z których wcześniej wyszły dwie zakapturzone postacie. Postanowił wejść w paszczę lwa, a w jego stanie odwagi mu nie brakowało. Drzwi uchyliły się bezgłośnie i Kazek wszedł na klatkę schodową.

Odrzwia ciągnięte pneumatycznym ramieniem zamknęły się za nim. Schody, choć ciasne i dużo krótsze niż wejściowe, również pochodziły z innej epoki. Kamienne, z każdym stopniem uwieńczonym czymś w rodzaju dekorka. Widać było, że twórcy obiektu pracowali w zupełnie innych standardach kosztowych niż nowocześni deweloperzy oszczędzający na każdym elemencie dekoracji. Na piętrze schody stykały się z kamiennym portalem – prostym obramowaniem szerniałych dębowych drzwi. Zwornikiem tej formy była płaskorzeźba głowy lwa; każdy wchodząc tutaj musiał przejść dokładnie pod jego paszczą. Nie był to co prawda bojowy osiłek z mieczem, ale Kazek i tak długo kombinował, jak bezpiecznie pod nim przemknąć. W końcu, zebrawszy się na odwagę, pchnął klamkę i przeszedł; głowę dałby sobie uciąć, że usłyszał za sobą gniewny pomruk zbudzonego zwierza.

Oddzielony od lwa grubymi drzwiami, patrzył na szarość marmurowego korytarza przed sobą. Widział kilka najbliższych metrów oświetlonych wysoko umiejscowionymi świetlikami, dalej droga nikała w kompletnej ciemności, której

beznadzieję rozpraszał malutki punkt światłości mający hen na horyzoncie. Kazek krok po kroku zaczął się posuwać wzdłuż ściany, połykany stopniowo przez różne odcienie ciemności; zniknął w końcu całkowicie w jej wnętrzu, trzymając się jak nici nadziei tych dwóch jaśniejszych punktów na początku i na końcu korytarza. Zapomniał już właściwie, po co tu przyszedł – absorpcja wiedzy, fale mózgowe – teraz czuł się trochę jak niewinna ofiara jakiegoś spisku, która na każdym kroku spotyka się z prześladowaniami. Zapomniał całkowicie o swoich dość kuriozalnych planach. Mówiąc krótko, Kazek zaczął się bać i cały jego butny sposób bycia uleciał jak powietrze z przebitego balona.

Kroczek, ręką po ścianie, kroczek, ściana, miejscami kamienna, miejscami zwykła porowatość tynku, krok. Po co tam idzie? Człowieku, wracaj! W tył zwrot, przebiec pod lwem i do domu! Krok, ściana, kolejny krok... Musi tam iść, jakaś tajemnicza siła pcha go dalej. Droga dłuży się niesłychanie, z zewnątrz budynek nie wyglądał na aż tak wielki, ale tu droga zdawała się ciągnąć kilometrami. W pewnym momencie doszedł do miejsca, gdzie w czarnej ścianie jaśniał prostokąt drzwi, które nie były zatrzaśnięte. Kazek przypadł do szpary. Zauważył dziwną scenę. Kilka postaci odzianych w białe stroje pochylało się nad czymś; wymieniali półgłosem uwagi, sięgali po narzędzia, jakieś przewody. Stalowy zamarł, obserwując ich pracę. Nigdy nie był świadkiem operacji, a tu proszę – nie widział co prawda, co się tam konkretnie dzieje, ale cała ta atmosfera, ci ludzie w uniformach, ta unosząca się w powietrzu aura skupienia, to wszystko wciągnęło go jak trzymający w napięciu film. Stał z okiem przyklejonym do szpary i nie potrafił przestać, zmusić się do odejścia, choć mogli go w każdej chwili zauważyć.

W pewnym momencie krąg pracujących ludzi odstąpił od miejsca operacji, rozproszył się na boki. Najwyraźniej skończyli. Popłynął szmer głośniejszych rozmów. Kazek, widząc to poruszenie, odskoczył od drzwi w obawie, że zaraz ktoś wyjdzie. Ale nikt nie wyszedł, więc znowu przypadł do szpary. Chirurdzy, tak ich

nazwał w myślach, przechodzili całą grupą gdzieś na lewo, może do umywalni. Po chwili sala opustoszała, biel oświetlana sinym światłem mocnej lampy przywodziła na myśl prosektorium. Na stole ktoś leżał; Kazek zdziwił się, że go tak zostawili po operacji. Czyżby nie żył? Postać spoczywała nieruchomo, przykryta białym prześcieradłem. Wokół niej brzęczała martwa cisza. Z domniemanej umywalni wyszło zaraz dwóch ludzi, podeszli do leżącego i jeden z nich szybkim ruchem ściągnął prześcieradło. Drugi pokiwał głową z uznaniem. Obaj wpatrywali się w ciało na stole.

Kazek aż wstrzymał oddech; nie wierzył własnym oczom i popchnął nieco drzwi, żeby mieć lepszy widok. Szpara poszerzyła się, widział teraz całkiem wyraźnie i dokładnie, że na stole leżał golusieńki, blady i nieruchomy jak trup... komisarz Wątroba! Kazek zamarł, tamci oglądali komisarza i wymieniali półgłosem uwagi. W pewnym momencie Stalowy nieostrożnie napał ciałem na klamkę i drzwi stuknęły. Obie twarze zwróciły się w jego stronę. Odskoczył. Przywarł do ściany obok. Ktoś otworzył drzwi, wyjrzał na zewnątrz, ale po takiej dawce światła niczego nie dostrzegł w mętym atramencie korytarza. Uspokojony zamknął drzwi z trzaskiem zamka.

Kazek wypuścił powietrze z płuc; przerażony, nie wiedział, co robić. W końcu puścił się biegiem, ile sił w nogach, w kierunku lwiego przejścia. Wydawało mu się, że słyszy tupot goniących go nóg; odwrócił się nerwowo, ale nikogo nie było. To echo jego własnych kroków go ścigało. Mętne światelko na końcu korytarza przybliżało się bardzo wolno, Stalowemu brakowało sił, płuca rozrywał ból łapczywie łapanych oddechów, mięśnie drżały wskutek dawno nieuprawianego biegu. Ale wyjście przybliżało się, rozróżniał już prostokąt przejścia z kamiennym portalem. A lew? W takim stanie pokona nawet tysiąc lwów, byle drzwi były otwarte, byle go tu nie zamknęli. Szarpnął klamkę, drzwi się otworzyły. Pędem ruszył po

schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, na dół, na półpiętro, potem prosto do wyjścia. Byle było otwarte, byle dało się uciec.

Pod prostokątem przejścia, również zwieńczonego gniewną paszczą lwa, ktoś stał. Portier Franciszek. Stalowy zatrzymał się. Stał jak wryty kilkanaście schodów od zwałistej postaci; tamten spojrzał na niego nieruchomym wzrokiem. Zablokował całe drzwi, nie wypuścił go. O nie! Stalowy już chciał zrobić w tył zwrot, ale przypomniał sobie o bladym ciele na stole. Zdeterminowany wbił wzrok w portiera i wrzasnął:

– Franciszek, na bok! Chcę przejść! Już!

O dziwo, tamten uniósł brwi, jakby usłyszał coś zdumiewającego, chwilę jeszcze postął i przesunął się na bok, otwierając drogę. Stalowy przemknął pod rozgniewanym lwem, wypadł na zewnątrz i pognął w kierunku krzaków, nie oglądając się za siebie.

Śledztwo

Komisarz po toalecie pokłutego cielska położył się do łóżka o 4:35, zamknął oczy i zapadł w sen. Śnił, że idzie kilometrami przez kamienne korytarze, widząc tylko plecy prowadzącego go strażnika. Co chwilę otwierają się przed nim ogromne dębowe drzwi, a on nie pamięta już, ile ich przeszedł ani jaką drogą go prowadzili. Identyczne zakręty i wysokie okna, identyczne ciężkie kroki stukające po czaszce. Świat, w którym znalazł się nie wiadomo jak i po co.

Głośny dźwięk budzika. Podniósł się z łóżka, sądząc, że wciąż otaczają go marmury siedziby prezydenta Bieruta. Po kilkadziesiąt sekund doszedł do siebie i powłókł się do łazienki. Przestraszone hałasem białe myszki rozbiegły się po kątach, szukając ratunku przed stratowaniem przez ludzkiego słonia. Wątroba wsadził głowę pod kran i trwał tak kilka minut, zastanawiając się, czy można odmrozić sobie kark w warunkach domowych i dlaczego kręcą się tu jakieś myszy, skoro wczoraj nie wypił ani kropelki.

Kiedyś Stalowy dał mu broszurkę *Delirium tremens i co dalej?*. Podobno znalazł ją gdzieś na makulaturze, ale stwierdziwszy, że jego to nie dotyczy, ofiarował Wątrobie. Być może sądził, że pisemko bardziej przyda się komisarzowi, który w tym względzie miał odmienne zdanie. Ale co jakiś czas życie przypominało mu o tym memento.

Pochłonawszy kilka drożdżówek z kawą, powędrował przez osiedle do pracy, co rusz rozglądając się za charakterystyczną ławeczkową trójką ze Stalowym Kazkiem na czele. Daremnie.

Życie na komendzie rozkręcało się powoli, bardzo powoli. Dyżurny z namaszczeniem sypał wory cukru do herbaty; Chwiejczak i Wróżka siedzieli przy swoich biurkach, podpierali głowy dłońmi i wzdychając ciężko, patrzyli w sobie tylko wiadomy punkt. Mucha walczyła z oknem. Zegar tykał nieśpiesznie, co chwila

ustając w swoim wysiłku. Wątroba usiadł za biurkiem, również podparł głowę dłońmi i westchnął raz albo dwa. Następnie stwierdziwszy, że to nic nie pomaga, a wręcz potęguje nostalgię, depresję i życiową paranoję, zerwał się, rycząc: „Baczność!”, po czym przypadł do okna i otworzył je z trzaskiem. Mucha obdarzona nagle wolnością wyleciała lotem kołującym, po sekundzie zdezorientowana nową sytuacją zrobiła zwrot, wpadła z powrotem między policjantów i wylądowała na stole, czekając aż atak komisarza minie i znowu będzie mogła spokojnie bawić się szybą. Chwiejczak i Wróżka ze zdziwionymi minami wstali, ale do postawy regulaminowej sporo im brakowało.

– I raz, i dwa, nóżka, wdech... – zakomenderował Wątroba, rozpoczynając pierwszą w czterdziestoletniej historii komisariatu gimnastykę. Chwiejczak i Wróżka wymienili spłoszone spojrzenia, ale ponaglani wrzaskami Wątroby zaczęli się ruszać w rytm jego komend. Komisarz wyglądał komicznie jako trener; ćwiczenia w jego wykonaniu były bardziej galaretowato-budyniowatą próbą ruchu niż ruchem właściwym, ale chłopaki powoli się rozkręcali. Po kilku minutach z uśmiechami na twarzach robili wykopy i podskoki.

– Dość! – ryknął Wątroba. – Do roboty właściwej, rozejść się!

Wróżka i Chwiejczak zamarli w pół gestu, zrobiwszy takie miny, jakby Wątroba ich osobiście uraził. Następnie z determinacją w oczach dokończyli serię wymachów i dopiero wtedy usiedli. Nie będzie im grubas rozkazywał, choćby był szefem tego zamieszania.

Wątroba siedział przez chwilę, zastanawiając się co dalej; za ścianą wrzał już codzienny tygiel interesantów, którzy dziwnym trafem nigdy nie przychodzili, żeby rzec miłe słowo albo ofiarować kwiaty. Wiecznie tylko problemy i problemy. Następnie sięgnął po telefon, znalazł adres w internecie i zadzwonił.

– Halo, wodociągi? Mam informację, że jest awaria jakiejś rury doprowadzającej wodę do budynku na środku placu Solidarności. Spora kałuża. Co, aha, tak, czekam...

Po chwili.

– Halo, tak. Jak to, nie ma tam żadnej magistrali? Nie ma doprowadzenia wody do żadnego budynku? Jest pan pewien? Halo, kurde, halo!

Wątroba odłożył słuchawkę, zapatrzył się w dal, zadumał.

– Nie ma tam żadnego budynku – wyszeptał. – Czyli...

Zerwał się, założył kapelusik, poprawił wrzynające się stringi i spieszny krokiem powędrował ku wyjściu.

Mieszkanie państwa Podemskich mieściło się w obskurnej kamienicy niedaleko rynku. Jednakże centralne położenie na mapie miasta wcale nie dodawało splendoru temu miejscu. Niezliczona ilość napisów informujących, kto jest kurwą albo pedałem, śmierdzące sikami zakamarki i odpadający tynk nie zachęcały do dłuższego pobytu w tym zakątku, a co dopiero do spędzenia tu reszty życia. Drzwi mieszkania na trzecim piętrze uchyliły się i komisarz został zlustrowany badawczym wzrokiem przez mężczyznę w wieku przedemerytalnym. Postanowił tradycyjnie wcielić się w dobrodusznego idiotę, przybrał więc stosowny wyraz twarzy. Przedstawił się i zapytał o Krzysztofa Podemskiego.

– Nie, nie ma go. W szkole – padła lakoniczna odpowiedź. Nieufny wzrok człowieka za progiem uważnie błędził po zwalistej postaci policjanta. Najwyraźniej poza dobrodusznego idioty na niego nie podziałała.

– Przepraszam, pan jest ojcem Krzysztofa?

Człowiek chrząknął i skinął leciutko głową, jakby potakująco. Wątroba nie był pewien, co ten chciał mu przekazać, ale przyjął, że rozmawia z rodziną ewentualnego zaginionego.

– Aha, a czy po zniknięciu syna... to znaczy po jego późniejszym powrocie do domu zauważył pan coś szczególnego w jego zachowaniu, coś nowego?

Tamten zastygł w zamyśleniu, odkasznął raz i drugi, nerwowo popatrzył za siebie. W głębi mieszkania coś stuknęło, ludzka postać pojawiła się po drugiej stronie korytarza. Wątrobie wydawało się, że to jakiś młody chłopak, ale spłoszony widokiem intruza natychmiast wycofał się do pokoju. Mężczyzna odkasznął jeszcze raz i szybko odpowiedział:

– Nie, nic szczególnego, spotkał jakiegoś kolegę, czy kogoś takiego, dłużej pogadali i nie wrócił na noc. Czy policja nie ma nic lepszego do roboty, tylko pytać o to, gdzie na kilka godzin zawieruszył się dwudziestolatek?

– Mhm, raczej nie. A tam w pokoju, czy to nie...

– Nie, nie, to nie Krzysztof, to... to brat, mhm, kuzyn znaczy, kuzyn z Gdańska. Odwiedziny.

Wątroba podziękował. Widać było, że człowiek stojący w drzwiach chce je czym prędzej zamknąć przed nosem namolnego faceta w kapelusiku. Wątroba wolno schodził po schodach i z każdym krokiem upewniał się, że dzieje się tu coś dziwnego. Wycieczka do szkoły również nie przyniosła nic nowego oprócz informacji, że Podemski od dwóch dni się tam nie pojawia i liczba godzin nieusprawiedliwionych rośnie. Wrócił więc do mieszkania na trzecim piętrze. Jednakże ani dzwonienie, ani stukanie, ani nawoływanie nie dały rezultatu. W pewnym momencie Wątrobie wydało się, że słyszy stuk. Zamarł w oczekiwaniu, ale nic więcej się nie wydarzyło. Zarówno na klatce schodowej, jak i w mieszkaniu panowała głucha cisza. Za oknem ujadał pies, skrzeczący męski głos wyzywał kogoś od kurew i chujów. Komisarz wyobraził sobie osobę łączącą obie te cechy. Uśmiechnął się blado. Po chwili wrzask się nasilił, rozległ się skowyt psa, a potem cisza rozlała się nad szarą kamienicą.

Podszedł do drzwi naprzeciwko, zadzwonił. Po drugiej stronie usłyszał cichą pośpieszną krzątanicę; musiał być obserwowany. Zadzwonił ponownie, przedstawił się głośno, ale nic to nie zmieniło. Drzwi się nie otworzyły. Pies na podwórku znów ujadął, klótnik o skrzeczącym głosie musiał gdzieś pójść, bo już się nie wydierał. Wątroba opuścił piętro, zlustrował jeszcze okna z poziomu podwórza; firanka w jednym chyba lekko się poruszyła, ale nie był pewien. Machnął w końcu ręką i poszedł.

Po powrocie do biura poszukał czegoś w notesiku, a potem sięgnął po telefon. Po chwili rozmawiał ze starym kolegą ze szkolnej ławy. Pamiętał, że ten studiował historię i planował karierę historyka w szkole albo na uczelni.

– Cześć, Sławek, tu Wątroba. Jak leci?

W słuchawce zachrobotał głos, który tłumaczył, jak mu leci. Sławek zaskakująco wylewnie witał się z dawnym kolegą i nazbyt szczegółowo jak na kurtuazyjne pytanie opowiadał swoje losy. Mina Wątroby wskazywała, że poplątane koleje życia kolegi mają dla niego trzeciorzędne znaczenie, ale dzielnie wytrzymał wynurzenia, aby zadać zaplanowane pytania:

– Sławku, ty, jako historyk, masz dostęp do różnych archiwów i dokumentów. Czy istnieje dekret Bieruta z 1949 albo z 1950 o założeniu jakiejś specjalnej jednostki naukowej albo badawczej? I czy wiąże się z tym nazwisko Nowak, doktor Nowak? Wcześniej pracował w Moskwie u innego naukowca, Marlekoniewa.

Sławka na moment zatkało. Ale się opanował.

– Wątroba, zatrudniłeś się w IPN? Już się boję. Po co ci te PRL-owskie historyjki? Myślałem, że jesteś od spraw bieżących.

– Też tak myślałem, ale to życie decyduje za mnie, czym się interesuję. Masz jakieś informacje o tych wydarzeniach?

Sławek obiecał, że poszpera w materiałach i oddzwoni. Wątroba podziękował, umówili się na kontakt. Po odłożeniu słuchawki westchnął, zerknął na ścianę z

zegarem, omiół również wzrokiem biurko ze stosami szpargałów, które zwieńczyły małe plastikowe figurki Kataryniarza i Rycerza, niegdyś ulubione, obecnie pomiatane i traktowane gorzej niż psy. Nie inaczej było dzisiaj; dał im po prztyczku w nos, tak że spadły na podłogę ze stukiem. Komisarz jeszcze trochę się nad nimi poznęcał, w końcu wrzucił do szuflady i zapowiedział, że zgniją w lochach, bo ma dziś zły humor. Odpowiedzi się nie doczekał, więc dodał jeszcze kilka obelżywych wyzwisk, huknął pięścią w blat nad szufladą i zostawił figurki w spokoju. Zresztą, co im mógł zrobić – to nieżywy plastik, choć w duchu wiedział, że nie do końca. Czuł nieraz, jak szepczą między sobą, jak się zmawiają, jak go nienawidzą, ale nigdy ich nie przyłapał, nie udowodnił winy. Walnął jeszcze raz z wściekłością w szufladę i wyszedł z pracy.

Był zmęczony i zły. Rozdrażniony nieprzespaną nocą i dziwną sprawą, która zaczęła się od lakonicznej notatki Chwiejczaka, a teraz rosła i rosła jak nadmuchiwany balon. Znał siebie i wiedział, że będzie chodzić wokół tego, sprawdzać, wydzwaniać do Sławków i innych kontaktów, żeby tylko się czegoś dowiedzieć. Był śpiący, ale o tej godzinie jeszcze nigdy nie zasnął, więc postanowił poobserwować budynek instytutu. A nuż się co wydarzy. Po drodze zaszedł na skwerek, gdzie znajomy staruszek siedział na ławeczce i karmił gołębie.

– Taś, taś – przyjaźnie zawołał Wątroba.

– A, taś, taś, panie kochanieńki, tak się pan wczoraj szybko ewakuowałeś, że ani żeśmy nie pogadali, ani gołąbków nie nakarmili. – Dziadek również był przyjazny.

Wątroba spojrział na niego z ukosa, przypominając sobie plecy okryte szarym płaszczykiem znikające pośpiesznie pomiędzy drzewami.

– Sam pan poszedłeś, ja byłem tu... – zawahał się, co mu powiedzieć – do późna.

Dziadek skrzywił się, jakby usłyszał kłamstwo. Dorzucił bułki gołąbkom.

– Eee tam – odpowiedział na Wątrobową ripostę – bujda.

Wątroba już się chciał zaperzyć, wytknąć mu kłamstwo, ale staruszek mrugnął do niego, dał kawałek bułki, kiwnął głową w kierunku gołębi i zamruczał:

– Taś, taś.

Wątroba opanował się i rzucił kilka okruchów na asfalt.

– Byłem wczoraj tam – wskazał brodą postument, który już powoli zarastał pnączami. – Byłem... tobą. Ty mnie tam wysłałeś, żebym poznał twoją historię.

Zapadło milczenie. Staruszek kruszył bułkę, patrząc pod nogi. Nie potwierdzał ani nie zaprzeczał.

– Pracowałeś tam? – Wątroba wycelował palcem w gmach instytutu. – Z Nowakiem? Co się dalej stało?

Tamten milczał dalej. Wątroba zdenerwował się.

– Słuchaj! Chcesz czegoś ode mnie, to mi powiedz. Wyjaśnij! A nie... „czoło diabła” i radź se dalej sam. Nigdy nie byłem dobrym harcerzem.

Siwy jegomość milczał, wciąż patrząc pod nogi.

Wątroba rzucił z wściekłością resztką bułki w głowę najbliższego gołębia, który przewrócił się, zatrzepotał skrzydłami, a potem wstał i z godnością odszedł na bok.

– Co jest! Co to za zabawa?! Dowiem się czegoś, czy nie?

Staruszek zerwał się z ławki, widać było, że jest niezwykle wzburzony, ręce mu się trzęsły jak w febrze, ciężko dyszał, wzrokiem błądził jak ślepiec. Wątroba domyślał się, co zaraz usłyszy.

– Czoło diabła, czoło diabła... – wyszeptał w końcu emeryt, rzucił kawałkiem bułki, trafiając zresztą w tego samego gołębia, i bardzo szybko, jak na swój wiek, pomaszerował w kierunku wyjścia ze skweru.

– Ale... – Wątroba chciał jeszcze o coś zapytać, ale tamtego już nie było.

– Czoło diabła, czoło diabła! I dupa Lenina – mruknął wkurzony Wątroba. Podniósł bułkę z ziemi, żeby jeszcze raz rzucić wściekle w jakiegoś gołębia, ale te profilaktycznie rozpierchły się na boki, więc rozejrzał się tylko bezradnie;

ostatecznie ją zjadł, a następnie spieszonym krokiem udał się w kierunku instytutu. Był na tyle zdenerwowany ostatnimi wydarzeniami, że postanowił wejść do środka, by rozmówić się tam z jakimś kierownictwem i albo wyjaśnić sprawy, albo ich nie wyjaśnić. W każdym razie musiał działać. Rozpoczął mozolną wędrówkę po schodach; dwie uzbrojone postacie zbliżały się do niego krok za krokiem. W połowie schodów stanął, aby odsapnąć; kondycję fizyczną miał fatalną. Niebo nad górnym gzymsem budynku kłębiło się szarymi chmurami. Kruki kołowały nad głową Wątroby skrzekliwie naśmiewając się z jego zmęczenia. Wiatr rozpylał delikatne kropelki mżawki. Wątroba już to raz przeszedł, wczoraj też tak było, wiatr, deszcz, kruki... Odwrócił się, lustrując okolicę. Martwo się zrobiło i pusto.

Tramwaj, dzwoniąc, wyjeżdża z zakrętu, postać w czarnej pelerynie biegnie do przystanku. Nie zdąży. Komisarz słyszy dzwonek, ulicą jedzie dostojnie czarna limuzyna. Deszcz się nasila, na balkonie pobliskiej kamienicy podmuchy wiatru szarpią bieliznę wiszącą na sznurze. Komisarz odwrócił się i zlustrował szarą fasadę gmachu. Czuł na sobie czyjś wzrok. Próbował znaleźć okno, w którym czaił się obserwator. Nadaremnie, wszystkie wyglądają jednakowo, jednakowo odbijają szare kłęby nieba. Westchnął ciężko, nasunął głębiej kapelusz, poprawił wrzynające się stringi i rozpoczął dalszą wędrówkę ku monumentalnym drzwiom. Po kilkudziesięciu sekundach stanął pod nimi. Wiatr gwizdał na załomach muru, deszcz lał już całkiem konkretnie. Jak się tam dostać? Jakiś dzwonek? Rozglądał się bezradnie. Stał przed niedostępnym gmachem i zastanawiał się co dalej. Próbował walić w drzwi, nawoływał. Wydawało się to nieskuteczne, ale po kilku minutach coś trzasnęło za ciężkimi wrotami, przez grube szkło dało się zauważyć ruch i zaraz drzwi się otworzyły. Wychynął z nich znajomy gruby portier w niebieskiej koszuli.

– Teren zastrzeżony! Proszę opuścić. Zakaz zgromadzeń!

– Ale ja jestem sam. – Wątroba rozejrzał się wkoło, udając, że szuka innych członków zgromadzenia.

– No to zakaz stania pod drzwiami! – improwizował według potrzeb facet w czapce z napisem ITS.

– Jestem z policji, komisarz Wątroba. – Pokazał legitymację. – Chcę porozmawiać z dyrektorem tego instytutu. Sprawa służbowa.

Tamtego na moment замуrowało. Był najwyraźniej przyzwyczajony, że służbowa czapka i spodnie zaprasowane w ostry kancik wystarczają do oficjalnych wystąpień w roli tutejszego przedstawiciela prawa. Ale z legitymacją policyjną jeszcze się chyba nie zetknął, bo patrzył na nią długo, a następnie mruknął coś niewyraźnie, chyba: „Czekać”, i zatrzasnął drzwi. Po kilku następnych minutach, kiedy Wątroba całkiem stracił nadzieję na postęp w sprawie, wrota znów się z trzaskiem uchylały i portier zakomunikował:

– Doktor Nowak czeka.

W komisarza jakby piorun strzelił; tego się nie spodziewał. Doktor Nowak? Ten Nowak?! Podążył za portierem, który poprowadził go po wysokich schodach i długich korytarzach. Idąc tak, minęli wysoką figurę z tabliczką głoszącą, że oto stoisz przed podobizną W. Marlekoniewa. Tyle przynajmniej zrozumiał komisarz, który kiedyś uczył się rosyjskiego. Portier, idący bez zatrzymywania się korytarzem, odwrócił głowę i mruknął: „Proszę się nie rozglądać. Teren zastrzeżony!”. Wątroba nagle sobie przypomniał. Tak! To ten sam głos, który usłyszał, wracając wczoraj z gabinetu Bieruta. Dogonił go i dostosował krok do miarowego marszu przewodnika. Czuł się bardzo niepewnie. Drzwi się przed nimi otwierały i zaraz za nimi zamykały, mijali schody, okna i następne drzwi. Wątroba całkiem już się zagubił. Po kilku minutach stanęli pod kolejnymi wrotami. Mijali po drodze mnóstwo wejść do innych pomieszczeń, być może laboratoriów. Wątrobie wydawało się, że ciągle go ktoś podgląda, że uchyla te drzwi i obserwuje ich korytarzową wędrówkę, ale gdy się odwracał, widział tylko pusty korytarz.

– Doktor Nowak czeka.

Wątroba pchnął skrzydło drzwi i znalazł się we wnętrzu eleganckiego, choć urządzonego w staromodnym stylu gabinetu. Zza biurka podniosła się postać i wyciągając rękę, podeszła do komisarza.

– Dzień dobry, Nowak, doktor Nowak jestem.

Wątroba również wyciągnął dłoń i wymruczał powitanie, ale jego umysł zaprzętało jedno pytanie: jak to możliwe, że widzi tego samego człowieka co wczoraj z „czoła diabła”, tyle że sześćdziesiąt lat później, a ten człowiek wygląda identycznie? Jedyne zmiany to ubiór i fryzura. Podobieństwo było tak wielkie, że Wątroba rozglądał się, bezwiednie szukając prezydenta Bieruta. Pomysł był z gatunku science-fiction. Wątroba lekko się uśmiechnął i mocno uściśnął dłoń doktora. Uścisk tamtego był niepewny, jakby lękliwy. Doktor wskazał komisarzowi miejsce w rozłożystym, skórzanym fotelu, zaproponował również wodę z karafki. Wątroba przystał na propozycję, podziwiając piękne, rżnięte szkło naczynia. Nad ich głowami górował inny niż na dole posąg Marlekoniewa, jak informował napis na rzeźbie.

– Czym mogę służyć, panie komisarzu? – zapytał doktor, zajmując miejsce w drugim fotelu.

– Co to za rzeźba? – zagaił komisarz.

– A, to Marlekoniew. – Głos Nowaka nabrał radosnego brzmienia, tak jakby ktoś go spytał o kogoś wspaniałego. – Sam Marlekoniew. – Spojrzał na Wątrobę sprawdzając, jak silne wrażenie wywarła na nim ta wiadomość.

– Aha, Marlekoniew. – Policjant potwierdził przyjęcie wiadomości, ale najwyraźniej poziom jego zachwyty był dla Nowaka zdecydowanie za niski. Doktor zacisnął usta i ściągnął gniewnie brwi.

– Tak. Marlekoniew. Chyba największy z naukowców, jakich nosiła, mhm, znaczy, nosi ziemia – zakomunikował dobitnie, patrząc Wątrobie prosto w oczy.

– To on jeszcze żyje? – Wątroba zdziwił się szczerze; trochę zbyt szczerze jak na debilowatego policjanta. Zamrugał swoimi oczkami i zdumionym spojrzeniem objął naukowca. Odpowiedź nadeszła natychmiast:

– Marlekoniew żyje, szanowny panie, i żyć będzie długo, jeżeli nie wiecznie. W naszych myślach i czynach – wysyczał poirytowany Nowak i skłonił się lekko w stronę posagu, tak jakby przepraszając za słowa niedelikatnego grubasa. Zapanowała niezręczna cisza.

– Aha – znów przyjął do wiadomości Wątroba. – Niech mu będzie, na zdrowie – dorzucił i pomachał serdecznie marsowemu obliczu rzeźby, wkurzając Nowaka jeszcze mocniej. Doktor złożył dłonie razem, zakreślił kciukami i przymknął oczy. Po chwili znów był opanowany i uprzejmy.

– Czym mogę służyć, panie komisarzu? – powtórzył swoje pytanie.

– Szukamy Krzysztofa Podemskiego, podobno był tu przedwczoraj – Wątroba walnął z grubej rury i teraz stał na armacie, sondując efekt, który niestety okazał się mizerny.

– A kto to jest? – Nowak założył ręce na piersiach i z lekkim uśmiechem czekał na wyjaśnienia.

– Chłopak, lat około dwudziestu, mam nawet zdjęcie. – Wyciągnął fotografię, którą im wczoraj dał Światała, zrobioną podczas jakiejś wspólnej szkolnej imprezy.

– Nie znam, nie widziałem. – Nowak musnął wzrokiem zdjęcie, ale tak pobieżnie, że gdyby znajdował się na nim sam Elvis Presley, też by mógł powiedzieć, że nie zna i nie widział.

– Ale ktoś go widział, wchodził tu. Państwa portier go wpuszczał. Mamy świadka.

– Franciszek kogoś wpuszczał? I ja nic nie wiem? Niemożliwe! A zresztą... – Podniósł słuchawkę, wykręcił jakiś numer na tarczy i rzucił krótko:

– Do mnie! – Odłożył słuchawkę. Po dłuższej chwili Franciszek stał przed nimi w postawie prawie zasadniczej.

– Franciszku, podobno ten chłopak tu był, podobno go wpuszczaleś. Ja wiem, że nie, ale ten pan... – zaczął Nowak.

– Pozwoli pan, że ja zapytam? – Wątroba przerwał tę tendencyjną gadaninę. Nowak zacisnął gniewnie usta, ale zamilkł.

– Proszę pana, czy widział pan kiedyś tego człowieka? – wskazał na zdjęciu Świtałę. Franciszek przybrał zafrasowany wyraz twarzy, rozejrzał się bezradnie.

– Tak, kiedyś był pod drzwiami. Musiałem odpędzić – przyznał Franciszek.

– A kiedy? Czy niedawno?

– Niedawno, ale nie pamiętam kiedy.

– A tego pan zna? – Wskazał na Podemskiego.

– A nie, nie! Tego nie! I nigdy nie widziałem! – wykrzyknął prawie radośnie, widząc, że doszli do sedna sprawy. Wątroba uchwycił krótkie jak błyskawica spojrzenie Franciszka rzucone w kierunku Nowaka. – Tego nigdy tu nie widziałem!

– Ani przedwczoraj?

– Ani przedwczoraj.

– Ani wczoraj?

– Ani wczoraj.

– Rozumiem, dziękuję. A swoją drogą, po co wy przeganiacie ludzi spod drzwi, skoro i tak nikt nie wejdzie? – Wątroba zadał kolejne pytanie.

– Bo my... – zaczął stróż.

– Dobrze, Franciszku! Dziękujemy bardzo. Ja już resztę wyjaśnię.

Portier wyszedł w tempie ekspresowym.

– Chronimy nasze badania, chronimy przed szpiegostwem i ogólnie... chronimy – tłumaczył dość mętnie Nowak.

– Aha, rozumiem – udawał zrozumienie Wątroba. – A co się tu robi, jakie badania?

– To, ogólnie mówiąc, zaawansowane badania biologiczne. Rozwijamy nowe nauki.

– Jakie nauki? – Wątroba nie ustępował w eksploracji. Nowak był wyraźnie zaskoczony jego dociekliwością.

– No różne, głównie tkanki, genetyka, nowe kierunki, trendy. – Nowak starał się zamknąć wyjaśnienia bez podawania konkretów.

– A można z kimś tutaj porozmawiać, z jakimś pracownikiem? – zapytał szybko komisarz i spostrzegł, że trafił. Twarz Nowaka zmartwiała, palce zabębniły nerwowo o oparcie fotela.

– A w jakim celu, przepraszam?

– W celu zaspokojenia ciekawości. – Wątroba rozkoszował się celnym ciosem.

Nowak obiecał, że kogoś przyprowadzi; wyszedł szybkim krokiem z gabinetu. Wątroba tymczasem wstał z fotela i przechadzał się po pomieszczeniu. Wszędzie śledziło go poważne spojrzenie Marlekoniewa, ale on rozpraszał ten ponury nastrój wesołkowanym pogwizdywaniem. Ze zdziwieniem stwierdził, że staromodne umeblowanie nie jest żadną imitacją – wszystko najwyższej jakości oryginał. Z podziwem obejrzał potężną szafkę biblioteczkę wypełnioną po brzegi książkami w różnych językach. Następnie podszedł do okna, z framugą równie misternie wykonaną co reszta wyposażenia. Z wielką mosiężną klamką. Ciężkie chmury wisiały nad budynkiem, kruk siedział na gzymsie i krakał zawzięcie. Drzwi do gabinetu nagle się otworzyły i wszedł Nowak w towarzystwie starszego człowieka, który przedstawił się jako doktor Kosiński. Wątroba również podał swoje nazwisko i stopień, po czym rozpoczął indagację:

– Jak długo pan pracuje w instytucie?

Kosiński podniósł oczy ku sufitowi, jakby zastanawiając się. W końcu odparł:

- Pięćdziesiąt trzy lata, panie komisarzu.
- A co pan tu robi?
- Wykonuję przydzielone zadania, badam właściwości różnych tkanek.
- Jakich tkanek?

Kosiński spojrzał niepewnym wzrokiem na Nowaka. Ten dopowiedział:

- Różnych tkanek, zwierzęcych, roślinnych, ludzkich.
- Tak, tak. Różnych. – Kosiński ucieszył się z pomocy.
- A nie myślał pan o przejściu na emeryturę? To dość długi staż pracy?

Mężczyzna milczał. Sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, o co chodzi grubemu policjantowi. Patrzył błagalnie na Nowaka, który w końcu wyjaśnił:

– Doktor Kosiński niedługo wybiera się na emeryturę. Instytut daje godne wynagrodzenie za trud całego życia.

Twarz starszego pracownika przyoblekła się przerażeniem; już chciał coś powiedzieć, zaproponować, ale Nowak uciszył go ruchem dłoni. Obaj pytająco spojrzeli na Wątrobę.

– Proszę mi podać swój adres, w razie gdybym jeszcze chciał pana o coś spytać. Gdzie pan mieszka, może numer telefonu?

Kosiński zaczął otwierać usta, ale ubiegł go Nowak:

– Pan doktor tyle czasu spędza w firmie, że nie warto go trudzić po godzinach. Proszę się kontaktować przez instytut, przeze mnie.

Kosiński potaknął i więcej nic nie powiedział. Wątroba pokiwał głową ze zrozumieniem. Po chwili pożegnał się z panami i podążył za stukającym echem kroków portiera. W głowie miał chaos, mnóstwo spostrzeżeń i przeczuć bulgotało, walcząc o jego uwagę. W tej chwili chciał tylko stąd wyjść. Za którymś z kolei zakrętem, gdy weszli w następny korytarz, miał nadzieję, że to już ostatnia prosta. Franciszek też wyraźnie chciał się go pozbyć, bo pędził, jakby bił rekord świata w chodzie. I nagle Wątroba zauważył kogoś po przeciwległej stronie. Oni też zostali

dostrzeżeni i postać natychmiast zaczęła się oddalać, ale ten moment, kilka ruchów i odległy zarys twarzy wystarczyły, żeby Wątroba rozpoznał Podemskiego.

– Tam jest! Panie Krzysztofie, Krzysztof, poczekaj! – Pognał co tchu w jego kierunku. Chłopak zniknął mu z oczu, ale liczył, że za zakrętem znowu go zobaczy. Słyszał ciężkie kroki goniącego za nim dozorca. W końcu dotarł do zakrętu korytarza, który się w tym miejscu rozwidłał. Wątroba nie umiał stwierdzić, gdzie poszedł chłopak: w lewo czy w prawo. Dysząc ciężko, rozglądał się bezradnie. Po chwili dopadł go Franciszek i chwycił za ramię. Pomimo swojej tuszy i pozornej ociężałości nie wyglądał wcale na zasapanego.

– Nie wolno! Zawracać! Teren zastrzeżony! Wzbroniony! – wrzeszczał, odciągając Wątrobę.

Komisarz mógł już złapać dech i zaczął się drzeć na portiera.

– Dranie! Kim wy jesteście?! Coście mu zrobili?

Portier z zawziętą miną dodatkowo złapał Wątrobę za kołnierz i pociągnął jeszcze energiczniej. Był niebywale silny, policjant się miotał, wrywał, wrzeszczał, ale tamten pozostał niewzruszony. Taszczył go jak traktor klocek drewna. W końcu Wątroba zobaczył wielkiego Marlekoniewa, wielkie drzwi otwierane z łoskotem, a następnie wielkie kamienne schody u swoich stóp.

– I radzę ci, więcej tu nie przychodź! Teren zastrzeżony! – warknął portier, zatrzasnął bramę.

Po sekundzie zapanował spokój. Wątroba wiedział, że jest bacznie obserwowany, że być może śledzi go wiele par oczu, ale stał i stał, próbując uporządkować myśli. Szara mżawka oblepiała mu twarz, a kruki kołowały ponuro nad placem, nad nim, nad tramwajem, człowiekiem w pelerynie, i krakały: „Zastrzeżony, zastrzeżony”. W końcu zszedł wolno ze schodów, oglądając się co chwilę przez ramię. W duchu obiecywał sobie, że jeszcze się za nich weźmie. W drodze powrotnej, mijając „czoło diabła”, rozejrzał się za staruszką-gołębiarzem,

ale zamiast niego ujrzał nadchodzącą dużą grupę znajomych postaci w dresach i kurtkach skóropodobnych. Widać pijaństwo do nocy było tutejszym rytuałem. Oddalił się więc pospiesznie, pilnując, by tamci nie przyuważyli go w okolicach cokołu. Jeszcze wejdą na niego o północy i całą tajemnicę szlag trafi.

Jako że było już po południu, Wątroba postanowił nie wracać na komisariat, tylko iść do domu i odespać nocne przygody. Wędrując przez osiedle, spotykał emerytów grzejących się w słońcu, wałęsające się psy, wąsatych ojców rodzin w mokasynach i szarych wiatrówkach, wracających z fabryk do domów; minął budynek starej walcowni, gdzie ponoć znajdowało się zasypane wejście do sztolni dawnej kopalni z ukrytymi skarbami.

Niedaleko swojej kamienicy zobaczył znajomą postać. Stalowy Kazek siedział pod drzewem i wyglądał na mocno pijanego. Twarz ukrył w dłoniach, coś mruczał pod nosem. Wątroba dawno już stracił złudzenia co do powrotu Stalowego do porządnego życia. Ale zawsze kiedy go widział pijanego, wulgarnie klnącego w towarzystwie swoich kompanów, smutno mu się robiło z powodu zaprzepaszczonej przez Kazka szansy na lepsze życie. Jednak po dłuższej analizie nabrał przekonania, że tylko jemu jest smutno, a Stalowy bawi się dość dobrze i ma utracone szanse życiowe głęboko w tyle. Postanowił się przysiąc, pogadać, rozproszyć trochę szare myśli kłębiące się pod kapeluszem. Stalowy ze swoimi żarcikami świetnie się do tego nadawał.

– Sie masz, Stalowy. Można klapnąć obok?

Kazek Opalek uniósł głowę, przerażenie odmalowało się na jego twarzy. Zerwał się na równe nogi i przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w komisarza. W końcu się odezwał:

– Czego pragniesz, duszo zbłąkana? Jakże cię zwać, gdyś po tamtej stronie? Idź precz, przepadnij w otchłani zaziemskiej. Idź, a zostaw nas w pokoju!

Wątroba siedział jak oniemiały. Od razu przypomniał sobie ulotkę *Delirium tremens i co dalej?*. Ja cię przepraszam, a to się Stalowy załatwił, a niby pomoc mu niepotrzebna.

– Kaziu, to ja, Wątroba. Nie poznajesz? – przemówił łagodnie.

– Poznaję, czego chcesz? Jadła? Napoju? A zostawże mnie w pokoju! A kysz, a kysz!

Wątroba wstał z ziemi, wbił ponure spojrzenie w Stalowego i wycedził:

– Hej, kruki, sowy, orlice! O wy przeklęte żarłoki! Puśćcie mnie tu pod kaplicę. Puśćcie mnie choć na dwa kroki.

Stalowy wyciągnął dłoń przed siebie i z trudem utrzymując równowagę, odparł:

– Wszelki duch! Jakaż potwora! Widzicie w oknie, znaczy się pod drzewem, upiora? Jak kość na polu wybladły; choć gruby. Patrzcie! Patrzcie, jaki kapelonek, jakie lica! Znam, znam głos ten! To jest Targowica!

Zaczął obchodzić Wątrobę, oglądając go podejrzliwie z każdej strony.

– W gębie, prócz języka, dym i błyskawice, oczy na głowę wysiadły, cokolwiek to znaczy. Świecą jak węgle w popiele.

Chwycił Wątrobę za poły płaszcza i płacząc, zawył:

– Czego chcesz, zjawo, marny cieniu komisarza? Ja nic nie mam, lecz by zbawić cię uczynię wszystko, wszystko co chcesz, co nakażesz.

– Stalowy, co to za jaja? Chwila z klasyką zawsze dobra, ale ty mnie chyba bierzesz za kogo innego?

Stalowy zamarł w pół ruchu, spojrzał zaskoczony na swoje dłonie trzymające tkaninę prochowca, następnie chwycił go w pasie, próbując, czy ten rzeczywiście jest cały i zdrowy. Zaczął płakać i śmiać się jednocześnie.

– Żyje, żyje! A ja myślałem, że już ducha widzę. Aż se rymnąłem, jak jaki Słowacki albo czeski. Kochany komisarzy, jakże się cieszę!

Objął go mocno i ucałował z pijacką szczerością siarczyście w oba policzki. Twarz Wątroby zastygła w wyrazie zdziwienia.

– No coś ty! Stalowy, oszalałeś?

Ale tamten obejmował go mocno i nie puszczał, cały czas powtarzając: „Żyje, żyje”. W końcu Wątrobie udało się go odepchnąć, a Stalowy, nieco mętnie i zbaczając co chwilę z tematu, opowiadał przeżycia ostatnich godzin.

– ...no i rozumiesz, szefie, spierdoliłem przez te krzaczory. Cały czas myślałem, że mnie te chirurghi gonią, żeby też tam na stół położyć – opowiadał.

Wątroba zdążył już nieco poznać wnętrze instytutu i pana Franciszka, więc wiedział, o czym Kazek mówi. Zdziwiło go, że portier go puścił, wyglądał raczej na służbistego idiotę, który słucha Nowaka i nic go więcej nie interesuje. A sił i kondycji mu nie brakowało, o czym osobiście się przekonał.

– Hm, to wszystko jest jakieś zagmatwane. Ale na pewno to byłem ja, znaczy niby ja, na tym stole?

– Jak amen w pacierzu, szefie! Poznałem. Nie każdy ma taką klątę jak szef!

Wątroba omiół Stalowego wkurzonym spojrzeniem, badając poziom drwiny, ale Opalek mówił jak najbardziej poważnie.

– Niestety, chyba czeka nas kolejna wycieczka do instytutu. Ale na razie nikomu nie mów. Obiecujesz?

– Jak kamień w wodę, szefie. Będę milczał jak grób – przysiągł Stalowy, unosząc skrzyżowane palce prawej dłoni.

Wątroba chwilę mierzył wzrokiem ten chodzący grób i wodę. Chrząknął z niedowierzaniem, w końcu machnął ręką i się rozstali. Kątem oka widział jeszcze, jak Stalowy splota przez ramię i odczynia urok kępą wyrwanej trawy. Duch albo żywy, nie wiadomo, a strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Następnego dnia komisarz zasiadł za swoim biurkiem i ogłosił amnestię dla wszystkich figurek z lochu w szufladzie. Wyciągnął je na blat, pochuchał, pogłaskał po główkach i ustawił symetrycznie na środku blatu. Za chwilę Chwiejczak przyniósł wiadomość, że dzwonił jakiś doktor Sławek z uniwersytetu z nowinami o prezydencie Bierucie. Wróżka go opierdolił za głupie telefony i zagroził odpowiedzialnością karną, ale on, Chwiejczak, zna pana komisarza i jego pomysły, więc przekazuje informację. Wątroba podziękował i pomyślał, że tacy jak Chwiejczak nie mogą awansować, bo kto by się zajmował robotą i logicznym myśleniem. Następnie podchwycił wątek, który mu się snuł po głowie, kiedy wędrował do pracy.

Doktor Kosiński. Nowak nie przyprowadził go przypadkowo. Jeżeli było to starannie przygotowane alibi, to najwyraźniej od bardzo dawna z niego nie korzystał. Zatem tu należy szukać punktu zaczepienia.

– Chwiejczak, bierzcie Wróżkę...

Posterunkowy spojrział zdziwiony na komisarza. Wyższego stopniem? Wątroba zorientował się, że palnął gafę.

– Poproście Wróżkę, żeby z wami popracował, a resztą sam mu powiem.

Po chwili tłumaczył obu, o co chodzi. Kosiński albo jest osobą, której coś się przytrafiło, tak jak Podemskiemu, zniknięcie, porwanie, a później się pojawił i udaje, że nic się nie stało. Albo, co bardziej prawdopodobne, jest to legalnie zgłoszony, zarejestrowany pracownik, którego instytut trzyma na pokaz. W pierwszym przypadku należy przeszukać archiwum w celu sprecyzowania daty i szczegółów wydarzenia, w drugim – należy znaleźć dane doktora Kosińskiego z formularza dowodu osobistego. Wszystkie te informacje powinny być w archiwach Komendy Wojewódzkiej, nawet dane z dowodu osobistego, gdyż wtedy Milicja Obywatelska wystawiała i aktualizowała dowody, łącznie z informacjami o miejscu pracy.

Wróżka osunął się poblądły na krzesło, wargi mu drżały. Patrzył bezradnie to na Chwiejczaka, to na Wątrobę.

– Pan zwariował, komisarzu. We dwóch w archiwach Wojewódzkiej? Wyjdziemy stamtąd za rok, z astmą od kurzu i długimi siwymi brodami. I jeszcze ci archiwiści... – Wstał, udając przygarbionego starca, wykrzywił twarz w dziwnym grymasie i zaskrzeczał: – Tu są, młody człowieku,teczki od „Aa” do „Aą”. Ja jestem trzy kilometry dalej w swoim biurze. Powodzenia.

– Nie trzeba było krzyczeć na mojego kolegę Sławka. A tak, mała pokuta. Głowa do góry, może dane będą w pierwszym pudle z brzegu. – Nuta fałszywej życzliwości zabrzmiała w głosie komisarza. – Chwiejczak nie pęka, to i wy się trzymajcie.

Wróżka zasepił się, po czym smętnie mruknął:

– Chwiejczak nie pęka, bo mu wyobraźni brakuje. A ja, niestety, już raz byłem w archiwum wojewódzkim.

Gdy wyszedł, wielce markotny, Wątroba sięgnął po telefon. Po chwili po drugiej stronie zachrobotał znajomy głos zapalonego historyka:

– Wątroba, ty chyba faktycznie zatrudniłeś się w IPN-ie. Oba tematy, o które pytałeś, są dość tajemnicze. Nie znalazłem informacji o żadnym zakładaniu laboratoriów na podstawie dekretu prezydenckiego, ale Bierut wydał w marcu 1950 dekret, który później zniknął z wszelkich dokumentów. Znajduje się na niektórych spisach i w monitorze jako pozycja, ale nigdzie nie ma jego treści. Może to jest to. A jeszcze ciekawszy temat stanowi doktor Nowak. Pierwszy raz pojawił się w dokumentach Światowego Kongresu Intelktualistów w 1948 jako delegat strony radzieckiej. No wiesz, taki zjazd, niby ogólnoludzki i wszechświatowy, mocno propagandowy. Nawet Pablo Picasso był, namalował murala, a potem jakiś cieć nie wiedział, co z tym zrobić, to umył i zamalował na gładko. W biuletynie informacyjnym Nowak jest przedstawiany jako wybitny biolog, ale wtedy miał

zaledwie trzydzieści sześć lat, więc była to raczej chwała pochodzenia politycznego. Facet studiował w Moskwie u niejakiego Marlekoniewa, wielka sława w dziedzinie genetyki. Za czasów Stalina główny apologeta komunistycznej biologii...

– A są różne biologię? – zdziwił się Wątroba.

– Wtedy były. Tak jak ekonomie. Chodziło głównie o teorię, do czego służy nauka, a może raczej: czemu i komu służy. Otóż Marlekoniew prowadził szeroko zakrojone badania nad możliwością klonowania organizmów. Same badania nie są szkodliwe, dopóki nie mają praktycznego zastosowania, ale stają się wręcz niebezpieczne, jeżeli to zastosowanie się znajdzie. A pamiętaj, że był to czas poszukiwań metody, jak ukształtować w pełni podległego i bezwolnego człowieka komunistycznego. No i Marlekoniew chyba doszedł do znaczących wyników, bo w pewnym momencie zniknął z wszelkich oficjalnych notatek i informacji. To znaczy tyle, że albo zaczął pracować nad czymś wielkim i dostał laboratorium za Uralem, albo pojechał, również za Ural, tyle że w nieogrzewanym wagonie, bo nie był dostatecznie poprawny politycznie. W rozumieniu tamtych norm poprawności. No i laboratorium tam oczywiście nie dostał.

– A Nowak?

– Nowak chyba pracował z nim w Moskwie, ale pojawia się na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych jako członek Polskiej Akademii Nauk, a więc już oficjalnie jako polski naukowiec.

– I co dalej?

– I dalej jest dziura w życiorysie, brak danych aż do 1956, kiedy przychodzi Gomułka. Odwilż, odprężenie, można opowiadać kawały polityczne, pojawia się też Nowak, jako oskarżony o nielegalne eksperymenty na ludziach. Sprawa staje się dość głośna, Polska Akademia Nauk profilaktycznie wykreśla go z listy członków. Nawet padło gdzieś określenie „polski Mengele”. Jest postępowanie, są świadkowie, którzy twierdzą, że prowadzi on grupę, która gdzieś w tajnym laboratorium dokonuje badań

i bliżej nieopisanych doświadczeń na żywych organizmach, w tym na ludziach. Ale wyroku nie ma, notatka kończy się stwierdzeniem, że zlecono badania psychiatryczne. I na tym koniec, Nowak zniknął z powierzchni ziemi, a przynajmniej informacja o nim. To była bardzo niewygodna politycznie sprawa. Pamiętaj, że wtedy zbrodnie tego typu oficjalnie popełniali tylko naziści, a Ruscy i my to dziewice w wianuszkach.

– Mhm... – zafrasował się Wątroba, wyobrażając sobie swoją obłą postać w zwiewnej białej szacie i z wiankiem na głowie, jak biegnie przez łąkę, trzymając za rękę równie ustrojonego Stalowego.

– Słuchaj, to ciekawe tematy na magisterkę, a może nawet doktorat. Mam pomysł, przyślę tam któregoś ze swoich studentów. Pokopie w dokumentach, a i może tobie pomoże.

– Tak, tak, ale później. Dziś mógłby paść ofiarą eksperymentu na ludziach, znaczy na studentach.

– Żartujesz? Masz do czynienia z potomkami krwawego Nowaka?

– Raczej z nim samym.

– E, wiedziałem, że żartujesz, dziś miałby po pięćdziesiątce. Tacy już tylko o własnym stolcu myślą.

Wątroba obiecał informować kolegę na bieżąco, co w przypadku skali czasu historyka oznacza do dziesięciu lat po wydarzeniu. Sławek jeszcze dodał, że od kilkudziesięciu lat typowym miejscem badań psychiatrycznych zaleconych sądownie był w ich mieście szpital na ulicy Cichej. Po odłożeniu słuchawki komisarz zamyslił się, patrząc na tykający zegar i słuchając marudzących petentów za ścianą. Coś się z czymś tu zająbało, tworzyło całość, grało. Ale co z czym? Nie wiadomo. Już chciał posłać po Chwiejczaka i Wróżkę, żeby rozszerzyć im zakres poszukiwań, ale przypomniawszy sobie stan psychiczny tego drugiego, uznał, że lepiej go trzymać z dala od psychiatryka, bo może stracić podkomendnego.

Sam się za to wziął. Skontaktował się ze szpitalem. Zadając pytanie o pacjenta sprzed kilkudziesięciu lat, obudził uzasadnione podejrzenia personelu o stan własnego umysłu. Ale kilka budzących grozę powołań się na ustawy, numery spraw i zakres odpowiedzialności karnej, skruszyło mury i po południu Wątroba stał się posiadaczem informacji, że pacjent Nowak Antoni lat pięćdziesiąt jeden przebywa w Szpitalu Klinicznym przy ulicy Prostej od 1956 roku. Głos podający tę informację sam był zaskoczony tym, co mówił. Taki staruszek i jeszcze żyje? U nich? Wątroba zebrał manatki i zdecydował, że nadszedł czas, aby nawiedzić chorych.

Mietek

Szpital Kliniczny był wielkim przedwojennym budynkiem. Otaczał go rozległy park ze starodrzewem; jesienią romantycznie unosiły się tu zwiędłe liście miotane podmuchami wiatru, a deszczyk szemrał o dachówki. Latem pozytywistycznie kręciły się postacie w pidżamach i zdrowiały, na ile im ich pomięte dusze pozwalały.

Wątroba przeszedł szybko przez nadgryzioną już lekko jesienią zieloność, mając za nic piękne otoczenie, i udał się wprost do dyżurki lekarskiej przy wskazanym oddziale. Lekarz siedział nieco zbyt blisko pielęgniarki, a pielęgniarka była nieco zbyt rozchętana, żeby uznać to za rutynowy przebieg dyżuru. Po chwili, kiedy już człowiek w białym kitlu otrzeźwiał i mógł zrozumieć, o co intruzowi chodzi, poszli długim, pachnącym pastą do podłogi korytarzem.

– To beznadziejny przypadek. Nie będę pana męczył łacińskimi nazwami, ale zasadniczo otoczenie nie ma z nim kontaktu. Utrzymujemy go w czystości i karmimy, ale wie pan, dziewięćdziesiątka na karku. Nawet jakby ozdrowiał, to po co komu taki ramol?

Wątroba słuchał piąte przez dziesiąte gadaniny lekarza. Wiedział, że jeżeli się nie myli, to za chwilę zobaczy coś, co zapamięta do końca życia. Weszli do swego rodzaju apartamentu. Bezduzne, ale czyste i zadbane wnętrze, drobna postać na łóżku. Kołdra okrywała pacjenta prawie zupełnie, jedynie głowa wystawała. Wątroba spojrzał na nią i zmartwiał. Nie mogło być wątpliwości. Rozmawiał wczoraj z tym człowiekiem, młodszym o kilkadziesiąt lat, ale kilka charakterystycznych elementów fizjonomii się zgadzało. Postali chwilę, chory trwał w bezruchu; lekarz podszedł do łóżka i bezceremonialnie pstryknął Nowaka w nos. Reakcja była zerowa. Nawet brew mu nie drgnęła.

– No, widzisz pan, roślinka. Miejsce tylko zajmuje – przesadzał w chamskich tekstach lekarz.

Wątroba słuchał w milczeniu, patrzył na stężałą, nieruchomą twarz i zachodził w głowę, jak rozwikłać tę zagadkę. Lekarz kierował się już ku wyjściu, Wątroba, chcąc nie chcąc, podreptał za nim. Jeszcze ostatni raz rzucił okiem na salę, zmarszczył brwi i zatrzymał się w drzwiach.

– Mówisz pan: roślinka?

Psychiatra potaknął, udając zmartwienie beznadziejnym stanem podopiecznego. Wątroba pokiwał głową ze zrozumieniem, ale jego mina wyrażała wysoki stopień podejrzliwości. Pożegnał się szybko z lekarzem, który z widoczną ochotą udał się do opuszczonej w pośpiechu dyżurki.

Wieczór igrał pomarańczowymi refleksami na szybie, z jakiejś sali dobiegał sygnał *Wiadomości*, z innej dochodził co kilka sekund głośny ryk, jakby zarzynanej świni, który jednakże nie robił na nikim wrażenia. Wątroba poczekał pięć minut na klatce schodowej, po czym wrócił na oddział. Profilaktycznie przeszedł koło dyżurki kilka razy, aby przetestować czujność załogi. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, drzwi pozostały zamknięte, a Wątroba oczyma duszy widział, co działo się w środku i myślał, że chętnie by się z doktorkiem zamienił. Następnie powędrował korytarzem do apartamentu, trochę zdziwiony, że wśród tych wszystkich przepełnionych i brzydkich sal ta jedna wyróżnia się pozytywnie. Wyglądała jak pokój hotelowy.

Wątroba wszedł do środka i zaczął się rozglądać. Po co roślince kapcie i telewizor, po co w łazience szczoteczka do zębów? Stał tak kilka minut i obserwował człowieka w łóżku, ale ten rzeczywiście trwał jak nieżywy, w jednej pozycji. Wydawało się, że umarł. W ciszy pokoju tykał zegar, zawarczała lodówka. Komisarz po kilkudziesięciu sekundach stwierdził, że nic tu więcej nie działo. Odwrócił się, aby wyjść, i zamarł w pół obrotu. Ktoś stał w drzwiach. Nie był to lekarz. Postać psyknęła na niego i machnęła ręką przyzywająco. Wyszli na korytarz; tamten, nie odwracając się, machnął ręką ponownie, każąc Wątrobie iść za sobą. W końcu znaleźli się gdzieś w załomie murów korytarza, w dyskretnej niszy; psykający

człowiek najwyraźniej znał to miejsce doskonale i zapewne często używał go do poufnych rozmów. Odwrócił się w końcu, wciągnął komisarza głębiej w cień załomu, tak że stykali się prawie brzuchami.

– Czego szukasz u Marlekoniewa?

– U kogo, przepraszam?

– No u tego, co tam niby leży. Mówimy na niego Marlekoniew.

– A dlaczego, przecież on się inaczej nazywa?

– Panie, ja wiem dlaczego? Jesteśmy, gdzie jesteśmy, tu się można nazwać, jak komu przyjdzie ochota. Chrystusów mamy ze trzech i za diabła im nie wytłumaczysz, że marny ich los, bo niedługo zginą na krzyżu. Śmieją się tylko, to raczej diabły nie Chrystusy, tak, tak. Pan nie pytaj skąd, ale co, pan się dostosuj do tych szacownych murów. Pan się nie dziw, pan... – nerwowo mruzczał tajemniczy człowiek.

Pomimo jego rad Wątroba się dziwił.

– O co chodzi? – nie rozumiał. – Czego ode mnie chcesz?

– To raczej pan się zastanów, czego chcesz. Tak, tak. Pan się interesujesz, co u Marlekoniewa, ale nie pytasz się tych, którzy go znają. Pan idziesz w złym kierunku. Pan...

– A kto zna dobry kierunek? – wtrącił się komisarz.

– A choćby ja. Jestem tu od piętnastu lat i Marlekoniewa widziałem... – rozejrzał się nerwowo po korytarzu, czy nikt ich nie podgląda albo nie podsłuchuje. Ściszył głos. – No widziałem go nieraz, różnie go widziałem, tak, tak, bardzo różnie. Nie tak jak ten lekarz, co o nim zawsze mówi, że roślinka. Bo on ich przekupił, on ma tu wpływy, nie powiedzą nic, o nie. A ja...

Człowiek zawiesił głos, znowu rozejrzał się nerwowo po korytarzu; ktoś nadchodził, słyhać było powolne kroki. Dziwny rozmówca przyciągnął komisarza do siebie, by z niszy nie wystawał nawet fragment płaszcza. Stali w tym załomie przytuleni do siebie, kroki zbliżały się.

– Jakby co, to się nie znamy – szepnął Wątrobie do ucha. – Zwiedzałeś miasto i tu zablądziłeś, zapomniałeś mapy i kompasu. A ja tu jestem, bo właśnie tędy wracam z domu do pracy. Ale się nie znamy, nic nas nie łączy, jesteśmy sobie obojętni.

Wątroba kiwnął głową, że rozumie, choć nie rozumiał nic. Po co ma się ukrywać – najwyżej go wywalą za bramę. Kroki zatrzymały się kilkanaście metrów od nich. Tajemniczy człowiek dyszał komisarzowi w ucho. Trwali tak wspólnie w ciasnym kąciuku. Kroki zaczęły się oddalać.

– Albo wiesz co, zmieniłem zdanie. Nie jesteśmy nieznajomymi, jesteśmy kochankami, łączy nas gorące uczucie, szła pożądaniami – wydyszał ciężko i wpił się swoimi ustami w wargi Wątroby.

– A odpierdol się! – Wzburzony Wątroba odtrącił natręta i wypadł z niszy. Za zakrętem zniknęła jakaś postać. Poza tym korytarz świecił pustką.

– Idź pan w cholerę albo o Marlekoniewie gadaj – burknął Wątroba, oddalając się już w stronę odległych drzwi.

– Czekaj, czekaj pan. Tak, tak. O Marlekoniewie pogadamy, a jakże, przecież tylko on pana interesuje, tak, tak. – Nieznajomy truchtał za komisarzem, próbując go zatrzymać.

– No dobra. – Wątroba stanął, zachowując bezpieczny dystans od nowego znajomego.

– Ja Marlekoniewa widziałem nie tylko, jak leży, ale... – zawiesił głos, sondując, jak bardzo interesująca jest ta informacja dla Wątroby. Oględziny wypadły dość pomyślnie. Zaczęli rozmawiać o interesach.

Kilka minut później Wątroba szedł przez podwórze szpitala, trzymając w ręku karteczkę, na której Mietek – jak przedstawił się nowy znajomy – zapisał, co chce dostać w zamian za dostęp do dogodnego punktu obserwacyjnego na Nowaka lub, jak powszechnie go tu nazywano, Marlekoniewa.

– Oral, anal, Murzyni z Białymi, Azjatki, brazylijscy transwestyci, duże biusty...
– czytał po raz kolejny litanie od Mietka. Wszystko na nieoznakowanych płytach DVD, w kopertach, a nie w pudełkach, żeby łatwiej było ukryć przed kontrolą. Na odchodnym Mietek powiedział, że cały oddział będzie trzymać za niego kciuki i że na pewno mu się opłaci, bo Marlekoniew jest tego wart. Mówiąc to, wyraźnie nie dowierzał własnemu szczęściu, że ktoś za taką głupotę jak oglądanie chorego psychicznie starca zaopatrzy ich w filmotekę na długie jesienne wieczory. Wątroba sam nie był pewien, czy robi dobry interes, ale akurat miał dostęp do większości wymienionych filmów, więc postanowił spróbować.

Po dwóch godzinach wrócił pod bramę ze sporą torbą; przejście koło portierni nie stanowiło żadnego problemu. Gorszą sprawą okazało się wejście na oddział, który o tej godzinie był już zamknięty. Wątroba szarpał wściekle za klamkę, wreszcie wyszedł przed budynek. Mietek nie miał telefonu, a Wątroba chciał uniknąć jakichkolwiek hałasów. Stał po oknami i gorączkowo rozmyślał, jak się dostać na górę. Już otworzył usta, by dyskretnie zakukać – co wychodziło mu bardzo dobrze – gdy usłyszał psyknięcie. Z okna na piętrze wychyliła się głowa, na ziemię opadł sznur z solidnym węzłem na końcu.

– Zgłupieście? Przecież nie jestem małą! – syknął w stronę okna. Już widział oczyma wyobraźni to upodlenie, jak nieubłagane osuwa się w dół, wreszcie omdlałe dłonie puszczają linę i spada na ziemię, a tłum pacjentów rechocze w oknie.

– Cii! Wciągniemy cię. Wszyscy pomogą. – Mietek uspokajał komisarza. – Włóż na węzeł, chwytaj linę! Filmy pan masz?

– Mam, mam – odparł Wątroba. Chwycił linę, nogi zapał o węzeł i podjechał kilka centymetrów, potem parę kolejnych... Naraz porwało go gwałtownie pół metra w górę – prawie spadł! Przerażony zacisnął palce na sznurze; czuł, że stopy wolno osuwają się z węzła. Wiedział, że na samych rękach długo nie wytrzyma. Po chwili lina znowu ruszyła i wkrótce dotknął głową parapetu; kapelusz się przekrzywił, zaraz

spadnie, jakaś ręka chwyciła torbę. Wątroba szarpał się przez parę sekund w nierównej walce, ale torba została na górze, a on zaczął zjeżdżać w dół. A raczej spadać. Uderzył z impetem o ziemię, a na głowę spadł mu niepotrzebny już nikomu sznur.

„A to łobuzy! Zrobili mnie” – pomyślał, sprawdzając, czy jest cały.

– Ee, co jest? – rzucił pytanie w górę.

– Zwiń sznur i poczekaj – zarządził Mietek.

Wątroby mało szlag nie trafił. I co jeszcze? Może posprzątaj podwórko?

– Co jest? Macie mnie za frajera? – niemal krzyczał, ale odpowiadała jedynie cisza. Wkurzony Wątroba kopnął w ścianę. A to się dał wykołować. I to komu?! Zaraz robi awanturę!

Wtem zgrzytnęły drzwi obok i wyjrzała głowa Mietka. Spostrzegłszy komisarza, skinęła przyzwalająco. Wątroba wszedł, drzwi się zamknęły.

– Co to za maskarady? Nie można było od razu, po ludzku?

– Przepraszam, ale chłopaki mają tak mało ruchu i atrakcji, że się trochę powyglądaliśmy. W końcu jesteśmy w psychiatrycznym, nie? Będzie pan mógł znajomym opowiadać wrażenia. Nie miej nam za złe...

– No już dobra. Jak dojść do tego waszego Marlekoniewa?

– Proszę za mną.

Wspinali się po wąskich schodach, prawdopodobnie ewakuacyjnych. Mietek otworzył wejście na korytarz i rozejrzał się czujnie. Sprawdziwszy teren, pociągnął komisarza do najbliższych drzwi. Weszli na salę; kilku pacjentów leżało na swoich posłaniach, ale tylko jeden zwrócił uwagę na przemykającą dwójkę.

– Wychodzicie oknem? Spadniecie. Włóżcie skrzydła.

– Dobrze, dobrze, mamy w plecaku – powiedział Mietek.

– Aha. – Uspokojony kolega położył głowę na poduszkę. Oni zaś wyszli na wąski balkonik, który okazał się bardzo długi. Ciągnął się wzdłuż kilku pokoi, w tym apartamentu Nowaka.

– Słuchaj, jest ciemno, Marlekoniew nie będzie cię widział, a u niego zawsze się pali światło. Staniesz tu, a jakby co skacz – doradzał Mietek. – Masz już wprawę.

Widząc minę Wątroby, dodał:

– Albo nie, udawaj, że zabłądziłeś, tak, tak, zwiedzałeś miasto i zabłądziłeś...

– I zapomniałem mapy i kompasu? – zakpił Wątroba.

– A nie, nie, po prostu wysiadłeś dwa przystanki za daleko, a nie znasz miejscowego języka – sprostował całkiem poważnie Mietek, który miał wytłumaczenie na wszystko. Wątroba westchnął.

– No i gdzie te skrzydła? – Przez drzwi balkonu wychynęła głowa.

– Spokojnie, mamy w plecaku – wszedł w konwencję Wątroba.

– Ale nie macie plecaka. – Troskliwość pacjenta przechodziła w upierdliwość. Mietek westchnął, patrząc z ubolewaniem na Wątrobę.

– Mamy, Jasiu, mamy, tylko z przodu. – Poklepał komisarza po brzuchu. – Łatwiej nieść.

– Aha. – Jasiu uspokoił się, choć cały czas podejrzliwie łypał na nich zza framugi. Może czekał, aż rozwiną skrzydła i odlecą; bał się przegapić taką atrakcję.

Mietek mrugnął porozumiewawczo do komisarza, klepnął go jeszcze przyjacielsko po plecach i poszedł sobie, zamykając drzwi. Wątroba został sam na balkonie. Minął kilka okien, w końcu dotarł pod pokój Marlekoniewa vel Nowaka.

Ucieczka z instytutu

Staruszek leżał tak, jak go zostawili kilka godzin temu; Wątroba oparł się o barierkę i lustrował badawczo jego pokój. Nic się nie działo. Noc przyniosła chłód i wietrzną kotłowaną chmur, które przesuwały się szybko po niebie, raz po raz zakrywając pyzaty księżyc. Komisarza opanowała senność. Stojąc tak w bezruchu, zaczął odpływać myślami, powieki same opadały. Obrócił się w stronę miasta, żeby zobaczyć, jaki Nowak ma widok, i zamarł. Akurat w tym momencie chmury rozwiało, księżyc pałał pełnym blaskiem i centrum miasta było widoczne jak na dłoni. Dokładnie przed nim, pomiędzy uszpionymi kamienicami, wyrastał ku niebu gmach instytutu. Ukształtowanie terenu i brak zabudowy na linii wzroku powodowały, że był widoczny niemal w całej okazałości. Senność momentalnie prysła. Wątroba łypnął za siebie, czy Nowak przypadkiem nie wstaje, ale w pokoju panowała sytuacja bez zmian. Potem znowu wlepił wzrok w instytut. Czy to przypadek? Przeszedł w lewo pod inne okno – budynek częściowo zniknął za odległą linią kamienic, przeszedł w prawo – budynek skrył się nieco za załamaniem terenu. Jedynie sprzed pokoju Nowaka można go było podziwiać w pełnej krasie. Wątroba stanął przed oknem staruszka i wbił wzrok w odległy kształt; patrzył, a w jego głowie krakały czarne ptaszyska. Komisarz niemal fizycznie odczuwał delikatne kropelki mżawki oblepiające twarz i słyszał dzwonek odjeżdżającego tramwaju. Stał, patrząc, po czym odwrócił się – wzrok zatonął w długim, kamiennym korytarzu poprzecinanym mdłym światłem ze świetlików.

Był w instytucie.

– Panie doktorze, panie doktorze. Znowu!

Wątroba poczuł, jak w nim zawrzało. Jak to? Znowu?!

– Idziemy! – usłyszał warknięcie dobywające się z jego ust.

Niemal pobiegli przez szarość marmurowego korytarza. Postać obok ledwo nadażała, Wątroba rejestrował jej obecność kątem oka. Punkty mdłego światła zostawały z tyłu, drzwi były coraz bliżej. Wpadli z hukiem do trupio białej sali. Przy stole operacyjnym zobaczyli kilka osób. Nie pracowali. Ściągnęli białe maseczki i w milczeniu wpatrywali się w kształt leżący przed nimi. Wśród naukowców Wątroba rozpoznał Nowaka. Wargi mu drżały, usta poruszały się, powtarzając coś bezgłośnie, wyglądało, jakby miał się rozplakać. Ale nie, po chwili jego twarz nabrała zaciętego wyrazu. Wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia. Wątroba poczuł, jak wyciąga rękę, chwyta Nowaka za biały fartuch; usłyszał słowa, które wycedził:

– Ty skurwysynu, ty gnido, to tak można polegać na twoim słowie? Ilu jeszcze chcesz zabić, ilu okaleczyć? Ilu, no, ilu?!

Nowak popatrzył nieobecny wzrokiem na Malika, przynajmniej tak sądził Wątroba; zacisnął palce na przegubach pracownika i oderwał jego rękę od swojego kitla. Jego twarz przybrała normalny, nieco nawet filuterny wyraz.

– Towarzyszu Malik, próby nie są zakończone, te kilka ofiar wkalkulowano w sukces. Przecież jesteśmy już blisko, bardzo blisko.

– Blisko czego?! Blisko szaleństwa? Nawet jeżeli wyprodukujesz takiego człowieka, to co? Po co ci takie coś? Po co?!

– Rozmawialiśmy już o tym, nie mam nic więcej do dodania. – Nowak uciął rozmowę. Widać było, że pomimo mimo pozorów nonszalancji jest zdenerwowany kolejną nieudaną próbą.

W tle Wątroba zauważył, jak ludzie w białych uniformach opuszczają salę wraz z ciałem spoczywającym na mobilnym stole. Na pierwszym planie twarz Nowaka, zacięta, bezwzględna. Ocenia go teraz, mierzy ich wzajemne zaufanie. Bo polegać na nim w pracy już nie może, ale łączy ich tajemnica, efekt wspólnej pracy, który nigdy nie powinien wydostać się na światło dzienne. To przerwałoby wszystko, zniszczyło to, czemu Nowak poświęcił życie. Z różnych strzępów rozmów, plotek, analizy

danych wynikało również, że poświęcił też swojego mistrza Marlekoniewa. Oficjalnie krzewiąc w laboratorium jego kult, stał się jego katem, Judaszem, który pozbywa się swojej najpiękniejszej części, żeby tylko osiągnąć cel.

Wątroba patrzy oczyma Malika na tego człowieka i wie, że powinien go zabić, przerwać tę koszmarną zabawę w stwórcę i niszczyciela życia, wie, że cokolwiek teraz zrobi, jest już za późno, żeby obyło się bez ofiar, ale...

– Malik, zastanówcie się, pomyślcie o swojej przyszłości...

Wątroba pomyślał, jak dobrze zna tę śpiewkę i jak bardzo mu obrzydła. Jak powoływanie się na rozwój badań i karierę, co usprawiedliwiała każde działanie. Każde. Odwraca się, odchodzi.

– Malik...

W głosie Nowaka pobrzmiwa nutka strachu, obawy o to, co zrobi Malik. Ale on już o to nie dba.

Wyszedł na korytarz i szybkim krokiem ruszył w niekończącą się czerń.

– Proszę pana, co teraz będzie? – Poczciwa twarz portiera była naprawdę zmartwiona. Wzrok, zazwyczaj tak surowy dla każdego nieproszonego gościa, próbującego sforsować drzwi instytutu, zasnuwała mgielka niepokoju. – Zamkną nas?

Myślał pewnie o ostatnich zmianach, o śmierci Bieruta, o gorącej atmosferze w kraju. A może miał na myśli karę za to, co zrobili. Chyba każdy, kto tu pracował, domyślał się, że nie robią zwyczajnych badań naukowych, że zajmują się sprawami, których żaden człowiek nie powinien tykać. I nie ma znaczenia, czy pozwolił na to Bierut, czy Zygmunt Stary.

– A cóż ma być, Franciszku? Świat się kula dalej, nikt go nie zatrzyma – uspokajał nieszczercze. – Czy małe wyjście, to z głową lwa, jest otwarte? – padło pytanie z ust Wątroby.

– Nie, ale mogę otworzyć.

– A dalibyście mi klucz? Nie chcę wam głowy zawracać, jesteście już po dyżurze. Oddam jutro.

Franciszek przez chwilę taksował Malika spojrzeniem; najwyraźniej się wahał. Domyślał się, że jak da mu ten klucz, to już go pewnie nigdy nie zobaczy. Wsadził rękę do kieszeni, szperał, macał, niby szukał, zaraz wyjął, ale pustą, bez klucza. Spojrzał jeszcze raz na Malika.

– To ja pójde i zostawię otwarte, za godzinę albo dwie się przejdę i zamknę.

Malik nie protestował; prośba o klucz była już na tyle niezwykła, że tamten mógł donieść Nowakowi. Nie chciał ryzykować dalszych podejrzeń. Pożegnali się krótko, Malik poszedł do swojego pokoju.

Na dworze mżawka, szyba płacze tysiącem malutkich łez, kruki siedzą rzędem na gzymsie i patrzą z ukosa na wielki plac przed instytutem. Wątroba trzyma w dłoni czarną pelerynę. Zakłada ją, wychodzi na korytarz; długo brzmiące echo pospiesznych kroków, szary zapach pasty do podłóg, mdłe światelko deszczowego dnia za oknami. Mija to wszystko, mija kilka lat swojego życia, zdecydowany zniknąć stąd, uciec, rozpocząć na nowo, zapomnieć o okropnościach, które widział. Choćby musiał porzucić wszystko, co miał, czego dokonał. Wtedy usłyszał za plecami odgłos wielu kroków; wyjrzał zza załomu muru, weszli do jego pokoju. Ktoś go woła, słyszy swoje nazwisko, rzuca się do ucieczki. Miarowy, szybki tupot nóg uciekającego zadudnił w studni korytarza. Zmieszał się ze zwielokrotnionym echem goniących go kroków, szare plamy światełek co rusz są deptane przez buty biegnących, zdyszanych postaci. A to skurwiel z tego Franciszka! Nowak już wie. Ale Malik nie ma wyboru, musi pędzić do przejścia pod lwem, może uda się uciec.

Nie dopadli go na korytarzu – był za szybki. Adrenalina pompowała siłę w nogi, w płuca, prawie dotarł na miejsce. Ale są blisko. Jeżeli zacznie się szarpać z drzwiami, to go dopadną. Franciszek stoi pod wyjściem, majstruje coś przy zamku. Malik biegnie wprost na niego, nie podda się bez walki. Portier otwierał drzwi, w tym

momencie usłyszał biegnących. Odwrócił się. Malik zarejestrował grymas zdziwienia, a zaraz potem metamorfozę twarzy w zdeterminowaną, wściekłą maskę. Zaraz mu pokaże...

– Uciekaj! Ja ich zatrzymam – usłyszał. Zbyt zdumiony, żeby jakoś zareagować, choćby podziękować, popędził schodami w dół. Zza pleców dotarł do niego odgłos zamykanych drzwi; potem usłyszał krzyki, głuche dźwięki szamotaniny. Biegł. Przez drugie drzwi, przez trawnik, dziurę w ogrodzeniu. Wydostał się z budynku, ale biegł dalej. Jeszcze nie wygrał. Postanowił ominąć plac przed instytutem, na którym byłby widoczny jak na dłoni. Pobiegł boczną alejką, dopadł do skweru za placem – kilka ławek, kępa zieleni na środku, małe, niedawno zasadzone drzewka. Deszcz oblepiał wszystko wilgotną ściereczką, stado kruków obsiadło drogę przed nim. Widząc zbiega, czmychnęły w popłochu. Spojrzał za siebie. Zdało mu się, że ktoś biegnie tą samą alejką. Zieleń skweru nie zapewniała żadnej ochrony; tamci musieli już pokonać Franciszka i znów deptali mu po piętach. W tym momencie usłyszał dzwonek, w cieniu ulicy dochodzącej do placu zobaczył zbliżający się tramwaj. Pobiegł w stronę przystanku, znów słyszał głosy goniących, ale tramwaj był blisko, bardzo blisko. Da radę.

Wtem z przecznicy wyskoczyła z piskiem opon czarna limuzyna, omal nie zderzając się z tramwajem. Zapiszczały hamulce, dzwonek, motorniczy wychylił się przez okno. Przekleństwa. Samochód ruszył i zatrzymał się gwałtownie tuż przed Malikiem. Wątrobę poraziła myśl: „To oni, przyjechali po niego”. Ktoś wyskoczył ze środka, inni dobiegli od strony skweru. Dziesiątki twarzy przyklejonych do szyby tramwaju obserwowały, jak człowiek w czarnej pelerynie jest brutalnie wpychany do środka czarnej limuzyny. Ale zbyt dobrze znali takie samochody, zbyt wielu znajomych, przyjaciół, wujków, ciotek zniknęło we wnętrzach takich aut, żeby ktokolwiek zareagował, żeby ktokolwiek coś zapamiętał albo wspomniał żonie w domu przy kolacji. Motorniczy pospiesznie zamknął okno, modląc się, by nikt go nie

skojarzył z osobą miotającą przed chwilą przekleństwa w kierunku tajemniczej limuzyny. Tramwaj zadzwonił i z piskiem stalowych kół skręcił w najbliższą przecznicę. Plac ogarnęła cisza owinięta w deszczowy szalik, kruki chodziły po płytkich kałużach, sztywno stawiając nogi i kracząc do siebie, że tak to już jest i inaczej nie będzie. Wątroba stał z kamienną twarzą, przebijając wzrokiem wilgotną pustkę, starał się jeszcze coś zaobserwować, zrozumieć. Ale tam już nic się nie działo. Odwrócił się.

I zobaczył wbite w siebie spojrzenie. Nowak stał w oknie; odsłonił firankę i intensywnie wpatrywał się w intruza na balkonie. To niespodziewane spotkanie i bliskość strasznej postaci podziałały na Wątrobę jak impuls elektryczny. Wrzasnął i uciekł w stronę pokoju, z którego wyszedł na balkon. Kątem oka zaobserwował, że Nowak wychodzi na zewnątrz; w każdym razie coś się tam poruszyło. Wątroba pchnął drzwi, ale były zamknięte na głucho, pchnął mocniej, wrzasnął, żeby otwierali, następnie huknął pięścią we framugę. Bez odzewu. Był uwięziony. Spojrzał przez ramię: Nowak rzeczywiście wyszedł. Przerazenie zmroziło komisarza do szpiku kości.

– Otwierać! – Walił pięścią, ale nikt nie otwierał. W końcu przesadził balustradę i poleciał kilka metrów w dół. Skoczył na nogi, nie ustał, grzmotnął o ziemię zadem i plecami. Po chwili wstał, rzucił szybkie spojrzenie w górę, podniósł kapelusz i utykając, zniknął wśród drzew starego parku przyszpitalnego.

A na balkonie drzwi się otworzyły i wyjrzał zaspany Jasiu w pidżamie.

– I co? Startujesz? – zapytał, szukając wzrokiem nocnego awanturnika. Zerknął na ziemię, ale Wątroby już tam nie było. – Cholera, spóźniłem się, zapiął skrzydła i poleciał. A ja gniję w tym... – W tym momencie dostrzegł sylwetkę Nowaka stojącego na balkonie. Pospieszenie wszedł do pokoju, zatrzasnął drzwi i wskoczył do łóżka, chowając głowę pod koc. Nie zasnął aż do rana.

Śledztwa ciąg dalszy

– Stalowy, posłuchaj. Ćwiczyliśmy to wczoraj cały dzień – tymi słowami Marian i Pająk powitali kolegę po wielogodzinnej rozłące. Słońce, zgodnie z poglądami niektórych, wesoło krążyło wokół Ziemi i rozśmieszało zazwyczaj smutnych panów radosnym promieniowaniem UV. Stalowy podniósł umęczone spojrzenie z ziemi na poziom twarzy swoich kompanów i pytająco uniósł brwi.

– Hełoł, hał ar ju? – wydukał Pająk.

– Hełoł, ajm fajn – odpowiedział Marian. Po tym lingwistycznym popisie obaj zastygli w oczekiwaniu pochwały, ale Stalowy był dziś w ponurym nastroju.

– Ładnie, a co to było? – zapytał.

– Jak to co? Rozmowa. Rozmowa po angielsku – odparł Marian z wyższością. – Siedzimy tu sobie z Pajakiem i rozmawiamy po angielsku, podczas gdy inni się włóczą, diabli wiedzą gdzie i po co. – Wyraźnie pił do wczorajszej samotnej wyprawy Stalowego.

– Aha – Kazek potwierdził, że rozumie przekaz, i usiadł koło nich.

– Ty, Stalowy, na jeża siadłeś, czy jak? Sam nas namawiałeś do nauki, a jak idzie pełną parą, to marudzisz?

– Nie o to chodzi... – Kazek zawiesił głos, przypominając sobie, że dał słowo nikomu nie rozpowiadać o wczorajszych wydarzeniach, ale pokusa okazała się za silna. Tym bardziej że Pająk i Marian to swojaki, nikomu nie powiedzą, a nawet jeśli, to każdy uzna, że bredzą po pijaku. Innymi słowy opowiedział im, co wczoraj przeżył.

– Eee, banialuki! – Marian wyśmiał go po zakończeniu opowieści. – Ja to już nie takie rzeczy widywałem po *Wykopie*, ale zawsze okazywały się urojeniem. Tylko Zofia nie znika nazajutrz – dodał opis jedyne go strasznego widoku, który za każdym razem okazuje się prawdą.

– Nie wierzycie? Nie wierzycie, niedowiarki niedowarzone? No to chodźcie ze mną, pokażę wam, to zobaczycie, jak miło jest siedzieć w jakimś stalinowskim gmaszysku ze znajomymi truposzami. Zobaczycie. – Kazek był wyraźnie zdenerwowany niskim poziomem zainteresowania kolegów.

– Eee, napijmy się. Pogadajmy – mitygował kolegę Marian.

Napili się.

Bez tego nic się na ławeczce pod trzepakiem nie zaczyna, nie trwa ani tym bardziej nie kończy.

Wątroba nie spał przez całą noc. Przewracał się z boku na bok, bolała go noga po upadku, miał również stłuczony tyłek. Ale najgorsze było to, że nie mógł zapomnieć spokojnego spojrzenia Nowaka, którym go mierzył zza okna. Spokojnego w swoim zimnie, przesywającego na wskroś, badawczego. Zdał sobie sprawę, że wkracza na tereny zupełnie sobie nieznane; eksploracja innych czasów w cudzym ciele nie należy do normalnych czynności w śledztwie. Bał się, że wchodząc z butami w czyjąś głowę, otwiera zarazem własny umysł dla jakiegoś intruza. Albo – co wydawało się jeszcze gorsze – wszystko, co widział, było manipulacją jakiegoś hipnotyzera lub czarownika. Wątroba zacisnął oczy z przerażenia. W głowie ujrzał taki obrazek: dorzecze Amazonki, w chacie z liści palmowych, otoczony wianuszkiem zasuszonych głów, siedzi w kucki czarownik, pokryty rytualnymi malunkami, z laską uwieńczoną czaszką przodka. I ten kacyk kieruje jego świadomością, a tłum najaranych miejscowym zieleń tubylców dopowiada, co grubas w kapeluszu powinien jeszcze przeżyć, żeby było śmieszniej.

Wątroba poderwał się na łóżku. „Rany, nie chcę być pacynką voodoo jakiegoś czarownika! A jak ten zacznie wbijać szpilki i mrużyć swoje szamańskie kołysanki?” Po chwili przyszło otrzeźwienie. Skąd taki gość wiedziałby, kim był Bierut? Albo Marlekoniew? Nie uczą tego w szalasowych szkołach. Tak uspokojony

wrócił do kontemplowania spojrzenia Nowaka vel Marlekoniewa zza szyby. Wyjaśnił sobie, że patrzeć może każdy, nawet człowiek-roślinka. Tylko że ta roślinka wstała z łóżka, poruszała korzeniami. A on zamiast się cieszyć z ozdrowienia, marudzi. W duchu przyznał rację Mietkowi: opłacało się oddać kilka filmów, żeby znaleźć się wczoraj na tym balkonie. Analizując widok na instytut i tę niesamowitą możliwość wejścia myślami w inny świat, w inny czas, doszedł do wniosku, że jest to centralny punkt, do którego dochodzą różnego rodzaju kanały komunikacyjne. Wątroba czytał kiedyś o czakramach, miejscach mocy i uznał to za wymysł szarlatanów spod znaku Marsjan w Starym Testamencie oraz wygniecionych kół w zbożu. Ale tu przecież sam brał w tym udział, sam widział... No chyba że ten szaman znad Amazonki... Znów pomyślał o tłumie półnagich Indian sterujących zbiorowo jego myślami. Nie, to na pewno co innego, tego należy się trzymać. Ale jeżeli on widział Nowaka, a Nowak widział jego, to biorąc pod uwagę, że zna już trochę przeszłość pana doktora, gra stawała się niebezpieczna. Trzeba działać, przerwać tę ciuciubabkę. Jak za naciśnięciem sprężyny wyskoczył z łóżka, ubrał się i popędził na posterunek. Coś musi zrobić, zanim wydarzy się inne coś, które będzie zupełnie nie po jego myśli.

W komisariacie był tylko dyżurny; bezpiecznie odgradzony od jakichkolwiek natrętów zamkniętymi drzwiami, rozkoszował się jedną z tych nielicznych chwil na służbie, kiedy nie musi użerać się z naporem znieawidzonych interesantów. Suto posłodzona herbata parowała z kubka stojącego na blacie stolika, w radiu grzmiały złote przeboje, a rozłożony dla maskowania próżniactwa raport daremnie dopominał się przeczytania. To były najprzyjemniejsze godziny dnia dla dyżurnego, dlatego nic dziwnego, że nie przyjął intruza Wątroby zbyt ciepło. Burknął „dzień dobry” i zaczął udawać bardzo zajętego. Wątroba minął go, odburkując „dzień dobry”, i zaszył się w swoim pokoju pełen satysfakcji, że zepsuł tamtemu poranną sjęstę. Po kilkunastu

minutach przyszli Chwiejczak i Wróżka. Pierwszy miał kołnierz ortopedyczny, drugi utykał.

– A cóż to? Wypadek? Już znaleźliście? Mielście być za rok z długimi siwymi brodami i pylicą od kurzu – Wątroba nigdy nie przepuścił okazji do prawienia złośliwości.

Chwiejczak położył poźółkły ze starości skoroszyt na stole, kaszlnął raz i drugi, a następnie usiadł za swoim biurkiem. Wróżka pokuśtykał do swojego stolika. Nie byli zbyt rozmowni.

– Aha, a jednak początki pylicy – przygadał z ironicznym uśmieszkiem komisarz. Odpowiedziało mu milczenie. – Co jest? Języki wam ukrećili? Archiwista was pobił?

Chwiejczak skinął głową w stronę kolegi.

– Ducha zobaczył – rzucił krótko. – I spadł z drabiny.

Wątroba podszedł bliżej do Wróżki i uśmiechnął się dobrodusznie. Już wydawało się, że zainteresuje się życzliwie losem podwładnego, ale gdy nad nim stanął, wyciągnął ręce i zawył przeciągle, wykrzywiając twarz w ponurym grymasie. Zniecierpliwiony Wróżka wywrócił oczami.

– I czego się naśmiewasz? To nie był żaden omam. Ja naprawdę coś widziałem.

– Tak, tak, wiemy. Znamy twoje umiejętności nie od dziś. Opowiadaj.

Wróżka opowiedział, jak znalazł właściwe pudło, jak zaczął je otwierać, żeby wyciągnąć skoroszyt. Ten jednak tkwił w środku jak przyklejony, odporny na wszelkie próbach wyjęcia. Zdenerwowany policjant szarpał, ciągnął. I nic. W pewnym momencie uniósł wzrok i zobaczył...

Wróżka przerwał dla lepszego efektu, który łatwo osiągnął.

– No gadajże, coś tam zobaczył? – Wątroba był bardzo zainteresowany.

– Po drugiej stronie regału znajdował się jakiś starzec. Nie wiem, jak on tam wszedł, może się unosił, w każdym razie był tak wysoko jak ja. Gdy spojrzałem na

niego, on wskazał ręką na pudło i syknął: „Bądź przeklęty”. Wtedy jakaś potężna siła pchnęła mnie i spadłem...

– Na mnie... – dorzucił Chwiejczak.

– Tak, na niego. Stał pod drabiną. Dobrze amortyzujecie upadki, Chwiejczak. Jestem wam bardzo wdzięczny.

– Nie ma za co i polecam się na przyszłość jako materac – ochocho odpowiedział na pochwałę wzorowy posterunkowy.

– A skoroszyt wyrwałem – z dumą dokończył Wróżka. – Sprawdziliśmy potem wszystkie regały wokół, ale nic nie znaleźliśmy. Żadnych starców, w tym również latających.

– Hm, a jak wyglądał ten starzec?

Wróżka opisał twarz, która mogła należeć do każdego białego starca na świecie. Wątroba machnął ręką zniecierpliwiony i otworzył skoroszyt. Pызate oblicze rozjaśnił uśmiech.

– Stare, dobre zwyczaje! I komu to przeszkadzało? Każdy delikwent miał teczkę, a w środku wszystko, co go dotyczyło, nawet kolor majtasów...

– Też nosił srebrne? – zainteresował się Wróżka.

Wątroba chrząknął karcąco.

– Pilnujcie swoich, kolego! A najlepiej zlećcie to duchowi starca, wtedy będziecie spokojni o swoją dupę. – Wątroba nie dawał sobie w kaszę dmuchać.

Zaczął przeglądać papiery, z których wynikało, że ówczesna milicja istotnie odnotowała Waldemara Kosińskiego jako osobę zaginioną. Po jakichkolwiek innych działaniach nie było śladu. W dokumentach znajdował się również wypełniony formularz do dowodu osobistego z adresem zamieszkania, a nawet z rubryką na podanie zakładu pracy, ale atrament w tym miejscu rozpląnął się w niewyraźny kształt. Dało się odczytać jedynie pierwsze litery: „Insty”. Dalej tylko niebiesko-żółtawa plama. Wątroba zadumał się, przejrzał jeszcze jeden dokument w

skoroszycie, ale nie wniósł on nic nowego. W końcu wstał, mruknął do podkomendnych: „Dzięki, chłopaki”, nacisnął głębiej kapelusz i wyszedł. Po drodze mijął dyżurnego, który ponownie zapadł w odrętwienie ze złotymi przebojami w tle. Komisarz pomachał rękoma, wywrócił oczy białkami do góry i wymamrotał: „Bądź przeklęty”. Dyżurny wyrwany z apatii widokiem wyższego szarżę pokręcił się na krześle, udając, że właśnie zabiera się do roboty.

Wątroba maszerował przez miasto pod adres podany w skoroszycie. Kamienica usytuowana była w centrum miasta, jak większość miejsc związanych z tą sprawą. U komisarza po doświadczeniach w podróżach mentalnych zaczęło kiełkować podejrzenie, że w okolicy jest więcej miejsc-przejsć, wiodących w inny świat.

Tymczasem znalazł się na podwórku; tym razem obyło się bez ujadającego psa oraz typka wyzywającego innych od najgorszych, ale i tak otoczenie nie należało do pięknych, ani nawet ładnych. Wątroba wszedł na ostatnie piętro po schodach ponurej, wąskiej klatki oświetlonej słabą żarówką. Zapukał do drzwi wskazanych w formularzu adresowym. Zapukał jeszcze raz, próbował zadzwonić, ale dzwonek nie działał. Po drugiej stronie panowała cisza. Natomiast naprzeciwko otwarły się drzwi i wyszła z nich siwa, zgarbiona kobiecina z siatką na zakupy w ręku. Spojrzała podejrzliwie na dobijającego się grubasa, wyminęła go i zaczęła schodzić.

– Przepraszam, nie wie pani, kiedy wróci pan Kosiński?

Sąsiadka odwróciła się i zamarła ze zdumioną miną i dłonią na poręczy.

– Niby skąd? – zapytała po dłuższej chwili.

– No, wyszedł przecież... – Wątroba nie był przygotowany na udzielanie odpowiedzi.

– Wyszedł, a jakże, ze trzy lata temu. Na tamten świat. Nie żyje – znowu ruszyła w dół, co rusz łypiąc podejrzliwie na komisarza. Ten zreflektował się, że palnął głupstwo, ale musiał ją zatrzymać, żeby się dowiedzieć czegoś więcej.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się. Wątroba, komisarz Wątroba, z policji. – Pokazał legitymację. Kobieta zatrzymała się. – Z naszych informacji wynika, że pan Kosiński mieszkał tu od dawna. Od lat sześćdziesiątych, albo i dawniej. Pani również?

– Tak, mieszkam tu od urodzenia – potwierdziła. – Waldek też, razem bawiliśmy się na tym podwórku jako dzieci.

– W 1963 zgłoszono jego zaginięcie, potem się odnalazł. Czy pani coś pamięta?

– Ale o co chodzi, po co to panu? On nie żyje. Co wy mu jeszcze chcecie zrobić? – Wątroba nie wzbudził w sąsiadce zaufania, wręcz przeciwnie. Trzeba było włączyć tryb dobrodusznego idioty.

– Proszę się nie obawiać, zamykamy stare śledztwa, wielu obywateli oskarżono niesłusznie, a potem zaniedbano ich sprawy. Zbieramy dane do procesu rehabilitacji, a nawet do wypłaty odszkodowań. Mogę podać numer do mojej jednostki, tam wszystko potwierdzą. – Gorączkowo przypominał sobie numer do Chwiejczaka, który w takich chwilach potrafił wykazać się przytomnością umysłu, w odróżnieniu od niektórych. Jednakże kobiecina podjęła temat bez dalszego sprawdzania.

– Aha. Odszkodowania. A jak nie ma rodziny, to czy... – przerwała, wyraźnie zawstydzona myślą, która jej właśnie zaświtała. Wątroba wyczuł pismo nosem.

– Ależ oczywiście! Przyjaciele, sąsiedzi też są brani pod uwagę. Wszystko zależy, jak bardzo byli zżyci z rehabilitowaną osobą – odpowiedział na pytanie, które nie padło.

Kobiecina podumała jeszcze chwilę i najwyraźniej podjęła decyzję, bo energicznie zawróciła. Podeszła do komisarza i zaprosiła go do siebie. A tam wspomnienia popłynęły szerokim strumieniem.

– ...bo wie pan, my się kochaliśmy. Znaczy, ja się kochałam, a Waldek... później wyszło szydło z worka. Ale myślałam, że piękne chwile przed nami, całe wspólne życie. Niby komuna, bieda, ale młodzi byliśmy, koledzy, koleżanki, prywatki...

Chciał studiować chemię, ja skończyłam technikum i już wtedy pracowałam. W październiku sześćdziesiątego trzeciego to było, umówiliśmy się na mieście. W domu ciasno, rodzice, siostra, to na miasto się chodziło. Na kawę przy Franciszkańskim, na bezy albo eklerki...

Wątrobową twarz rozjaśnił uśmiech wywołany błogim wspomnieniem bez i eklerek. Dodałby jeszcze karpatkę i napoleonki, a wszystkiego po dwie sztuki. Jako deser po pieczystym, rzecz jasna.

– ...no i nie przyszedł, szukałam go po znajomych, w szkole. Przepadł jak kamień w wodę... – Przerwała na chwilę, spojrzała w okno, widać było, że emocje sprzed lat nadal są żywe. Wątroba rozanielonym spojrzeniem wewnętrznym podziwiał obraz ciastek w swojej wyobraźni, ale powoli wracał myślami do rzeczywistości. A sąsiadka do opowieści.

– To ja zgłosiłam zaginięcie na milicję; powiedzieli, że mam czekać czterdzieści osiem godzin. Ale się awanturowałam, i w końcu któryś tam się zlitował, sprawę uruchomiono, formalnie przynajmniej. Waldek natomiast pojawił się trzy dni później, cały i zdrowy... Również formalnie, bo coś mu jednak było. Panie komisarzu, nie wiem co, nie potrafię tego wyjaśnić, ale to był inny człowiek. Niby ten sam, ale jakiś taki martwy od środka, jakby... – zawahała się. – Jakby maszyna – dokończyła. – On mnie nie znał, choć twierdził, że mnie zna. On nie miał rodziców, on tylko wiedział, którzy to jego rodzice. On... – urwała. Bolesne wspomnienia ścisnęły ją za gardło, w oczach pojawiły się łzy. Zapanowała cisza. Wątrobę ogarniała rosnąca sympatia do tej kobiety, współczucie zalewało mu serce.

– Pan nawet nie wie, jaka to udręka mieszkać całe życie obok kogoś bliskiego, kto aż tak się zmienił, kto cię odrzucił, nie wiadomo dlaczego. Ot tak! – Załkała już całkiem głośno. Wątroba pogłaskał ją delikatnie po ramieniu.

– Zobaczmy, czy da się coś zrobić. Wszystko pani zaraportuję – pocieszał nieudolnie, wycofując się w stronę klatki schodowej. Nie zareagowała, zapatrzyła się

w okno. Wątroba wyszedł, klnąc w duchu na niesprawiedliwość świata. Ale po chwili wrócił; naszła go jeszcze jedna wątpliwość.

– Przepraszam, a kto tam teraz mieszka?

Kobieta odwróciła wzrok od okna.

– Nikt. Mieszkanie stoi puste.

– Puste, nikogo nie ma? A kto za nie płaci?

Nie wiedziała. Nigdy ją to nie obchodziło. Ale rzeczywiście, od czasu jak kamienica przeszła w prywatne ręce, każde opóźnienie w płatnościach ściągano z całą bezwzględnością. Więc właściciel na pewno wiedział, kto płaci za lokal Waldka. Wątroba dostał adres.

Kamienicznik mieszkał niedaleko. Początkowo nie chciał udzielić żadnych informacji, zasłaniał się tajemnicą handlową. Na widok legitymacji policyjnej nieco zmiękł i stwierdził, że pan Kosiński opłaca czynsz regularnie i nie ma z nim najmniejszych problemów.

– Proszę pana, jak nieboszczyk może opłacać czynsz, w dodatku regularnie? On ma już teraz inną kwaterę. Wieczną. To musi być kto inny. Masz pan przecież dane z przelewu albo widzisz, kto pieniądze przynosi. Ja tak tego nie zostawię, to pachnie grubym oszustwem. Może rodzina dostaje na niego jakąś rentę i nie zgłosili śmierci.

Właściciel budynku zrozumiał w końcu, że się Wątroby nie pozbędzie i wyznał, że raz na kwartał przychodzi list z plikiem banknotów i notatką na co są przeznaczone. Bez stempla, bez znaczka, nigdy też nie przyuważył osoby wrzucającej kopertę do skrzynki. Jego mina mówiła wyraźnie, że gdyby nawet słoń w haftowanym czepcu wkładał trąbą te pieniądze do skrzynki, również niczego by nie zauważył. Wątroba widział w oczach kamienicznika strach i niechęć do grubego intruza, który nieproszony mieszał się do nie swoich spraw i zamierzał zniszczyć misterny układ z płaceniem za pusty lokal tylko po to, żeby odkryć jakąś zaszraną, nikomu niepotrzebną prawdę.

Po krótkiej wymianie zdań doszli do porozumienia. Wątroba dostanie klucze od mieszkania oraz informację, gdy tylko ktoś się znowu zgłosi z pieniędzmi. W zamian komisarz nie będzie ingerował w istniejący układ, o ile nie okaże się, że chodzi o morderstwo lub inne ciężkie przestępstwo. Wyszedł z biura, czując na sobie badawcze spojrzenie zza firanki. Wiedział, że wplątuje się coraz bardziej w jakąś kabałę; lada chwila ktoś się wkurzy i zdecyduje się usunąć go z tej bajki.

Wdrapał się z powrotem do mieszkania doktora Kosińskiego; już chciał zapukać do mieszkania naprzeciwko i ostrzec sympatyczną starszą panią, że zamierza się tu pokręcić, ale ostatecznie zrezygnował. Im mniej osób poinformowanych, tym lepiej. Otworzył drzwi. Ustąpiły łatwo, bezgłośnie. Wątroba znalazł się w ciemnym przedpokoju; jaśniejsze prostokąty światła wskazywały wejścia do pokoi i kuchni. Mieszkanie było puste, żadnych mebli, żadnych ubrań. Wyzuty z wszelkiej indywidualności obszar; ściany, niegdyś białe, dziś przybrały szary odcień. Dawno niemyte okna zasłaniały firanki – stanowiące chyba jedyne wyposażenie mieszkania. Nie, jeszcze łóżko. Rozłożona polówka, równo zasłana kocem, na nim poduszka – nie wyglądały na stare i zniszczone, wręcz przeciwnie. Komisarz podszedł i dokładnie zlustrował stan pościeli, nabierając pewności, że ktoś na tym łóżku spał całkiem niedawno. Zaintrygowany pokiwał głową. Obszedł jeszcze raz wszystkie kąty, ale nic więcej nie znalazł. Prawie nic. W kącie na podłodze dojrzał papierek; podniósł go. Paragon z marketu. Torba turystyczna XXXL, sztuk: jeden, data sprzedaży: dzisiejsza. Wątroba rozejrzył się spłoszonym wzrokiem. Jak to dzisiejsza? Nikt tu od dawna nie mieszkał, nikt nikogo nie widział. A on trzyma dowód na coś odwrotnego. Ktoś musiał się stąd w pośpiechu ewakuować, pakować rzeczy do torby. Może nawet stał za drzwiami, kiedy on się tu kręcił i rozmawiał z sąsiadką. Ale przecież... Przypomniawszy sobie drobną postać płaczącej kobiety z naprzeciwka, zaraz potem zaniepokojoną twarz właściciela kamienicy. Przecież to niemożliwe, żeby tak kompletnie nic nie wiedzieli. Wątroba zmiażdżył wściekle papierek w dłoni. Chęć go

zwieść, oszukać. Chcą... Tu zaczął się zastanawiać, kto i czego właściwie od niego chce. Jeżeli te wszystkie ślady, obecne i z przeszłości, zestawić w jedno, to już może się zacząć obawiać. Ktoś go obserwuje, ktoś przygotował tych ludzi do swoich ról, ktoś planuje się go pozbyć. W pustym mieszkaniu nic nie przeszkadzało myśleć, więc Wątroba stał i myślał, tworzył w swoim mózgu dziesiątki scenariuszy tego, co się wydarzyło i co trwa do dziś. Za każdym razem dochodził do konkluzji, że oficjalnie nie ma żadnych dowodów przestępstwa, a poszlaki trzeba potwierdzić. Ale z drugiej strony czuł, że ma bardzo mało czasu. Zaczął chodzić w kółko po pokoju. W głowie kształtował się powoli plan, jak dojść do prawdy, jak zbliżyć się do tych ludzi, tej organizacji, żeby ich nie spłoszyć. Po kilku minutach krążenia wszystko sobie poukładał – usta rozciągnęły się w uśmiechu zadowolenia z dobrze wykonanej roboty. Przysunął się bliżej okna, omiółł spojrzeniem szare podwórko, okoliczne domy... i naraz zamarł. Pomiędzy dachami kamienic, wcięciami zaułków i placów jego miasta utworzyła się przerwa, przez którą wyraźnie widział budynek instytutu. Prowadząc linię prostą pomiędzy nim a gmachem, nie napotkałby żadnej przeszkody. Podobnie jak z balkonu Marlekoniewa-Nowaka w szpitalu. W tym momencie Wątroba poczuł znajome mrowienie na plecach i wśród dachów zamajaczył mu widok szarego kamiennego korytarza wraz z odgłosem niknących za rogiem kroków. Poczul delikatny zapach pasty do podłóg. Nie, nigdy więcej! Odbiegł przerażony od okna. Nie da się znowu wciągnąć w tę grę. Nie da się kontrolować, wsadzać w cudze ciała, cudze myśli. Nie miał pojęcia, jak to działa, ale nie wątpił już, że ingeruje tu jakaś potężna siła. I nie on nią kieruje. „Czoło diabła”. Skąd ta nazwa? Diabeł w tym miesza? Stał w kącie naprzeciw okna, ciężko dysząc. Brudnobiałe ściany zamykały go. Więziły. Szydliły. Wizja odpłynęła, wiedział, gdzie i kim jest, ale zrozumiał, że przebywanie w tym opuszczonym mieszkaniu to najgorsze, co można teraz zrobić. Uciekać. Wyrzał przez judasza na klatkę, nic tam się nie działo, powykrzywiane szkiełkiem wizjera drzwi naprzeciwko i poręcz schodów trwały w nieruchomym

spokoju. Uchylił drzwi, wyszedł na korytarz, powoli i jak najciszej zaczął schodzić po schodach. Pokonał już jedno piętro, wyjrzał przez okno półpiętra i zastygł. Na podwórko wtoczyła się czarna limuzyna, zatrzymała się, ktoś z niej wysiadł; trzask zamykanych drzwiczek, urwane słowa komendy. Komisarz popędził na górę. Powrót do pustego mieszkania był najgorszym z możliwych pomysłów. Wspiął się po drabince do wjazdu prowadzącego na dach; pchnął klapę, uchyliła się, wiatr owiał mu twarz. Wyjrzał na zewnątrz. Komin, antena, jeszcze jeden komin i brzeg dachu z każdej strony. Przepaść wokół. Kamienica stała samotnie, bez połączenia z innymi budynkami. Dach stanowił pułapkę. No chyba że posiada się mięśnie i zwinność pantery, wtedy istnieje szansa, że doskoczy się na dach sąsiedniej kamienicy. Nie stała zbyt daleko, wysportowany mężczyzna by sobie poradził. Ale Wątroba nawet w panice nie stracił samokrytycyzmu. Miał zwinność pantery, to jasne, ale raczej takiej świeżo po połknięciu barana w całości.

– Panie policjancie, panie policjancie. Tutaj! – usłyszał głos spod swoich stóp. Spojrzał w dół. Kobięcina stała pod drabinką i ciągnęła go za spodnie. – Szybciej, już tu idą.

Z dołu rzeczywiście dobiegały kroki. Wątroba nie miał czasu na wątpliwości. Zostawił w spokoju beznadziejne plany skoków pomiędzy budynkami.

Skryli się w mieszkaniu sąsiadki Kosińskiego; szybko zasunęła zamki. Weszli do kuchni, tam za kotarą znajdowały się malutkie, już otwarte drzwi. Chyba spiżarka. Wątroba zawahał się na moment, zlustrował wzrokiem twarz kobiety. Nie potrafił wysondować, czy to pułapka, czy pomoc. Nie było czasu na rozważania. Trzask zamykanych drzwiczek, szelest kotary. Odległe pukanie do drzwi wejściowych. Szmer rozmowy. Podniesiony głos. Kroki po mieszkaniu.

– ...jeżeli tu jest, pożałujesz! – strzęp groźby. Jakaś cicha, niezrozumiała odpowiedź. Po kilku minutach spokój. Skrzypnięcie drzwi i snop światła

przecinający malutkie pomieszczenie. Ogórki kiszone, kompoty, dżemy w równych rzędach słoików.

– Poszli, niech pan ucieka. Może się uda – poinformował go z prawie filuternym wyrazem twarzy.

– Proszę pani, dziękuję, ale... – Zawahał się, nie wiedząc, co powiedzieć. – Co panią z nimi łączy? Kto to jest?

– Teraz niech pan znika, wyjaśnię później, ale proszę nie myśleć o mnie źle. – Spuściła głowę. – I tak już sama nie mam dobrego zdania o sobie – dodała z westchnieniem. – No, do widzenia. Powodzenia. – Wypchnęła go bezceremonialnie.

Wątroba ponowił ostrożną wędrówkę w dół. Limuzyna odjechała, szare podwórko było puste. Zagrożenie chyba minęło. Szedł już znacznie pewniej, pokonując kolejne piętra. Parter, wyjście z budynku. Pomalowana brązową olejną farbą skrzynka na listy, czarny zaułek przy drzwiach do piwnicy, spalona żarówka, wytarte tysiącem nóg kafelki. Wątroba odetchnął z ulgą i wtedy usłyszał ciche skrzypnięcie za sobą. Jakieś dłonie chwyciły jego ręce, inne zasłoniły mu usta i narzuciły worek na głowę. Wyrywa się, stara uwolnić, ale to daremne. Silne dłonie prowadzą go do wyjścia. Powiew chłodu z zewnątrz. Warkot zbliżającego się auta. Krótkie słowa komendy. Wpychają go do samochodu. Zdrada.

Wyrok

Nie próbuje się już wrywać, kilka mocniejszy kuksańców udowadnia mu wyższość brutalnej siły nad spasioną inteligencją. Po kilkunastu minutach jazdy dźwięk silnika zmienia się. Pamięta podobny odgłos z przejazdu przez tunel na autostradzie. Zapach spalin dociera aż do kabiny. Kilka ostrych zakrętów. Cały czas czuje się jak w kleszczach pomiędzy siedzącymi po obu jego stronach porywaczami. Zatrzymali się. Wychodzą. Napastnicy milczą. Wszystko wokół milczy. Wątroba jest prowadzony w dół po schodach, kilka razy skrzypnęły betonowym echem otwierane i zamykane drzwi. Próbuje liczyć stopnie, sto pięćdziesiąt dwa, trzy, cztery... Idą i idą. W końcu stanęli na dłużej, znowu zgrzyt otwieranych wrót, ktoś go pchnął, gwałtownie zerwał worek. Odwrócił się, ale drzwi zostały już zamknięte. Przed nim czaiła się ciemność rozpraszana jedną, dość mocną lampą, pod którą usadowił się sinawy placek jasności. Jego boki nadgryzione przez ciemność falowały lekko równomiernym pulsem kołyszącej się żarówki. Wątroba przyzwyczajał chwilę wzrok do otoczenia. Cisza. Odwrócił się znów i walnął pięścią w metal drzwi.

– Halo! Co jest?! – wrzasnął. Echo powtórzyło te wyrazy ze zwielokrotnionym zdziwieniem.

Wątroba ponownie się odwrócił. W plamie światła ktoś stał. Nowak. Uśmiechał się; tak przynajmniej wydawało się komisarzowi w tej grze półcieni.

– Witam, panie doktorze. To pan wysłał tych milczków po mnie? Za porwanie grożą dłuższe wczasy za kratkami.

Tamten milczał. Jego głowa była skierowana w stronę Wątroby. Patrzył na niego. Komisarz nie był w nastroju do żartów.

– Halo! Żyje pan? Proszę otworzyć drzwi i mnie wypuścić, to się dogadamy. Ale w przeciwnym wypadku... – Wątroba zawiesił głos, sondując reakcję nieruchomej postaci.

– Zastanawiałem się, czy cię normalnie zabić, czy wziąć do siebie – Nowak zaczął mówić spokojnie, jakby wygłaszał monolog i nie zwracał uwagi na reakcję słuchacza.

Wątroba próbował podejść do niego, ale okazało się, że dzieli ich szeroki, niewidoczny w ciemności rów. Noga zawisła nad nieznaną w swej głębokości przestrzenią. Cofnął się i otarł nerwowo pot z czoła.

– W końcu zdecydowałem się na to drugie. Zawsze to większa satysfakcja zmienić coś, ukształtować, ulepszyć, a nie, bam-bam i parujący trup.

– Kim ty jesteś, kim jesteście? Czego chcecie ode mnie?

– To ja powinienem zadać to pytanie. Cztery dni temu nasze światy znajdowały się po różnych stronach galaktyki, a potem, ot tak, wszedłeś do nas, do mnie. Nieproszony, niepotrzebny.

– Ale o co chodzi? Gdzie wszedłem? Kim wy jesteście?

– Tworzymy lepszy świat. Świat, w którym rzeczy nieważne, konieczne, ale nieistotne, są dla nieważnych pionków. A rzeczy wielkie, trudne, ale wielkie, są dla nas, dla ludzi, dla figur. Najważniejsze to dać człowiekowi cel i motywację, wtedy poruszy góry, żeby wykonać zadanie.

– O czym mowa? Porywacie ludzi! Co z nimi robicie?

– Nie ma „wy”. Jesteśmy już „my”. Będiesz z nami, nadajesz się. Inteligentny, zdrowy, jeszcze nie stary. Trochę było z tobą zamieszania, ale się udało. A jak się nie udało, to trudno. Nie takie porażki przeżyłem. Na drogę do zwycięstwa składają się również porażki. Chcesz, pokażę ci coś. Naszą drogę do sukcesu. Dużo niepowodzeń, ale zwycięstwo coraz bliżej.

Wątroba milczał, widząc, że Nowak wygłasza tyrady, kompletnie go ignorując. Naraz coś pstryknęło i luny światła oświetliły pomieszczenie, które okazało się halą czy raczej wysoką sztolnią. Nierówne ściany świadczyły, że została wykuta w skale, a nie wybudowana. Stali o kilka metrów od siebie, dzieliła ich przerwa w podłodze,

przepaść. Gdzieś w głębi szemrała woda, jakiś kamień oderwany od ściany leciał w dół ze stukiem. Nowak stał po drugiej stronie na czymś w rodzaju podium; zatoczył ręką koło.

– Historia naszej drogi. – Jego głos wyrażał zachwyt. Wątroba rozglądał się; długie ściany pokryte były setkami płyt. Te najbliższe widział całkiem wyraźnie. Na każdej imię, nazwisko, daty. Groby? Nowak podszedł do jednej z nich, złapał za uchwyt pod tablicą, pociągnął. Ze ściany wysunęła się półka, a na niej leżało ciało. Nie. Dwa ciała. Obok siebie. Jedno zmumifikowane, najwyraźniej pochowane dawno temu, drugie w całkowicie dobrym stanie, wyglądało jakby ten człowiek spał. Nowak podumał chwilę, jakby się modlił nad mogiłą.

– Tak, droga do zwycięstwa. Pamiętam cię, Zbyszku – mruknął, patrząc na leżącego. Zasunął szufladę. Odwrócił się z uśmiechem do komisarza, który trwał w osłupieniu, zszokowany widokiem. – Ludzie są do rzeczy ważnych, Wątroba. Ty jesteś do rzeczy ważnych. Zaufaj mi.

– Nie ufam nikomu, kto porywa innych i ma prywatne cmentarze, gdzie w grobach trzyma wspólnie ciała i lalki. – W głowie komisarza wirowały strzępki wspomnień ze śledztwa w sprawie człowieka, który więził swoje ofiary w piwnicy domu, a potem je zjadał. A każdego poźartego uwieczniał w rzeźbie. To był bardzo znany artysta i wiele z tych pomników stoi jeszcze w domach bogatych ludzi oraz w różnych galeriach. Czyżby i tu trafił na psychopatę? Ale tacy działają w pojedynkę, a w tę aferę zamieszana jest duża grupa ludzi.

– Nic nie rozumiesz? Nie szkodzi, nie musisz. Ja wiem, co dla ciebie dobre, co dobre dla całej ludzkości. Podjąłem decyzję.

– Na pewno nie porywanie, nie przetrzymywanie wbrew woli! Na pewno nie pranie mózgu, jak u tego Franciszka albo Kosińskiego...

– Ile ty masz lat, Wątroba?

– Pięćdziesiąt dwa.

– Tak, pięćdziesiąt dwa i dziesięć miesięcy. Słuchaj. Wiem, gdzie mieszkasz, wiem, co robiłeś od dzieciństwa, znam twoje troski, całe życie, zadbaliśmy o każdy szczegół. Przebadaliśmy cię, odpytaliśmy tę twoją Jadwisię, ukochaną sprzed lat, i Franka... Pamiętasz Franka z podstawówki? I stryja Dionizego, i wielu, wielu innych. I wiem, że do dziś tęsknisz za swoim pieskiem Barnabą, bo nikt cię tak nie kochał jak on. Znam wszystkie twoje wątpliwości, frustracje, cały twój brud, w którym tkwisz po szyję, i który cię więzi. Pomogę ci.

Wątroba zamienił się w słuch. Jadwisia, Franek, Barnaba? Skąd oni wiedzą, kto im powiedział?

– Jesteś znerwicowanym, pozbawionym ambicji stworzeniem, kręcisz się w tych swoich niespełnieniach i braku perspektyw jak gówno w przeręblu. I dobrze, niech tak zostanie. Zrobimy nowego pana Wątrobę, równie beznadziejnego, mendzącego, ale w odróżnieniu od ciebie doskonale radzącego sobie w życiu codziennym. A cały twój niewykorzystany potencjał zostanie wykorzystany. Będziesz użyteczny, będziesz tworzył wielkie rzeczy, będziesz wreszcie człowiekiem, a nie wegetującym... czymś. Już ja to umiem. Gwarantuję, pomożesz w naszym zwycięstwie.

– W zwycięstwie czego nad czym? Lubię konkrety, panie Nowak.

Doktor skrzywił twarz w wyrazie niezadowolenia. Najwyraźniej jego teoria o beznadziejności i zrzędlivosti komisarza potwierdzała się na każdym kroku. Wątroba nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Nowak odwrócił się i odszedł wolno, wszelkie światła zgasły. Wątroba usłyszał szelest i poczuł uchwyt wielu dłoni, ktoś przyłożył mu szmatkę do ust. Dziwny zapach. Niemal się przewrócił na podłogę, ale ktoś go przytrzymał, jęknął i przeklął wszystkich grubasów świata. Ostatnią myślą komisarza było, że obok jest przepaść i trzeba uważać. Może nawet przypiąć skrzydła. A później już tylko falowanie, falowanie, falowanie, falowanie, falowanie...

Wycieczka cztery piętra w dół

– No, idziecie czy nie? – Stalowy znów prowadził podchmieloną wycieczkę przez miasto i pohukiwał na kompanów przy każdym zwolnieniu tempa. Dotychczasowe dyskusje i przekonywania na nic się zdały; wizja nagiego, martwego komisarza w ponurym gmachu ciągle była dla Mariana i Pająka wytworem zdegenerowanej wyobraźni Kazka. W końcu poszli razem sprawdzić co i jak. Stalowy nie lubił, gdy ktoś poddawał w wątpliwość jego słowa, tym bardziej że wraz z upływem czasu i rosnącą liczbą drwin kolegów sam zaczynał wątpić w to, co widział. Bo przecież rozmawiał z komisarzem później, oczywiście nikomu się nie przyznał, że wierszem. Wątroba był cały i zdrowy, ale nie wyśmiał go jak te zapijaczone mordy; wierzył Stalowemu.

Doszli już do znajomego skweru, na którym nie było jeszcze autochtonów w kurtkach skóropodobnych. Siedział tylko siwy jak gołąbek dziadunio, owinięty szarym płaszczem, kruszył bułkę gołębiom, mrużąc coś pod nosem, może: „taś, taś”. Widząc przechodzącą nieopodal ekipę Stalowego uniósł na dłużej głowę i odprowadził ich spojrzeniem aż do zakrętu alejki. Stalowemu wydawało się, że im pomachał albo ich błogosławił, ale może to było tylko złudzenie. Zapobiegliwie ominęli rozległy plac pod schodami, wiedząc, że czujny Franciszek nawet muchy tu obserwuje. Wybrali boczny chodnik ciągnący się pod niebosiężnym murem instytutu. W końcu dotarli do zarośli wokół ogrodzenia z tyłu budynku, Stalowy wskazał na lekko wydeptane przejście i mruknął: „wuala”, zapraszając ich jednocześnie do zagłębienia się w zieloność. Po chwili wychynęli po drugiej stronie podobni do partyzantów z grupy „Szarego”; nastrój był również konspiracyjny.

– Tam. – Kazek wskazał drzwi. – Tylko cicho.

Marianowi i Pająkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Przeradzająca się powoli w rzeczywistość opowieść Stalowego, ponura szarość ogromnego gmachu,

resztki listowia i pająki we włosach nie nastrajały do żartów i pogwarek. Nawet Pająka. Mieli cichą nadzieję, że drzwi okażą się zamknięte na glucho i że za minutę przedrą się z popisowym wyrazem *Schadenfreude* na twarzach do świata zewnętrznego, by dalej kpić i wąpić bezkarnie w zdegenerowane fantazje Stalowego. Jednakże drzwi otworzyły się gładko, kamienna klatka schodowa stanęła przed nimi otworem. Lew nad głowami mruczał w uśpieniu. Nikt im nie przeszkadzał, nikt nie gadał o terenie zastrzeżonym i zakazie zgromadzeń. Weszli, trzymając się możliwie blisko siebie. Drzwi zatrzasnęły się zadziwiająco głośno, jakby nieco solidniej niż się otwarły, lew na portalu otworzył leniwie oko, pomruk nabrał głębszych tonów. Panowie zbili się w ciaśniejszą gromadkę; zaczęli wchodzić, co rusz oglądając się za siebie.

Okienko pod sufitem wpuszczało mało światła; Stalowy dałby sobie głowę uciąć, że wczoraj było tu znacznie jaśniej. W ogóle wczoraj, jak zwykle, było znacznie lepsze niż terażniejszość. Minęli półpiętro, zakręt, po chwili zamajaczyły im drzwi i drugi lew, przytomny i czujny, obserwujący intruzów w pełnym gotowości napięciu. Zatrzymali się kilka stopni poniżej, patrząc uważnie, co robi bestia. Ten wpił w nich wzrok, kamienne zęby błyskały złowrogo, każdy rzeźbionej włosek sierści nastroszył się bojowo. Sekundy mijały, wojna psychologiczna zdawała się trwać wieczność.

– Teraz! – Stalowy wrzasnął nagle, biegnąc w górę po dwa stopnie. Słyszał za sobą tupot nóg kompanów. Wypadli na ciemny korytarz, Pająka zatrzasnął drzwi i oparł się o nie plecami, dysząc ciężko. Założyliby się o całą rentę Mariana, że po drugiej stronie coś napierało, walczyło, drapało pazurami i warczało wściekle. Ale oni dotarli bezpiecznie aż tutaj, mogli iść dalej. Cisza i szarość korytarza były już dla Stalowego znajome, dlatego wyprawa pod jego przewodnictwem poruszała się dużo szybciej niż on sam wczoraj. Doszli wzdłuż ściany aż do załomu muru; Kazek pamiętał, że kilka metrów dalej znajdują się drzwi do chirurgów.

– Zaraz tam będziemy. Zobaczycie sami, niedowiarki – syknął do pozostałej dwójki. Nie odpowiedzieli, zbyt przejęci milczącym i złowrogim otoczeniem. W oddali jaśniał wylot korytarza z malutką postacią Marlekoniewa, z tyłu za nimi szarzały punkty świetlików. Stalowy wypatrywał jaśniejszego konturu drzwi do sali, ale tym razem nic nie rozpraszało ciemności korytarzowej kieszki. Wtem obok kreseczki pomnika Marlekoniewa pojawił się inny odległy kształt. Ktoś stanął u wylotu korytarza, po chwili usłyszeli wołanie:

– Halo! Jest tam kto? Odezwij się który! – Przypadli do załomu muru, dziękując Bogu, że postawił ich akurat w tym miejscu, gdzie mogli się schować. Ale po chwili ich radość zmaćło kolejne nieoczekiwane wydarzenie. Korytarz rozblęsnął światłem, rząd lamp dopadł ich swoimi oczami, szarość czmychnęła bez śladu. W oddali rozbrzmiewały powolne kroki, coraz bliższe i wyraźniejsze.

– Te, Stalowy, idzie tu. Co teraz? Dajemy nogę? – Marian czekał na konkretne decyzje.

– Nie, lepiej nie ryzykować. Jesteśmy na obcym terenie. Słuchajcie, jakby co, ja go zagaduję, a jak facet zrobi się nerwowy, zostawiacie mnie samego i w długą podłwy.

Marian i Pająk spojrzeli na niego z podziwem. Prawdziwy dowódca. Bierze kłopoty na klatę, bez psychologii i jęczenia. Buty stukały coraz bliżej, w końcu stało się jasne, że tylko sekundy dzielą ich od konfrontacji. Stalowy wychynął zza załomu. Kroki ustały.

– Dzień dobry. – Kazek postanowił udawać, że oto spotkało się przypadkiem dwóch starych znajomych i zaczynają gawędę o dawnych dobrych czasach. – Jak zdrówko?

– A dziękuję, nie narzekam – odparł portier, następnie uniósł dłoń do ust, tak jakby sam się zdziwił własną odpowiedzią.

– Się mi wszystko poplątało, tyle tych korytarzy. Dojdę tedy do wyjścia? – Stalowy ciągnął luźną gadkę.

– Ale przecież... – Franciszek nie chciał kontynuować tej farsy.

– Tak, tak, racja, już zmykam. Ja tam, a pan tam. Zgadza się?

– No, tak, niby tak, ale... – Portier chciał zaproponować, ale Stalowy wyraźnie go onieśmiał; odwrócił się i zaczął wędrówkę z powrotem, oglądając się przez ramię. Stalowy otarł pot z czoła i odetchnął głęboko. Wciąż stał na środku korytarza na szeroko rozstawionych nogach, kontrolując, czy zwalisty cieć nie powraca.

– Aha! Można wyłączyć światło! Szkoda energii! – Stalowy zawołał za znikającym kształtem. I po chwili na nowo ogarnęła ich ciemność.

– Ty, czemu ty tak... no, tak go ustawiasz? – Marian nie mógł się nadziwić zachowaniu kolegi. – Poznaliście się już?

– Nie wiem. – Kazek wzruszył ramionami, czego i tak nie było widać. – Ale od wczoraj wiem, że facet mnie posłucha, gdy go o coś poproszę... albo mu rozkażę. Nie mam pojęcia dlaczego, ale po prostu to wiem.

– Fale mózgowe? – Marian udawał mądrego.

– Może fale, a może urok osobisty – Stalowy uciął temat trafną sentencją.

W tym momencie za załomem muru, przy którym stali, rozwarły się z hukiem drzwi. Światłość wypłynęła szeroką strugą na korytarz. Wędrowcy przytulili się do ściany. Były to drzwi, których szukali. Zwiedzeni ciemnością znajdowali się kilkanaście metrów dalej i to prawdopodobnie uratowało ich przed dekonspiracją. Ze środka wyjechało ni to łóżko, ni to stół, kojarzący się ze sprzętem medycznym. Na nim leżał jakiś kształt przykryty prześcieradłem. Po bokach i za nim kroczyło kilku ludzi w białych fartuchach i czapczkach. Skręcili, szybkim krokiem oddalając się od trójki poszukiwaczy przygód; zmierzali w kierunku nikłego światła na końcu korytarza. Drzwi sali nie zamknęły się całkiem z powrotem; sine światło sączyło się przez szeroką szparę. Stalowy mógł dzięki temu obserwować, jak silne wrażenie

wywarła ta scena na jego kompanach. Nie widzieli co prawda, kto leżał pod prześcieradłem, ale wszystko inne się zgadzało. Atmosfera budynku, okraszona tą dziwną sceną, wlewała się w ich głowy i serca mocnym strumieniem. Nie pamiętali już, że przed kilkudziesięcioma minutami byli zblazowanymi ławeczkowymi menelami, że gdzieś tam świeci Słońce, które być może krąży wokół Ziemi, i ptaszki śpiewają. Tu człowiek szybko stawał się kamienno-metalowym stworzeniem o ostrych krawędziach, bez pamięci, a jedynie z tą posepno-szarą chwilą trwającą przed oczyma. Pobiegli za grupą, która nie dotarła do końca korytarza; wcześniej skręciła w lewo. Gdy dotarli do tego miejsca, okazało się, że znajduje się tu wnęka z metalowymi drzwiami windy. Kiedy wyjrzeli zza rogu, oświetlona kabina akurat rozpoczęła wędrówkę w dół. Po chwili otoczyły ich znowu cisza i ciemność. Nad drzwiami windy zapalały się i gasły cyferki pięter. Wyraźnie widzieli, że winda jedzie na dół. Dlaczego zapala się dwójka, potem trójka, czwórka? Piwnica. W tym budynku jest pewnie potężna piwnica. Tam go wzięli. Stalowy złapał kolegów za karki i przyciągnął ich głowy ku sobie.

– Jedziemy tam? – zapytał szeptem.

– Ee, no co ty? Nie będę się pałętać po jakichś stalinowskich piwnicach. – Marian zamierzał kończyć grę bez przejścia *level 1*.

– A ty? Jesteśmy chłopy czy dupy? – Stalowy zwrócił się do Pajaka i od razu pożałował, przypominając sobie, że „dupa” to ulubione słowo małomównego kolegi.

– Chłopy. – Pajak krótko uciął jego wątpliwości. Stalowy obrócił się w stronę wahającego się Mariana.

– To jak, chłopy czy...

– No dobra, chłopy, chłopy. – Marian ciężko westchnął, widząc, że jest w mniejszości. Stalowy poklepał go poufale po plecach.

– No to git. Za mną.

Wrócili poprzez ciemność korytarza do wpółotwartych drzwi sali. Była pusta, zimna i odrażająca w swojej niehumanitarnej bieli, bzycząca lampą bakteriobójczą, szumiąca wentylatorem i kapiąca kranem. Pomieszczenie wyglądało jak wielki martwy żółw z wyrwanym sercem, po podłodze ciągnęły się niezliczone rury i przewody, urywając się nagle pośrodku pokoju. Nikomu już niepotrzebne, odstawione do następnego razu, wołały milcząco i bezwładnie o ratunek.

– Bierzemy fartuchy! – zakomenderował Stalowy. Cała trójka rzuciła się do wieszaka z białymi uniformami i po chwili wyglądali dokładnie jak naukowcy, których śledzili. Tak ubrani wyszli na korytarz i po chwili wahania postanowili jechać windą, a nie szukać schodów. Istniało co prawda duże niebezpieczeństwo szybkiej dekonspiracji, ale pomysł błędzenia po kilkupiętrowej, czarnej jak zwieracz Murzyna piwnicy wydawał się im dużo bardziej karkołomny. Tym bardziej że nie wiedzieli, gdzie szukać drugiego wejścia.

Świeące cyferki zmieniały się, nieubłaganie zmierzając do zera, a ich ogarniało coraz większe napięcie. Stali w milczeniu, wpatrując się w drzwi windy, i walczyli ze strachem przed niewiadomym; nawet Kazek pomyślał, że czasem może lepiej być dupą. Winda wreszcie dojechała, liche światełko rozbłysnęło poprzez mętność zbrojonej szybki. Pająk przekręcił klameczkę, pociągnął. Doświadczeni komandosi nigdy by czegoś takiego nie zrobili, uzbrojony nieprzyjaciel miałby ich jak na widelcu, ale oni nie byli komandosami, nawet niedoświadczonymi. Wyglądali raczej jak wycieczka zdenerwowanych kucharzy w strojach roboczych.

Kabina powitała ich lekkim kołysaniem i śladami wytartymi w podłogowym linoleum. Pająk zamknął dokładnie drzwi, Marian wyciągnął palec w stronę czwartego guzika pod zerem. Zawahał się. Spojrzał przeciągle na Stalowego, ten skinął przyzwalająco głową. Palec wcisnął kółeczko, kabina drgnęła i bucząc, zaczęła zjeżdżać. Jada. Naraz do zbrojonej szybki przylgnęła czyjaś twarz, która wraz z ruchem windy w dół wolno przesuwiała się w górę. Nie byli pewni, kto to był; może

Franciszek, może ktoś inny z obsługi. Matowe szkło tak zniekształcało rysy, że świadek ich wyprawy do piwnicy pozostał nieznany, ale niebezpieczeństwo, że zaraz wpadną, wzrosło ogromnie. Kabina, bucząc cały czas, jechała w dół.

Mumie i sobowtóry

Falowanie morza, falowanie nastroju, falowanie biustu... Życie Wątroby stało się na jakiś czas falowaniem w pozycji horyzontalnej. Ale potem się podniósł. Czuł, że wraca do normalnej formy, stopy łapią poziom, a ciało pion. Pomiętą kartkę świata wygładziła troskliwa ręką Boga, kolory wskakiwały w linie i zarysy. Choć, dalibóg, jakże te tysięczne szarości, odbicia, czarniawe efekty nazwać kolorami?! Raczej odbitkami kolorów, pomyłkami, gradientami tej samej barwy. Po horyzont ciągnęły się granitowe ściany ze znajomymi już nagrobkami-szufladami. Tym razem znalazł się bliżej nich, bez przeszkody w postaci ziejącej przepaści; podszedł i pociągnął za uchwyt, półka wyjechała. Wątroba zamarł z przerażenia. Leżały tam, zgodnie z oczekiwaniem, dwie postacie: mumia i lalka. Ale strwożyło go do szpiku kości odkrycie, że patrzy na siebie. O ile mumia była mało podobna, tak miała zniekształcone rysy i kształt ciała, o tyle lalka stanowiła jego wierną kopię. Zatrzasnął szufladę i przypadł do drugiej obok, pociągnął za uchwyt. Na płycie znowu leżały mumia i przedstawiający komisarza manekin. Podbiegł gorączkowo do następnej – to samo. Ciężko dysząc, chodził od szuflady do szuflady i wszędzie stawał oko w oko z samym sobą. Martwym i zawsze w towarzystwie manekina stanowiącego jego kopię. Nawet ubranie było identyczne. Po kolejnym otwarciu szuflady zamarł, bezradnie rozglądając się wkoło. Płyty grobów zdawały się ciągnąć kilometrami. Wiatr gwizdał lekko na załomach skalnych; dałby sobie głowę uciąć, że słyszy w oddali dźwięk dzwonek bezładnie miotanych siłą podmuchów.

Jeden z powiewów przyniósł melodię – kiedyś ją słyszał, na nudnej lekcji muzyki klasycznej. Ale dziś nie było nudno. Szum wiatru, dzwonki i muzyka. Wątroba nerwowo rozglądał się w poszukiwaniu wyjaśnienia i ratunku.

*Tuba mirum spargens sonum
Per sepulchra regionum,
Coget omnes ante thronum.*

*Mors stupebit, et natura,
Cum resurget creatura,
Judicanti responsura.*

*Liber scriptus proferetur,
In quo totum continetur,
Unde mundus judicetur.*

*Judex ergo cum sedebit,
Quidquid latet, apparebit:
Nil inultum remanebit.²*

2 Fragment *Dies Irae*, XII/XIII w.

*Odgłos trąby archaniola
Grząc wśród grobów dookoła
Wszystkich przed tron Boży zwoła.*

*Śmierć z przyrodą oniemiała,
Ujrzy cud, gdy ludzkość cała
Na sąd pójdzie zmartwychwstała.*

*Księgę ludzkich spraw otworzą:
Z niej to przed stolicą Bożą
Przeciw światu śledztwo wdrożą.*

*Sędzia tedy, gdy się zjawi
Co się kryło, jawnym sprawi,
Nic bez pomsty nie zostawi.*

*Cóż ja powiem, człek ubogi:
W czyje mi się schronić progi,
Gdy i święci nie bez trwogi?*

Melodia to się przybliżała i potężniała, to oddalała, niktąc prawie za ścianą szumiącego wiatru i odległych dzwonek. Kto to robi? Po co? Wrabiają go. Śmieją się w kulak, siedząc gdzieś tam, gdzie wszystko widać. Umierają z radości, patrząc, jak się miota, jak nie wie, o co chodzi. Czarownik? Znowu nawiedziła go wizja tłumu półnagich tubylców z dorzecza Amazonki i ich nienormalnego szamana. Po cholere mieli by to robić? Zwykła indiańska złośliwość. Wiatr szumi. Dzwonki dźwięczą. Prawie jak msza, tylko księdza nie ma. Jest szaman, tyle że w głowie. Wymyślony. Wątroba nikogo nie widzi, ale wizja rozrasta się, rządzi nim, zaciera linie pomiędzy wyobrażeniem a cmentarno-nagrobkową rzeczywistością. A zresztą, co to za rzeczywistość? Kilometry grobów z nim w roli trupa plus kopia zapasowa. Nie. To się nie dzieje. To nieprawda, to jakaś totalna hipnoza! Wątroba zamknął oczy. Czarny mur powiek opada, ale niczego nie zakrywa. Czy oczy są otwarte, czy zamknięte, wszystko wygląda tak samo. W głowie cały czas wiją się nitki zasłyszanej melodii, cały czas szumi wiatr. Znowu otworzył oczy. To na nic.

W tym momencie stała się rzecz jeszcze bardziej przerażająca. Każda z płyt drgnęła, a następnie wysunęła się na całą długość kamiennej półki. Na każdej z nich siadają obudzone postacie Wątroby. Przeciągają się, zerwane z długiego snu, inne potrzęsają swoimi towarzyszami, żeby wstali i przestali leniuchować. Niektórzy przybijają piątkę z kolegą z sąsiedniej półki. Wątroba zauważył nawet mumię, która poprawiała fryzurę i ubranie, przeglądając się w małym lusterku. Cały ten tłum zaczął powoli zsuwać się, schodzić albo skakać w dół. Tysiące mumii i sobowtórów. Przed Wątrobą wzbierało morze głów. Nie było już słycać muzyki, wiatru ani dzwonek. Wszystko zagłuszał gwar głosów, kłótni i przepychanek w tłumie. Ktoś w tyle się pobił, ktoś inny wołał, że to skandal i on to zgłosi, gdzie trzeba. Nie sprecyzował dokładne gdzie trzeba, może na policję. Komisarz przypomniał sobie wiecznie zblazowaną twarz dyżurnego popijającego swoje troski słodką herbatą. Tego nic nie ruszy, nawet wyschnięty trup własnego przełożonego zgłaszający

chamstwo w tłumie składającym się wyłącznie z innych mumii i sobowtórów Wątroby. Wypełniłby formularz P2 i zarchiwizował. A jeżeli murgia nie mogłaby podać stałego adresu zameldowania, kazałby się zgłosić za tydzień w celu weryfikacji danych. Jednakże ta surrealistyczna wizja nie rozbawiła tym razem komisarza. Był zbyt zaaferowany tym, co widział naprawdę, albo wydawało mu się, że widzi naprawdę.

Morze postaci wzbierało z każdą chwilą. Falowało. Najbliższe tłoczyły się tuż przed nim. Wątroba zauważył, że niektórzy witają się jak starzy znajomi po długim niewidzeniu, poklepują się po plecach, częstują papierosami. Było widać znaczącą różnicę w stosunkach pomiędzy samymi mumijskimi, a mumijskimi i sobowtórskimi – tu panowała pewna rezerwa i podejrzliwość. Mumijskie praktycznie nie gadały z kopiami; choć połączeni w pary, najwyraźniej nie znali się zbyt dobrze, może nawet nie lubili. Gwar głosów ciągle narastał, po kilkudziesięciu sekundach napływ nowych postaci ustał, a tłum niecierpliwiał się. Nudzili się. Jakaś stojąca nieopodal murgia z papierosem w ustach zaniósł się gruźliczym kaszlem. Wątroba nie wiedział, co robić; zdawał sobie sprawę, że przegra z nimi każde starcie. Ale postaci, będące przecież nim samym, nie wykazywały agresji w stosunku do niego. Po następnych kilkunastu sekundach gwar głosów zaczął cichnąć. Ostatnich wesółków i awanturników gaszono kuksańcami i uspokajającymi syknięciami.

Na występie skalnym ktoś się pojawił, wszystkie głowy obróciły się w jego stronę. Nowak. Ale ten stary, Marlekoniew z psychiatryka. Wątroba również wlepił w niego wzrok. Tamten stał, obserwując tłum z posępną miną. W końcu Wątroba nie wytrzymał.

– Panie Nowak, albo Marlekoniew, jak tam chcesz, co tu się dzieje? – Pytanie wydawało się najbardziej naturalnym w tej sytuacji.

– Teraz cię przyjmujemy do siebie, staniesz się Człowiekiem – odparła wyniośle postać ze skały.

– A niby kim teraz jestem? Mchem albo dżdżownicą?

Mina starca mówiła wszystko; Wątroba w jego oczach nie był ani Człowiekiem, ani nawet człowiekiem. Może nawet nie był mchem.

– Ludzie, tak zwani ludzie, nie dorastają zazwyczaj do swojej roli. Udaje się to nielicznym. Najtwardszym, najlepszym... Inni gubią się w odmętach swoich trosk, wątpliwości, niemocy. My dajemy siłę, cel. Pokaż mi, Wątroba, człowieka po trzydziestce, który zachował swoje cele z młodości. Pamięta o nich, wspomina je jak obrazki z dawnych czasów. Gubią je, gubią wszystko. I zostają w końcu na dnie egzystencji. Bez ambicji, bez sensu... – Starzec zawiesił głos, wbił spojrzenie w komisarza. Może oczekiwał jakiejś reakcji.

– Mogę już iść do domu? Nogi mnie boją.

Nowak-Marlekoniew nie odpowiedział. Wykonał jedynie przyzwalający ruch ręką.

– Niechaj się zaczyna.

Koło Wątroby jakaś nieznana siła ustawiła nową postać – jego sobowtóra, ale bez mumii. Stał nieruchomo. Komisarz łypnął na niego podejrzliwie, ale ten był jak martwy. Nie ruszał się, nie patrzył, nie przejawiał żadnych zachowań istoty rozumnej. Nowak-Marlekoniew znowu dał znak. Z tłumu oderwała się pierwsza para, podeszli, stanęli przed nimi i głęboko się uklonili. Zaskoczony Wątroba lekko skłonił głowę, tak jak nakazują podstawowe normy grzeczności. Ale para, nie zwracając na nich więcej uwagi, oddaliła się w kierunku ściany z nagrobkami. Znalazła swoją półkę, położyła się i ponownie zapadła w martwy sen. Grób wolno się zamykał. Postać stojąca obok Wątroby westchnęła, otworzyła oczy i powiodła wokół nierozumnym spojrzeniem.

– Cześć. Ciebie też wyciągnęli z magazynu? – spytał Wątroba, wskazując na rzędy otwartych szuflad. Tamten nic nie odpowiedział.

Kolejna para podeszła i złożyła pokłon. Potem następna. Marlekoniew nadzorował ceremonię ze swojej skalnej półki. Wątrobie przyszło do głowy, że powinien stąd wyjść. Bierze udział w czymś bez sensu; jeżeli Nowak nie uznaje go za człowieka, ani nawet za mech, to już nie jego problem. Ale jednocześnie poczuł się bardzo słabo, zmęczenie opanowywało jego członki, patrzył coraz obojętniej na kolejne pary. Robił się coraz słabszy, w odróżnieniu od postaci obok, która wykazywała coraz większą aktywność. Wątroba z każdą chwilą się zmieniał, jakby zapadał się w sobie. Spojrzał na swoje ręce i z przerażeniem odkrył, że są to dłonie starca. Jego ciało starzało się, umierało. Przez mózg przebiegła myśl, że oto staje się taką mumią, jakich tysiące widział przed sobą. Chciał się zerwać, zaprotestować, uciec, ale nie miał już siły. Każda bijąca pokłon para odbierała mu część życia, przekazując temu obok. Po następnych kilku parach nawet ten lekki bunt wygasł i obserwował jedynie martwym spojrzeniem to, co się dzieje przed nim. Starzec na skale ponowił napuszone przemówienie.

– Wiemy o tobie wszystko, a wszystko co wiemy, wykorzystamy. Przesiejemy zdolności, zapomnianą mądrość. Te tysięczne umiejętności zapłodnią nowego Człowieka. Zmartwychwstaniesz.

Tłum stał w głębokiej ciszy, wszystkie postacie zdawały sobie sprawę, że uczestniczą w wielkim spektaklu i nic nie może zmącić podniosłej atmosfery. Znowu było słycać szum wiatru, dźwięki dzwonek i muzykę. Ceremonia trwała i nic już nie mogło jej zakłócić. Chyba nic...

Nagle z wysokości krawędzi skały usłyszeli głosy.

– Jak możesz wątpić w antymasę Hogga, debilu?! – Ubrana na białą postać darła się do drugiej białej postaci na szczycie ściany.

– Tak jak można wątpić w ideę istnienia wektora superparcia Marlekoniewa. Czyli zupełnie normalnie, a może i bezsprzecznie, nie udowodniono antymasy Hogga!

– Panowie, błagam, nie teraz! Sytuacja jest poważna. Musimy być cicho. Nie mogą nas nakryć. – Zza dwóch kłócących się osobników wysunęła się trzecia postać. Gasnący umysł Wątroby poznał te głosy: to był Stalowy ze swoimi kumplami. Chciał coś do nich zakrzyknąć, zawołać o ratunek, ale nie dał rady. Stalowy biegał od jednego do drugiego kolegi, psykał i uspokajał, jednak ci prowadzili coraz ostrzejszą dyskusję i za nic mieli ostrzeżenia Kazka.

– A jak ci powiem, że przy analizie ugięcia strumienia fotonowego stała Braggia jest przy dużych gradientach pomniejszona o miarę cząstki Hogga, to co? Zatkalo kakao?

– Bierz kredki i koloruj obrazki w przedszkolu, bo raczej nie bierz się za normalne badania. Strumień fotonowy to na razie nic pewnego. A stała Braggia jest przy obecnej wiedzy bardziej figurą retoryczną niż faktem!

– Błagam, koledzy, Marian, Pająk! Opamiętajcie się. Musimy być cicho. Błagam. – Stalowy nieomal płakał, rozglądając się nerwowo dookoła.

– Tak? Ja ci dam figurę retoryczną, półgłówku!

Białe postacie zaczęły się siłować i walić po szczękach. Stalowy bezskutecznie próbował ingerować. Cała trójka, szamocząc się i kłócąc, zbliżała się do krawędzi przepaści. W dół potoczyły się kamienie. Tłum stojący nieporuszenie na dole odwrócił głowy od Wątroby i obserwował walkę rozgrywającą się kilkanaście metrów nad nimi. Tamci, zamieniwszy słowa na pięści, wciąż próbowali przekonać jeden drugiego. Stalowy szarpał to Pajaka, to Mariana, ale jego interwencja bardziej przypominała udział w bójce niż mediację. Tłum pod skałą patrzył zafascynowany na walkę. W pewnym momencie jeden z walczących pchnął oponenta na tyle mocno, że ten zawisł na krawędzi skały, trzymając się występu palcami i rozpaczliwie szukał oparcia dla stóp. Nawet Nowak-Marlekoniew trwał w napięciu, zaintrygowany, co się wydarzy dalej.

Stalowy próbował wciągnąć wiszącego kolegę, ale drugi kamrat przeszkadzał mu ile sił, jednocześnie drąc się wniebogłosy:

– I co, jest stała Braggia? Przyznasz, że jest, wchodzisz! Nie przyznasz – spadasz!

– Pająk, zwariowałeś? Tak nie można. Marian, wytrzymaj! Zaraz mu przemówię do rozsądku! Wytrzymaj! – Stalowy gorączkował się, odpychając jednocześnie Pajaka.

– W dupę mnie pocałuj razem z antymasą Hogga! Wolę umrzeć, niż gadać takie pierdoły!

– Tak? No to leć – Pająk wyrwał się Stalowemu i nadepnął Marianowi na palce. Ten puścił występ skalny, a jego białe odziane ciało poleciało w dół.

– Mariaaaaaaan! – Stalowy przypadł do krawędzi z przerażeniem. Marian miał szczęście. Kilka metrów niżej znajdowała się półka wysunięta z szuflady po którejś z mumiowo-sobowótrowych par. I na niej wylądował; teraz masował obolały po upadku tyłek.

– Żyjesz? – Stalowy otarł pot z czoła.

– Żyję i dalej twierdzę, że Pająk jest debilem! – odkrzyknął buńczucznie Marian.

Stalowy westchnął, po czym zamknął oczy. Wyglądało, jakby liczył po cichu do dziesięciu, nie chcąc samemu wybuchnąć furją. Niespodziewanie jakiś głos z tłumu zakrzyknął, żeby spierdalali z jego półki, bo on zaraz się ukloni i idzie spać, i nie zamierza się tam gnieździć z jakimś awanturnikiem. Inne głosy go poparły, w stronę półki poszybowały kamienie. Stalowy, Pająk i Marian zastygli w bezruchu, obserwując zgromadzonych na dole. Najwidoczniej w ferworze kłótni i walki nie zorientowali się, że mają publikę. A ta zaczęła się zachowywać coraz agresywniej; kilka mumii już się wspinało po ścianie, inne buczały i skandowały obraźliwe wyzwiska pod adresem białych przybyszów. Marian bezskutecznie próbował

wydostać się z pułapki; Pająk i Stalowy tkwili na skale, ale byli za daleko, nie mogli mu pomóc. Tymczasem tłum się uciszył. Wszyscy patrzyli na Marlekoniewa i czekali na sygnał do ataku lub innej akcji. Jednakże starzec milczał, trwał w bezruchu. Mumie i sobowtóry wpatrywały się w niego, czekając na sygnał. Udowodnili już, że są dobrzy we wspinaczce po skale, w odróżnieniu od tych na szczycie. Marlekoniew stał w milczeniu, jego twarz zdradzała cierpienie, ciężko dyszał. Podniósł na chwilę głowę i spojrzał na Wątrobę, z ust wydobył się szept: „Bądź przeklęty”. Następnie oparł się o skałę, zgiął we dwoje i na oczach wszystkich zgromadzonych rozsypał się w proch.

– Ale jaja! – syknął ktoś z tłumu, jednakże była to reakcja odosobniona. Większość stała, wlepiając wzrok w resztki przywódcy. Dominowało malujące się na twarzach uczucie zaskoczenia i niedowierzania. A potem, para za parą, mumie i kopie zaczęły się chwiać i jęczeć. Tak jak starzec postacie sypały się w proch. Ich jeszcze ruchome korpusy grzęzły w pyle rozpadających się nóg, z sekundy na sekundę tracąc ludzkie kształty. Wyglądało to, jakby ktoś deptał zamek z piasku. Tysiące rozsypujących się ust szeptały: „Bądź przeklęty”.

Dwóch

– Mam nadzieję, że nam któryś coś wyjaśni, bo ja już głupieję. A wy, palanty przemądrzałe, morda w kubek, siedzieć tu i pana Franciszka słuchać! Przez was prawie bym życie stracił! Zastrani naukowcy na falach mózgowych.

– Dzięki Stalowy, wiedziałem, że jesteś git gostek – do uszu Wątroby doszedł donośny szept, który kazał mu natychmiast otworzyć oczy i pokonać bezwładny błogostan, w którym się pławił.

– Nie ma sprawy, szefie. Musimy se pomagać w trudnych momentach życiowych – głos Stalowego był dziś grzeczny.

Wątroba rozejrzał się wokół i stwierdził, że siedzi na wielkim fotelu przypominającym fotel dentystyczny, tyle że bez wiertła i umywaleczki. Za to dochodziły do niego jakieś przewody, a ustrojstwo obok głowy komisarza migало czerwoną lampką. Brakowało też sadystycznego doktoraka w fartuchu, znaczy był, a nawet wielu, ale rozproszonych po dużej sali. Dwóch w białych kitlach, z wyglądu lekarzy, siedziało pod ścianą, podpierając głowy rękoma i wydając ciche pomruki. Inna grupa biało odzianych postaci tłoczyła się pod przeciwległą ścianą. Tym nic nie dolegało, ale wyglądali na spłoszonych i niepewnych; wśród nich wyróżniało się granatowo-niebieskie wdzianko pana Franciszka. Najbliżej Wątroby, po lewej stronie, leżał ktoś skulony jakby w paroksyzmie bólu brzucha, wydając ciche jęki i szlochy. Zaś po drugiej stronie tyłem do komisarza stał osobnik w białym uniformie, rozmawiając z kimś, kogo zasłaniał. Przemawiał głosem Stalowego. Ale co on tu robił?

– Stalowy? – Wątroba tyle zdołał wydusić przez spieczone, obolałe gardło. Biały uniform się odwrócił.

– No, nareszcie ożył. Zaraz was odłączymy. Ee, patałachy! Koniec życia wewnętrznego. Pomóżcie w demontażu – zwrócił się do skulonych pod ścianą nibylekarzy.

Ci, ciężko stękając, podpierając się jak obolali starcy, wstali z podłogi i chwiejnie zaczęli się posuwać w stronę Wątroby. Postać leżąca na ziemi jęknęła nieco głośniejszym głosem; może ją niechętnie nadepnęli.

– Zadzwońcie po Chwiejczaka! – ozwał się głos zza pleców Stalowego. Wątroba zamarł. A więc to nie był sen, nie przesłyszał się.

– Tak, po Chwiejczaka! – dodał nieco pewniejszym głosem, próbując wstać z fotela i dojrzeć, kto tam siedzi, ale był przypięty kilkoma pasami, nie mówiąc o niesamowitej liczbie kabli i przewodów, do których został podpięty lub które w niego wsadzono, co poczuł, gdy tylko próbował zsunąć się z siedziska.

– Odczepcie mnie, ale szybko! – warknął na ślamazarnych białych, w których rozpoznał kolegów Stalowego. Był już całkiem wybudzony, przewód gniótł go coraz bardziej.

– No, ruchy, ruchy! Nie będę tu tak sterczał z rurką w tyłku, bo jeszcze kto kurek z ciepłą wodą odkręci! – usłyszał. Właśnie to chciał powiedzieć, ale słowa nie wydobyły się z jego ust. Zaczął się szarpać, wrywać z uprzęży i instalacji, chciał zobaczyć, czy jednak nie śni. Z boku słyszał podobne sapanie. Marian i Pająk dość nieporadnie próbowali go odczepić, w końcu udało mu się wyswobodzić jedną rękę i sam zaczął się uwalniać. Z fotela, nad którym stał pochylony Stalowy, również dochodziły odgłosy szamotaniny. Biała postać leżąca na podłodze zamilkła, jęki ustały.

– No, dzięki. Gdzie ja jestem? – Wątroba wrywał z siebie coraz bardziej problematyczną rurkę.

– Miały być laski, zimne piwo i striptiz, a budzę się w pokoju z podejrzanymi typami udającymi doktorków i do tego coś mnie strasznie w tyłku uwiera. Jak to,

Stalowy, wytłumaczysz? – Z fotela obok powstał Wątroba, komentując swoją sytuację. Tak przynajmniej się wydawało. Dwaj oswobodzeni z zapięć mężczyźni zamilkli i zaczęli się taksować wrogimi spojrzeniami. Obaj byli nadzy i wyglądali identycznie. Nie dało się dłużej udawać, że nic się nie dzieje. Wątrobów było dwóch.

– Co jest, kurwa, gabinet luster?! – wykrzyknęli równocześnie i natychmiast zamilkli, dalej mierząc się wzrokiem. Wątroba postąpił krok naprzód, postać naprzeciwko naśladowała go co do milimetra i ułamka sekundy.

– Nie, nie wrobiecie mnie! Nie dam się tak...

– Myślicie, że mnie macie, wasze niedoczekanie...

Obaj zaczęli mrużyć i opowiadać, jak to się nie dadzą wpakować w kolejne kłopoty. W końcu widząc, że nawet w tym są identyczni, rzucili się na Stalowego. Omal go nie przewrócili. Wrzeszczeli jeden przez drugiego:

– Stalowy, to pułapka, manekin... Nie daj mi zginąć w lochu... Oni leżeli po dwóch, mumia i sobowtór... Marlekoniew mnie przeklął... Zostałem pozbawiony życia, kłaniali mi się... Czy ten tłum wam nic nie zrobił? Co to za typek mnie małpuje?

– Ciszaaaaaa! – wydarł się Stalowy, odpychając dwóch napierających na niego grubasów. Ci odskoczyli jak za pociągnięciem sznurka.

– Okej, okej – mruknęli jednocześnie i wbili w siebie nienawistne spojrzenia. Stalowy przenosił wzrok z jednego na drugiego. W końcu pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Jasna cholera, i co teraz? – mruknął. – Który z was to Wątroba?

– Ja – zagrzmiało potężnie unisono. Golasy znów zmierzyły się wrogim spojrzeniem.

– Kurwa, tak do niczego nie dojdziemy! – Stalowy gubił się w sytuacji. Wtedy podszedł do niego Franciszek i szepnął mu coś na ucho. Twarz Kazka rozjaśniła się.

– Słuchajcie no, Wątroby! Zaraz was skaleczymy, mhm, badawczo. Podobno to ma pomóc. Rączki przed siebie. Ruchy, ruchy.

Podszedł z nożykiem i każdemu z nich delikatnie naciął skórę. W obu skaleczeniach pojawiły się krople krwi. Obaj komisarze popatrzyli na swoje ręce, a następnie na Stalowego.

– No i... – Zawiesili spojrzenie pełne nadziei na twarzy Kazka, który z kolei zerknął na pana Franciszka. Portier pokręcił z rezygnacją głową. Oba nacięcia były identyczne i identycznie krwawiły.

– Cholera, ale zrobili postęp. Nawet krwawią tak samo – mruknął Franciszek i wycofał się jakby zawstydzony do grupy biało odzianych postaci.

Stalowy zagryzł wargi w zamyśleniu.

– No to chyba się nie dowiemy, który to Wątroba. Są identyczni. – Stalowy myślał głośno. – Słuchaj, komisarzu, spróbuję zadać kilka pytań kontrolnych, a jak się nie uda, to... – zawahał się. – To zyskasz braciszka bliźniaka. Jednojąowego.

Marian i Pająk zarechotali na ten cienki kawał; Wątrobowie jednak zgasili ich ponurym wejrzeniem. Pracownicy instytutu wraz z Franciszkiem nie brali udziału w dyskusji.

– Będę zadawał pytania, na które potrafi odpowiedzieć tylko Wątroba. Każdy z was podejdzie i szepnie mi na ucho. Zrozumiano?

Gołe grubasy skinęły głowami. Obaj uśmiechnęli się tryumfująco w stronę przeciwnika.

– Zaraz cię stąd zniosą, kukło! – warknął pierwszy.

– Bo padnę ze śmiechu, jak usłyszę twoje odpowiedzi!

– Spokój! Pytanie pierwsze. Jak się nazywają te dwa patałachy i nieuki, czyli moi dwaj, pozał się Boże, koledzy? – Stalowy wskazał ręką Mariana i Pajaka. Ci uśmiechnęli się blado i dygnęli jak dziewczynki na pierwszym w życiu balu.

Komisarze podeszli kolejno do Stalowego i szepnęli mu coś do ucha. Mina Kazkowi zrzędała. Potoczył po pomieszczeniu ciężkim spojrzeniem i wycedził:

– Pytanie drugie. Jak się nazywa emerytowany ślusarz zamieszany w sprawę skarbów tego przedwojennego magnata przemysłowego? Mieszka na Bałtyckiej.

Golasy znowu podeszły kolejno. Po obu odpowiedziach mina Kazka wskazywała wyższy poziom zdenerwowania. Jednakże po chwili zastanowienia twarz rozjaśnił mu uśmiech. Właśnie przypomniał sobie o historii, którą kiedyś po pijaku opowiedział mu Wątroba. Sam będąc wielbicielem kolorowych trunków, święcie wierzył w magiczną moc poznawania ludzkich pragnień i tęsknot w trakcie libacji alkoholowych. Dlatego nie wątpił, że była to historia prawdziwa, a jednocześnie nieznaną szerszej publice.

– Jak się nazywał właściciel samochodu marki Syrena, w której chciał cię zgwałcić Chudy Bolo?

Nawet stojąca dotychczas obojętnie grupa z portierem Franciszkiem wykazała wyraźne zainteresowanie tematem. Marian i Pająk spojrzeli zaskoczeni na Stalowego. Zastrzygli uszami, mając nadzieję poznać parę plotek z wielkiego świata. Wątrobowie podeszli kolejno i przekazali swoje odpowiedzi. Kazek zacisnął usta z wściekłości.

– Jak tak, to se sami radźcie! – krzyknął. – Którykolwiek z was to Wątroba, niech wie, że posiada wszystkowiedzącego o nim braciszka. Ja umyłam ręce, mam to w dupie! Co to za przyjemność stać w jakiejś piwnicy z bandą zboczonych chirurgów i patrzeć na dwóch gołych, identycznych tłusciochów? A w ogóle, to się ubierzcie! Nie jesteśmy w Klubie Natura ani na wyborach Mister Opona. Już! Myślicie, że zaimponujecie komuś tymi maluchami, które i tak ledwo widać spod brzuchów?

Wątrobowie spojrzeli po sobie, wybałuszili oczy, jakby zdziwieni widokiem, który właśnie ujrzeli. Następnie odruchowo zasłonili genitalia rękoma i zaczęli się

rozglądać za odzieniem. Ich wstyd, ruchy na sztywnych, lekko ugiętych nogach, wszystko przywodziło na myśl Adama i Ewę w sekundę po zjedzeniu rajskiego jabłka i uświadomieniu sobie własnej nagości. Oglądający ich tłum parsknął śmiechem. Jeden dowcipniś zawołał: „Ale ciacho!”. Nawet osobnik jęczący na podłodze zajęczał jakby nieco weselej. Komisarze potoczyli po pomieszczeniu rozwścieczonymi spojrzeniami. Kazek nieco się rozluźnił, wskazał ręką za parawan.

– Tam są jakieś łachy. Ubierzcie się i pogadamy, może uda się coś jeszcze.

Gołe grubasy ruszyły we wskazane miejsce, gdzie rzeczywiście piętrzyły się stosy odzieży, głównie białe fartuchy i spodnie, ale przebłyskiwały również inne kolory i części garderoby. Wątrobowie zaczęli grzebać i przymierzać, wybrzydając przy tym jak emerycy na wyprzedazy w markecie. A to wypłowiałe, a to za małe, a to z pedalską lamówką. Stalowy był wyraźnie wzburzony tym niezdecydowaniem. Kopanie w odzieży trwało w najlepsze, śmigwały gołe półdupki, co rusz któryś podskakiwał na jednej nodze, przymierzając spodnie. Komisarze zaczęli nawet naśmiewać się nawzajem ze swojej tuszy i niezgrabności, choć byli przecież identyczni. W pewnym momencie jeden z nich odrzucił na bok jakiś mały przedmiot. Stalowy zerwał się jak oparzony. Podbiegł do nich za parawan.

– Coś tam wywalił?

Wątroba spojrział na Stalowego zaskoczony, odwrócił się i palcem wskazującym podniósł z kupy ubrań fatalaszek o dziwnym kształcie. Wyciągnął go do przodu, trzymając jak najdalej od siebie, i wykrzywił się z obrzydzeniem.

– Jakieś stare, obsrane, srebrne majtasy. Nie wiedziałem, że jesteś turpistą-fetyszystą, Kazek. Możesz je sobie zachować, mnie to nie podnieca.

Kazek przypadł do Wątroby stojącego z wyciągniętą ręką, szybkim ruchem wyciągnął nóż z kieszeni i ciachnął pulchny nadgarstek, tuż obok wcześniejszego skaleczenia. Wątroba odrzucił majty i cofnął rękę jak oparzony.

– Co jest? Pocięło cię?! Jak cię zaraz... – denerwował się, przykładając jakieś białe spodnie do krwawej linii. Stalowy tymczasem podniósł odrzucony fatalaszek i podał drugiemu Wątrobie. Ten z zadowoloną miną włożył swoje sławne na pół powiatu srebrne stringi.

– Widać nie wszystko skopiowali, szefie – skomentował Stalowy.

– Widać nie wszystko. Ale z tą Syreną i Chudym Bolem to lekko przesadziłeś. Skąd ty to wiesz? – Komisarz najwyraźniej nie zarejestrował swoich intymnych, pijackich zwierzeń sprzed lat.

– No właśnie, skąd ty to wiesz? A w ogóle żądam przeprosin za to idiotyczne znaczenie nożem. Nie jestem cieleciem na pastwisku! – wrzasnął drugi Wątroba.

– Ale Wątrobą też nie jesteś. Trzeba było jakoś was oznaczyć. Srebrne stringi to przecież jakby herb, znak szczególny komisarza...

– Zawsze myślałem, że charakterystyczną dla mnie cechą jest raczej szlachetna linia czoła... – Wątroba szczerze się zdziwił, ale zamilkł, zarejestrowawszy kpiący uśmiezek Stalowego.

Obaj komisarze dokończyli ubierania: jeden z nich był w płaszczu i kapelusiku, drugi w białym kitlu. Teraz wszyscy wiedzieli, który to komisarz, a przynajmniej tak zostało oficjalnie stwierdzone. O ewentualną pomyłkę Stalowy się nie martwił, sztuka jest sztuka, a poza zamiłowaniem do dziwacznej bielizny niczym się nie różnili. Wątroba omiółł spojrzeniem salę; skoro już wyjaśniło się, kto jest kim, przyszedł czas na inne sprawy. Zwrócił się do Stalowego:

– Co tu się działo? Co wy tu w ogóle robicie?

– No właśnie. Może jakieś wyjaśnienie – dorzucił sobowtór w fartuchu, ale zamilkł, zgaszony karcącym spojrzeniem Wątroby w płaszczu.

Stalowy pociągnął nosem, przybierając minę pod tytułem „wszystko jest pod kontrolą i twardy ze mnie gość”. Następnie rozpoczął opowieść. Zgrabnie przeszedł od swoich rozterek związanych z widokiem nagiego Wątroby w sali operacyjnej,

przez szyderstwa kolegów i walkę z lwami strzegącymi przejścia z tyłu instytutu, do zjazdu windą i nieznanego szpiega, który ich obserwował.

– Jechaliśmy, szefie, i jechaliśmy. Winda duża, ale wolna jak pani w okienku na poczcie. Buczała, zgrzytała, światło mrugało, a jak dodać do tego tę rozmytą facjatę za szybką to, rozumiesz szefie, straszno się zrobiło. Potem się okazało, że to pan Franciszek, ale wtedy tego nie wiedzieliśmy. Wreszcie żeśmy dojechali, stuknęło, sapnęło, podłoga się zakołysała, a nad łbami zaświeciła się czwórka. Wysiadka. Ostrożnie żeśmy tę klamkę przekręcili, bo kto to wie, co za drzwiami siedzi, ale tam nic, ciemno. To żeśmy poszli, łuna od otwartej windy biła, ale starczyło jej tylko na jakieś pięć metrów. No i przeszliśmy te pięć czy sześć metrów, nagle stuk, puk, drzwi się zamknęły i winda ruszyła w górę. Ktoś ją przywołał. Ja pitole! Ale żeśmy się zestrachali! Za zakrętem znaleźliśmy drzwi do tej sali. Otwarte. Zaglądamy, a tu wy, dwóch komisarzy, na fotelach. Różne przewody, rury i ustrojstwa z was wychodzą, a wokół tego wszystkiego kręcą się ci tam... – Machnął ręką na grupkę naukowców pilnowanych przez Franciszka. – A komenderuje nimi ten jęczydusza. – Wskazał postać na podłodze. Wątroba podszedł blisko, odwrócił typa na bok. Nowak. Leży i jęczy.

– Co mu jest? – Wątroba zainteresował się losem swojego oprawcy.

– A kij go wie, zaraz opowiem, jak było. Stoimy przy tej framudze, łby wystawiamy, żeby co zobaczyć, a tu czary-mary robią te chirurugi. Ten co teraz leży, łazi i rozkazuje: „Pełna moc, zwiększ ciśnienie, sprawdź temperaturę”. A te latają i robią, co im każe. I wtedy się zaczęło... – Spojrzał przeciągle na swoich kolegów. Marian i Pająk opuścili głowy zawstydzeni. – Ci idioci zaczęli się kłócić. Początkowo cicho, ale potem coraz głośniej. Że jakaś stała hoka, że jeden jest debilem, a drugi nieukiem, i różne tam wyzwiska oraz trudne naukowe nazwy. Ale żem się wkurwił! My tu na paluszkach, a ci drą ryje jak Indiańce. Potem zaczęli się tarmosić, ale tak, że ich zauważyli z pokoju. Ci biali to się z początku zestrachali, ale

ten jękoła jak nie wrzaśnie: „Brać ich!”. Czyli nas! To się zbiegli. To ja wziąłem i chwyciłem jakiś kij. Cud, że był. – Stalowy pokazał połamany kij od miotły, leżący na posadzce. – I zacząłem się oganiać. A te debile dalej się szarpią i wyzywają od najgorszych, i pewnie by nas zaciukali w tym podziemiu, ale... – zawiesił głos i spojrzał na potężnego portiera – ale Franciszek wyskoczył nagle z taką lagą! No i się biali rozbiegli. Tak się nas przestraszyli! A ten ich szefu, jak to zobaczył, we wrzask, żeby wracać, atakować, żeby się jakiegoś twora nie bać, bo on sztuczny i się go zaraz zlikwiduje. O co chodziło, nie wiem, aleśmy się nie poddali i bitwę dzięki mojej dzielnej postawie, no i pana Franciszka, wygrali. A tym patalochom za to, że mi takie jajo na czole nabili, to zaraz ten przewód z fotela wsadzę od tyłu, jak wyście mieli. Naukowce klótlive, zasrane, z Bożej łaski, popaprańcy z falami mózgowymi. – Stalowy skupił się na fatalnej postawie swoich kolegów, dzielnej walce swojej i pana Franciszka, ale wyraźnie ominął wątek jęczącego Nowaka.

– A on czemu tak jęczy? – Wątroba wrócił do tematu.

– A kto go wie, może się najadł czego albo... – Stalowy nie wiedział.

– On stracił osobę – wszedł mu w słowo Franciszek. Informacja ta, nic niemówiąca Wątrobie ani ratującej go trójce, podziałała na grupkę naukowców jak grom z jasnego nieba. Zaczęli szeptać między sobą i widać było, że jest to dla nich wielkie zaskoczenie. Bardzo niemiłe zaskoczenie. Wątroba w białym kitlu wbił w ziemię ponure spojrzenie – jak ktoś, kto rozumie wagę tej wiadomości i bardzo ją przeżywa.

– Co to znaczy? – spytał Wątroba w płaszczu. Ale pan Franciszek nie był skory do wyjaśnień; wyglądał, jakby żałował swoich słów. Jakby niepotrzebnie się wygadał. Zapadła posepna, niezręczna cisza. Wszyscy patrzyli po sobie, nie wiedząc co dalej.

– Może mi ktoś wyjaśni, co mu jest? Czemu się tak przestraszyliście? Kto to jest osoba? A on to kto? Zwierzę? – Wątroba w płaszczu toczył poirytowanym

spojrzeniem wokół, ale nikt z pracowników instytutu nie kwapił się z wyjaśnieniami. Wątroba w fartuchu dalej patrzył tępo w podłogę.

– Gadaj, co wiesz! Przecież jesteś mną, czemu masz coś ukrywać przed samym sobą? – Skierował pytanie wprost do swojego sobowtóra. Ten przełknął nerwowo ślinę i nie odrywając wzroku od podłogi, odpowiedział:

– To jest wtór. Nie jest osobą, tylko wtórem... – Z trudem przychodziły mu te słowa przez gardło.

– A ten tam wrzeszczał, żeby tego twora, czy jak mu tam, się nie bać. Czyli chodziło mu, żeby... – Stalowy zawiesił nagle głos i wbił podejrzliwe spojrzenie we Franciszka. – A ten stwór to właściwie kto?

– Daj mu dokończyć, Kazek – warknął Wątroba w płaszczu. – Gadaj dalej, co wiesz.

Wątroba w fartuchu chrząknął, powiódł niepewnym spojrzeniem po sali i kontynuował:

– Wtór to taki ktoś, co się nie urodził z kobiety, ale pochodzi od innej osoby.

– To niemożliwe, żebyśmy tyle lat pracowali pod wtórem! – zakrzyknął jeden z białych. – Przecież my jesteśmy osobami, wtóry są do brudnej, prostej pracy. Doktor Nowak nie jest wtórem, nie uwierzę w to nigdy! Wtór nami rządził? Panowie! To jakiś ponury żart! Absurd! – gorączkował się.

– Tak, tak, niemożliwe! Bujda! Ratujcie Nowaka! Zabić tego grubasa! Nie będzie nam wtór mówił co i jak! – Grupa weszła na wyższy poziom wzburzenia. Biali krzyczeli jeden przez drugiego, patrzyli z nienawiścią na Franciszka. Gdyby się go tak nie bali, to by go pewnie zabili.

– Spokój! – wrzasnął Wątroba w płaszczu. Grupa zamilkła. Komisarz podszedł do Franciszka.

– Ty też jesteś wtórem? – zapytał, patrząc mu w oczy. – I też nie masz osoby?

– Skąd pan wie? – niepewnym głosem odparł Franciszek.

– Za dużo było w tobie współczucia, kiedy mówiłeś, że Nowak stracił osobę. Sam to przeżyłeś, musiałeś to przeżyć. Chyba nawet wiem kiedy. Po ucieczce Malika, zgadza się?

Franciszek spuścił smutno głowę. Wątroba poklepał go po ramieniu.

– Ale chyba wreszcie znalazłeś kogoś, co nie? Nie jesteś już sam na świecie. – Wątroba spojrzał wymownie na Stalowego. Franciszek lekko się uśmiechnął i łypnął z sympatią na Kazka. Oczy Stalowego rozszerzyły się w przerażeniu.

– Szefie, no co szef, przecież ja nigdy... No co wy? Ja mam żonę, nawet kiedyś kochankę miałem. Ja bym nigdy... – Kazek tłumaczył sobie i innym, że nie jest wielbłądem. Marian i Pająk zarechotali wesoło.

– Nigdy nie mów nigdy, Stalowy. Świat się zmienia, dziś żona to niekoniecznie kobieta. Dobrze, że pan Franciszek ma dwie nogi i ręce. A poza tym uratował ci życie. Nie wiadomo, jak byś teraz wyglądał, gdyby nie jego odsiecz.

– No niby racja, fajny gość, wdzięczny jestem... Ale jakby co, to ze mną nic z tych rzeczy! – zastrzegł się Stalowy, uważając, żeby ani o milimetr nie zmniejszyć dystansu dzielącego go od dzielnego portiera. Marian i Pająk usiedli na betonowej posadzce, łkając i zwijając się ze śmiechu. Franciszek wpatrywał się rozanielonym spojrzeniem w Kazka, który właśnie zaczął się rozglądać za najszybszą drogą ucieczki.

– Pokażę panu drogę do wyjścia – zaoferował swoją pomoc.

– A dziękuję, poradzę sobie, dziękuję. – Kazek cofnął się, nie dopuszczając grzecznego portiera nawet na krok. Marian i Pająk prezentowali właśnie na posadzce popisową stonkę ze śmiechu.

– Co to za gadki szmatki?! – wzburzył się jeden z białych. – Doktor Nowak cierpi, a wy tu się jakimś zasranym wtórem zajmujecie! Franciszek, podnieś doktora! Ale to już! A jak nie przestaniesz bajdurzyć z tymi przybłędami, to cię tu zaraz ustawimy! Za dobrze miałeś u nas!

– Tak jest! Za dobrze! Do roboty! – ozwały się głosy z grupy naukowców.

– Tacy jesteście mądrzy? Tak kochacie doktora? – Franciszek odwrócił się z wściekłą miną. Obok niego stanął Wątroba w białym fartuchu; najwyraźniej chciał pomóc koledze, czuł z nim pokrewieństwo. Zerkał tylko w stronę Wątroby, czy ten go nie skarci. Ale komisarz ani myślał interweniować. Nie lubił białych typków za to, co chcieli mu zrobić. Naukowcy cofnęli się, prezentując przestraszone twarze i niepewne ruchy. Pewnie łudzili się przez chwilę, że akcja sprzed godziny to był przypadek, że zaraz wszystko wróci do normy.

– Chcecie wiedzieć, kim jest wasz Nowak? Wasz drogi doktor Nowak! Chcecie wiedzieć, komu oddaliście wasze zasrane, zmutowane życia? Za czyją sprawą odebrano was rodzinom, bliskim, światu?! Chcecie? To wam pokażę! – Podbiegł do jęczącego doktora, podniósł z ziemi nóż, który zgubił Stalowy Kazek, i zamachnął się na Nowaka. Biali jęknęli ze zgrozą. Franciszek jednak nie wbił ostrza w serce lub inny ważny narząd. Celował w udo, a potem pewnym ruchem pociągnął w dół, rozcinając skórę i mięśnie od miednicy do kolana.

– Błeee! – wzdrygnął się Wątroba. – A to brutal!

Nowak wydał lekkie westchnienie, zdecydowanie za słabe jak na człowieka krojonego żywcem. Franciszek wstał, odwrócił się do białych i ręką wskazał swoje dzieło.

– Proszę, panowie osoby, oto wasz kochany doktor Nowak!

Naukowcy lękliwie, krok po kroku, zbitą grupą, zbliżyli się do leżącej postaci. Ze zdumieniem, a nawet z osłupieniem wbili wzrok w rozkrojone spodnie. Rana nie krwawiła, wyglądała jak pęknięcie w gąbce – materia nogi nie była ciałem.

– Wtór, rzeczywiście – jęknęli. – I to starego typu!

Wątroba jako znawca duszy ludzkiej mógł teraz obserwować całą gamę negatywnych uczuć malujących się na ich twarzach. Niedowierzanie, strach, przerażenie, wściekłość. Franciszek zaczął wrzeszczeć:

– No i co? To, co tworzycie, może wami rządzić, może was ustawiać po kątach, może was nawet zabić! Bo dopóki myślicie, że to ktoś inny, poddajecie się. A gdzie wasza przyzwoitość, wasze piękne, mądre dusze? I gównu wam do tego, czy ktoś jest osobą, czy wtórem. My żyjemy i nie będziemy wyłącznie waszymi psami, będziemy równi innym ludziom.

Biali, milcząc, wpatrywali się w portiera; znali go przecież, wiedzieli, skąd się wziął, jak został stworzony. Znali też jego historię. Ale ewolucja, jaką przeszedł od momentu stworzenia, poraziła ich. Była to raczej rewolucja! I pewnie każdy z nich pomyślał o setkach, a może tysiącach postaci rozsianych po świecie.

– O ja cię... Bunt wtórow! – jęknął jeden z naukowców. Pozostali potoczyli po sobie przerażonym wzrokiem. Chyba do nich dotarło, że świat, w którym żyli, i który tworzyli, właśnie się rozpada, że wszystkie normy i prawa straciły znaczenie. Nagle jeden z nich wyrwał się z grupy i dopadł do drzwi po drugiej stronie sali. Franciszek popędził za nim, zaczął się szarpać z klamką, ale uciekinier musiał przekręcić zamek. Spojrzał pytająco na wtóra Wątroby, ten kiwnął przyzwalająco głową. Franciszek wziął krótki rozbieg i wyłamał drzwi, jakby były wykonane z kartonu.

– Ho, ho, ho. Wygląda na miśka, ale pałer ma jak Bolek po *Wykopie!* – z podziwem szepnął Marian.

W pokoju obok zbieg-naukowiec wrzeszczał coś do telefonu. Chyba próbował wezwać posiłki, ale nie mógł się dogadać. Franciszek wyrwał mu słuchawkę i odepchnął go. Pozostali biali zaczęli się tłoczyć i awanturować przy wyłamanym drzwiach. Zrobił się zamęt i wrzask.

– Spokój! – krzyknął Wątroba w fartuchu. – Nie ma żadnego buntu. Są jedynie rozsądne roszczenia w słusznej sprawie. Obcy wyjść! Przejmuję kierownictwo nad obiektem! Franciszek, żadnych ostrzejszych akcji. Panowie pod ścianę.

Wszyscy zamilkli, wpatrując się w Wątrobę-wtóra, który z kolei spojrzał na oryginał.

– „Musisz iść, nic tu po tobie. Może być gorąco”. – Wymiana zdań odbyła się chyba telepatycznie, bo inni nic nie usłyszeli.

– „No to idę”. – Wątroba również nie musiał otwierać ust, żeby odpowiadać. – Panowie, zwijamy się! Komu słoneczko i spocone baby miłe, ten za mną. Katakumby dla mutantów! – rzucił już na głos do Stalowego, Pająka i Mariana.

Sytuacja rzeczywiście nieco przypominała mikrozamieszki, więc ławeczkowa trójca zaczęła się wycofywać za komisarzem w kierunku windy. Franciszek jeszcze pomachał na pożegnanie Stalowemu, ten odmachnął z kwaśnym uśmiechem. Winda świeciła przez zbrojoną szybę znajomym mdłym światłem.

– Poziom zero, proszę – zakomenderował Wątroba, gdy weszli do środka.

– Z przyjemnością. – Marian wcielał w życie trudną sztukę kierowania dźwigiem osobowym. Wytarte linoleum podłogi cieszyło jak pełna butelka *Wykopu*. Kabina drgnęła i ruszyła wolniutko w górę, bucząc i kołysząc się.

– No i co, Stalowy, miło mieć wtóra, co? Zawsze to pomocna dłoń i bratnia dusza, a jak klucz do domu zgubisz, to jedno uderzenie pana Franciszka rozwali drzwi w drzazgi. No i chyba zaoszczędzimy na kosztach pogrzebu. Tu mają taki miły cmentarzyk na najniższym piętrze. Wiele kwaterek jest jeszcze wolnych.

– Szefie, ale ja nic a nic z tego nie kapuję. Niech se tam robią jakieś, tfu, mutacje wstrętne. Stwory, twory, osoby. Ale co ja mam do tego... do tego, mhm, gumowego ciecicia? Co on ma do mnie?!

– A nie pamiętasz, jak się do niego kleiłeś, tam pod głównymi drzwiami? Jak gadałeś, że erekcja i dyfrakcja? Dla ciebie to niewinny flirt, a tamten wziął sprawę serio. Wyposzczony w tym zamczysku, więc bierze każdy towar, jaki się nawinie. – Marian dogadywał Kazkowi, puszczając oko do Pająka i Wątroby, którzy parsknęli śmiechem. Stalowy spurpurowiał, ale nic nie powiedział. Fakty były przeciwko niemu.

Winda osiągnęła parter; pobiegli w kierunku małego wyjścia pod lwami. Z oddali niosło się echo głosów i tupot nóg. Przyspieszyli. Pod drzwiami na klatkę schodową wszyscy się zatrzymali; pamięć trójki kamratów o groźbie za drzwiami była jeszcze świeża. Patrzyli jeden na drugiego, żaden nie śmiał złapać za klamkę. Z drugiej strony było jednak cicho. Umilkły pomruki, ustało drapanie pazurami w dechy.

– No co jest? Idziemy czy gapimy się na siebie? – Wątroba nie rozumiał, w czym tkwi problem. Nacisnął klamkę, drzwi otwarły się, prezentując ciemne wnętrze. Tupot nóg i ludzkie krzyki jakby się nasiliły, trzeba było uciekać. Czym prędzej zagłębili się w ciemność. Linie, widoki i odgłosy zaczęły wskakiwać na swoje miejsca – Wątroba przypomniał sobie to przejście. Tętent wielu goniących go stóp i to przejście, które i tak go nie uratowało. To było wtedy, kiedy siedział w głowie Malika. A teraz po wyrwaniu się ze śmiertelnej pułapki w piwnicy, wpada w kolejną matnię. Wygląda identycznie jak wtedy i stanie się jeszcze raz. Biegli po schodach, jeszcze zakręt i ostatnie prosta do wyjścia na zewnątrz. Na górze ktoś otworzył drzwi. Wiedzieli, którądy uciekają!

Nagle stanęli jak wryci. Przed wrotami stoi kamienny, naturalnej wielkości lew. Warczy, gotując się do skoku, szczyry kamienne kły, kamienne muskuły prężą się pod kamienną skórą. Nie wiedzieli, co robić. Usłyszeli jakiś hałas na schodach. Pościg pewnie jest już blisko! Wątroba przełknął nerwowo ślinę, wyciągnął rękę w kierunku zwierzęcia i wrzasnął:

– Do domu, ale już!

Lew potoczył zdumionym spojrzeniem i zaczął się kurczyć jak balonik, z którego ulatuje powietrze. Wkrótce również latał jak balonik, wirując nad ich głowami. W końcu osiadł jako płaskorzeźba na portalu i wlepił kamienny, zawiedziony wzrok w ścianę. Pobiegli dalej. Odgłosy pogoni rozlegały się już na półpiętrze. Cała czwórka w pośpiechu przedarła się przez krzaki i pognała aleją.

„Tak jak wtedy. Ale... kto mi tu coś zrobi? Jestem bezpieczny, na miejskim placu, w Polsce. Jestem policjantem” – myśli przelatują przez głowę Wątroby, który uciekał, rejestrując kolejne elementy tego *déjà vu*. Kroki goniących, oblepiająca wszystko mżawka, kruki melancholijnie wpatrzone w kałuże.

– Teraz w lewo. – Pobiegnął tam, choć powinien w prawo, choć wiedział, że tu zaraz wytoczy się z za zakrętu tramwaj. Jednak ten wybór wydawał mu się oczywistością. W prawo droga była nieprzyjazna, jakby zamknięta. Biegna jak po sznurku, prosto w pułapkę. Po co biega, skoro wiadomo co się wydarzy? Okrążany budynek instytutu wyglądał jak gigantyczny starzec palący fajkę i obserwujący wygasłym wzrokiem zabawy i igraszki młodzieży. Dobrze wie, że to wszystko już kiedyś było, że młodzi się zestarzeją, starzy umrą, a los musi się dopełnić. Tramwaj rzeczywiście wytoczył się z za zakrętu. Wątroba widział przystanek. Nadzieja mimo wszystko zaświtała mu w głowie. Zdaży, na pewno zdaży. Był już blisko, tramwaj zwalniał. Jakiś obły kształt wystawał z za niego. Maski czarnej limuzyny. Słyszy przekleństwa motorniczego, słyszy klekotanie wielu kroków. Jednak nie zdażył.

– Szefie, czego tak pędzimy? Stało się co? – Głos Stalowego wyrwał go z pełnego rezygnacji otepienia. Rozejrzał się wkoło. Stali na pustym placu. Wiatr przewalał papierki. Nikogo nie było, tylko te czarne ptaszyska. Skąd ich tyle w centrum miasta? Ale poza tym pusto, po bokach placu pojedynczy przechodnie. Deszcz jakby przestawał kropić. Obok stare, zaniedbane tory tramwajowe. Tak pogięte i uszkodzone, że nawet laik w sprawach technicznych uznałby, że nie nadają się do użytku.

– Jechał tędy jakiś tramwaj? – spytał na wszelki wypadek.

Ci spojrzeli na siebie, nic nie mówiąc, by nie urazić komisarza, ale ich miny były aż nadto wymowne.

– I rozumiem, że nikt nas nie gonił?

Panowie znowu wymienili znaczące spojrzenia i chrząknięcia.

– Idziemy! Nie lubię tego miejsca.

I wszyscy rażno ruszyli przed siebie, oddalając się od schodów zakończonych dwoma potężnymi kolumnami w kształcie wojów wspartych o miecze.

Przekleci performersi i *delirium tremens*

Przełazłszy wielki plac przed instytutem, podeszli do skweru, gdzie w plątaniu kolczastych chaszczy kryło się zamaskowane „czoło diabła”. W pobliżu kręciła się grupka ludzi, wiatr niósł strzępy ich wzburzonych rozmów, w trakcie których żywo gestykulowali. Wątroba poprosił Stalowego i resztę, żeby poczekał za drzewami. Sam doszedł alejką aż do skweru; był pewien, że ta awantura ma coś wspólnego z Malikiem. Nie mógłby odejść spokojnie bez sprawdzenia, o co chodzi. Jakby co: jest przygodnym spacerowiczem. Wychylił głowę zza krzaka. Na głównym placu zobaczył dwóch policjantów spisujących coś w notatniku. Obok stał jeden z autochtonów w kurtce skóropodobnej i dresie; wrzeszczał głośno, wskazując na ziemię. Obok na ławce siedział drugi i wyglądał, jakby był w ciężkim szoku: nieruchomy wzrok, lekkie kołysanie ciała. Wątroba widział już takie reakcje – brał kiedyś udział w akcji po wypadku. Obok na ziemi leżały ubrania wymieszane z czymś jasnym. Wątroba wychylił się mocniej, żeby zobaczyć, co to takiego, ale z tej odległości identyfikacja była niemożliwa. Postanowił przespacerować się obok, niby przypadkiem.

Wyszedł zza zakrętu i pospieszył do głośnej grupki. Kiedy zbliżył się na trzy metry, od niechcienia rzucił okiem na leżące rzeczy... Aż mu dech zaparło w piersiach! Oprócz ubrania dostrzegł jakby fragmenty pociętego manekina wykonane z czegoś przypominającego gąbkę. Ale najbardziej makabryczny widok tworzyła porzucona obok kapelusza maska. Wątroba pomimo zniekształcenia materiału od razu rozpoznał sympatycznego staruszka wołającego: „taś, taś”, co go tak zafrapowało, że zapomniał o roli przygodnego spacerowicza. Zamarł, otwarcie obserwując porzucone ubranie i elementy ciała. Jeden z funkcjonariuszy odwrócił się; prawdopodobnie chciał odgonić gapia, ale zobaczywszy Wątrobę, tylko trącił swojego kolegę łokciem.

Komisarz poznał ich: to była para funkcjonariuszy z nocnego patrolu, którzy spierali się, czy jest rzeźbą, czy człowiekiem. Konfrontacja była nieunikniona. Wątroba postanowił działać pierwszy.

– Co tu się dzieje? Komisarz Wątroba. – Wyciągnął legitymację, którą miał przez cały czas w wewnętrznej kieszeni płaszcza i w ferworze klonowania nikt jej na szczęście nie zgubił.

Zatkało ich. Przez kilka sekund wyglądali bardzo podobnie do zszokowanego tubylca na ławce. W końcu niższy oprzytomniał.

– Melduję, że mamy zgłoszenie. Choć to raczej wygląda na kawał, ale...

– Do konkretów! – huknął komisarz. Grunt to brutalny autorytet, przewaga w słowach i masie ciała.

– Ten pan... – Wskazał ręką na zeznającego pijaczka, krzywiąc twarz w grymasie, który wyraźnie mówił, że tytułu „pan” użył jedynie dla zachowania poprawności politycznej, bo prywatnie nigdy nie nazwałby takiego typu panem. – Ten pan twierdzi, że siedzący tu na ławce starszy człowiek nagle się zerwał, wrzasnął: „Masz za swoje, potworze”, a następnie zaczął, cytując: „obłazić”. Zrzucił ubranie i skórę z całego ciała, i okazało się, że pod tą warstwą ukrywa się inny facet. Powrzeszczał podobno jeszcze chwilę, a potem pobiegł tą ulicą, krzycząc: „wolny, wolny”. Akurat przechodziliśmy kilka chwil później, to nas przywołali. A ten tam nie może ze zdenerwowania wykrztusić ani słowa.

Policjant zawiesił głos i spojrział na Wątrobę, sondując, jakie wrażenie zrobiła na nim ta opowieść. Komisarz skrzywił się z niesmakiem.

– Pijackie brednie. Człowiek to nie wąż, żeby zrzucać skórę. Weźcie ich na izbę.

– A to, skąd się to wzięło? – Posterunkowy wskazał na ubrania i resztki ciała.

– Może jakiś performance tu był i naśmiecili. Teraz pełno tych zboczonych niby artystów, którzy narzygają na szmatę i mówią, że stworzyli dzieło. Wyrzucić do kubła i spokój.

Funkcjonariusz, niezbyt przekonany do wersji komisarza, westchnął bezradnie.

– Na izbę nie możemy, panowie są trzeźwi – powiedział ze zdziwieniem. Nie mógł uwierzyć, że ktoś taki może w ogóle, choć na krótko, przechodzić do stanu trzeźwości.

– Hm. Czyli delirium – zdiagnozował Wątroba. Policjanci zrobili miny potwierdzająco-zaprzeczające; znali się na prewencji i mandatach, a nie na chorobach. Wątroba sięgnął za pazuchę i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni ulotkę *Delirium tremens i co dalej?*, którą dostał onegdaj od Stalowego. Wątroba lubił ją studiować w wolnych chwilach, ale najwyraźniej nadszedł czas, żeby podzielić się wiedzą z potrzebującymi.

– Przyjaciele, poczytajcie sobie i nie pijcie więcej. Wasze życie może być lepsze. A jak chcecie mieć wizje, to kupcie sobie kablówkę, podobne teraz są niesamowite promocje. – Wątroba wręczył książeczkę zdumionemu autochtonowi.

– A wam dziękuję, koledzy, za zaangażowanie. Proszę o notatkę z zeznania, nadam sprawie bieg, o was również wspomnę w raporcie. Na szczeblu powiatu – mocno zaakcentował ostatnie zdanie.

Rozanieleni policjanci wyrwali kartkę z notatnika i wręczyli Wątrobie. Głupia interwencja w terenie mogła zaowocować awansem. Twarze posterunkowych promieniały. Wątroba podziękował i zaczął się pospiesznie oddalać. Widział kątem oka, jak dwóch autochtonów z wypiekami wczytuje się w treść przekazanej lektury, która mówiła wyraźnie, że takie przywidzenia to normalka i nie ma co panikować. Już miał skrócić w alejkę, kiedy usłyszał wołanie jednego z mundurowych:

– Panie komisarzu, panie komisarzu!

Odwrócił się; podeszli do niego z niepewnymi minami.

– Bo mamy jeszcze pytanie... – zaczął ten wyższy, ale najwyraźniej jedynie na tyle starczyło mu śmiałości; trącił łokciem kolegę, żeby ten wyartykułował nurtujące ich wątpliwości.

– Bo nam się wydaje, że my już pana kiedyś... – drugi też urwał w połowie zdania.

W końcu wspólnymi siłami wydukali swoje troski i podejrzenia. I już po chwili, poprowadzeni ojcowskim ramieniem komisarza i jego mądrą radą, zasiedli wraz z autochtonami do lektury ulotki. Bez wątpienia to musiało być przywidzenie. Tak, należy ograniczyć konsumpcję alkoholów wysoko i niskoprocentowych. Być może krótki pobyt w policyjnym sanatorium w Ciechocinku ukoi ich skołatane nerwy.

Wątroba oddalił się, co rusz sprawdzając, czy siła jego argumentów nie przestała działać na dociekliwych kolegów. Ale ci z przejęciem studiowali objawy *delirium tremens* i z przerażeniem odkrywali u siebie wszystkie stadia, aż po te najcięższe. Po drodze stwierdził, że postać na postumencie również można było przypisać nieznanym, szalonym performerom, którzy tak wystraszyli pijaczków. Innymi słowy, na każdą sytuację znajdzie się wyjaśnienie. Grunt to nie pękać.

Notatka i nadzieje dzielnych posterunkowych na awans szybko wylądowały w koszu, a ławczkowa trójca wraz z komisarzem powędrowali zgodnie do domu.

Szpital

Następnego dnia w komisariacie znów natknął się na dyżurnego, odwlekającego w nieskończoność otwarcie okienka dla petentów. Mętny, niewyrażający niczego wzrok przegranego człowieka wbił w ścianę z plakatem „Policjant Twój przyjaciel”. W radiu, jak zwykle, zawodziły złote przeboje, raport leżący dla zamaskowania nicnierobienia lekko się już zakurzył, a herbata dawno wystygła.

Komisarz ledwo usiadł przy biurku, został zaatakowany przez Chwiejczaka.

– Znowu dzwonił ten pan doktor z uniwersytetu.

– Dziękuję, Chwiejczak.

Posterunkowy jednakże nie odchodził, wyglądał, jakby ważył coś w myślach, coś nie dawało mu spokoju.

– Bo pan, panie komisarzu, to w ogóle nie ma ducha zespołowego... – zaczął, zacinając się. Wątroba podniósł zdumiony wzrok na podkomendnego.

– Bo pan to tylko: idźcie tam, sprawdźcie to, dziękuję. I nic więcej. Dzwonią jacyś doktorzy z uniwersytetów, że mają nowe informacje o tym naukowcu Stalina. Jak mam się zajmować Stalinem, Bierutem, albo innymi starymi historiami, to chcę wiedzieć coś więcej.

Wątroba podrapał się w wygoloną czaszkę, chrząknął. Wolał mieć Chwiejczaka po swojej stronie.

– No dobra, siadajcie. Może kawki?

Po kilkunastu minutach Chwiejczak wyszedł bardzo smutny i zdenerwowany. Znowu sobie komisarz z niego jaja robił. Chciał pomóc w śledztwie, i to skutecznie, ale powinien wiedzieć, o co chodzi. A tu takie bajdurzenie. Przecież nikt nie uwierzy w jakieś bajki o cmentarzach pełnych sklonowanych ludzi!

Tymczasem Wątroba zadzwonił do Sławka.

– Nie wiem, skąd wytaszczyłeś tego Nowaka, ale sprawa Marlekoniewa to ostatnio dość głośna afera w Rosji. Oczywiście w konkretnych, historyczno-plotkarskich kręgach. Mam przyjaciół w Moskwie, którzy na wieść, że ktoś zajmuje się tu Marlekoniewem, aż oniemieli. Otóż okazało się, na podstawie znalezionych dokumentów, że Marlekoniew wcale nie zniknął z polecenia władz. On zniknął sam, najprawdopodobniej uciekł z wynikami swoich badań. Historia z likwidacją jego laboratorium, pogłoski, że on i jego współpracownicy stracili zaufanie Stalina i zgodnie ze standardem epoki ponieśli karę, była przykrywką dla bezradności władz. Podobno wszędzie go szukali, w USA, w Chinach, w Niemczech Zachodnich. Innymi słowy wszędzie, gdzie mogliby chcieć uciec radzieccy naukowcy. Ale nie znaleźli. Z rosyjskich notatek wynika natomiast, że Nowak został wydany z zespołu Marlekoniewa kilka lat wcześniej. Na życzenie samego Marlekoniewa. W uzasadnieniu napisał, że nie widzi możliwości współpracy ze względu na niezgodność charakterów. Uzasadnienie zostało tak sformułowane, że nie szkodzi karierze naukowej ani nie rzuca cienia na polityczną lojalność Nowaka, jedynie sugeruje, że się pokłócili. Z adnotacji oficera KGB przy Akademii Nauk Społecznych przy KC KPZR, gdzie wówczas byli oficjalnie zatrudnieni, wynika, że towarzysz Nowak zakończył staż szkoleniowo-polityczny i otrzymał zadanie przekazywania zdobytych doświadczeń towarzyszom w swojej ojczystej Polsce, gdzie zostanie przeniesiony w trybie natychmiastowym. Wykopali go po prostu. Ale nieoficjalnie mówiono, że Marlekoniewa wsparł Nowak przy urządzaniu się w Polsce, co również nie było niczym dziwnym, bo wyglądało jak małe zadośćuczynienie za dużą krzywdę. Wiesz, co Rosjanie mówią o Polsce: „kura nie ptica, a Polska nie zagranica”. To było wygnanie na prowincję. Do małego, satelickiego kraju, gdzie nic się nie działo bez przyzwolenia dużego brata. Ale niedawno ujawniono wiele dokumentów władz komunistycznych w krajach demoludu, między innymi w Polsce. Tony donosów, decyzji, zeznań, teczek, zachomikowane skarby epoki, no i te

najnudniejsze: dokumenty bieżące, księgi przychodów i rozchodów, kilometrówki samochodów służbowych. I właśnie w takiej kilometrówce służbowej limuzyny Polskiej Akademii Nauk zupełnie przypadkiem odnaleziono wpis, że dnia takiego i takiego, o godzinie takiej i takiej odbył się kurs na dworzec Warszawa Wschodnia, po gościa doktora Nowaka. Data zgodna z ostatnimi godzinami pobytu Marlekoniewa w Moskwie. To niewiele, ale sugeruje, że być może Nowak i Marlekoniew nie stracili kontaktu. I może jego droga ucieczki wiodła przez Polskę. Ale na tym koniec, to wszystko, nie znaleziono więcej żadnych śladów. Słuchaj, jeżeli masz dostęp do dokumentów o Nowaku, to podjechałbym. Wyjaśnienie, choćby częściowe, takiej sprawy to byłoby coś, prawdziwy naukowo-historyczny kąsek.

Sławek nie proponował już, że przyśle studentów; temat podrzucony przez Wątrobę był na tyle atrakcyjny, że nie chciał mieć żadnych pośredników. Już się widział w roli eksperta na kanale TVP Historia albo na sponsorowanych konferencjach.

– Tak, tak. Mam tu jakieś notatki, ale muszę je najpierw sprawdzić, wykreślić z materiału dowodowego. To wszystko, oczywiście, po zakończeniu śledztwa i... okresu kwarantanny przeciw matactwom – Wątroba wymyślał na poczekaniu. – To będzie za jakie trzy, cztery lata – dodał grobowym głosem.

– Tak szybko? – zdziwił się Sławek. – Ochrona przed matactwem historycznym to minimum dziesięć lat. Ech, ten współczesny pośpiech, zwariowany świat.

Powzdychali sobie przez chwilę razem nad szaleństwem obecnych czasów. Pogadali jeszcze o starych znajomych, kto się roztył i zbrzydł. Wątroba nie wspominał o swoim obwodzie ciała. Sławek nie musi wiedzieć, że gada ze stuczterdziestokilowym pulpetem. Pożegnali się obietnicą utrzymania kontaktu.

Komisarz zamyślił się. Czyli Marlekoniew uciekł do Polski, został tu i zorganizował półlegalne badania. A Nowak? Czyżby był tylko fikcyjną postacią wymyśloną dla potrzeb zniknięcia Marlekoniewa? Dlaczego dał się zamknąć w

psychiatryku? Wątroba przypomniał sobie jego ładny pokój, park z wiekowymi dębami, rozchelstaną pielęgniarkę pod panem doktorkiem. On się tam schował, wygodnie urządził, a jednocześnie przeprowadzał swój największy i najdłuższy eksperyment: przeniesienie swojego życia na kogoś innego. Wtedy stanął mu przed oczami obraz zwijającego się z bólu i rozpaczony Nowaka. Stracił osobę, tak mówili. To znaczy, że Marlekoniew nie żyje. Musiał umrzeć podczas eksperymentu z Wątrobą i najprawdopodobniej właśnie dlatego komisarz wyszedł z tego cały, nie licząc przewodów wetkniętych tu i ówdzie.

Zerwał się z miejsca i popędził do drzwi. Musi sprawdzić, co się stało w szpitalu. Po drodze minął Chwiejczaka, którego wzrok jasno komunikował, że uważa Wątrobę za bumelanta-gawędziarza i gdyby to od niego zależało, dałby mu niezły wycisk przy pisaniu protokołów. Wątroba przeszedł również koło dyżurnego zapisującego jedno z pierwszych zgłoszeń; do uszu komisarza dotarły strzępy opisu wydarzenia. Jakiś nagi, nienormalny staruszek, jakieś śpiewy i tańce na placu przed urzędem gminy. Uwolniony Malik pasował jak ulał. Ale Wątroba nie miał na to czasu. Teraz musi lecieć do Marlekoniewa.

Droga przez stary park, pierwsze jesienne liście, patyki, żołądź, kasztany; Wątroba szedł, kopiąc co chwilę jakiś odpad natury. Stuletni, posepny budynek wyłania się zza drzew; po kilku krokach góruje już bardzo wyraźnie nad okolicą. Przed głównym wejściem stoi czarna limuzyna kombi. Wokół kręcą się smutni panowie. Komisarz z daleka zobaczył, że wpychają coś podłużnego do samochodu. Podeszedł bliżej i zanim zatrzasnęli klapę, zdążył jeszcze zauważyć, że podłużny kształt to metalowe pudło. Jakby trumna. Smutni, nie zwracając na niego uwagi, wsiadają pospiesznie do drugiego samochodu. Trzask drzwi i szum silnika. Komisarz był prawie pewien, że widział już ten pojazd. W pamięci zafalował obraz wychylonego przez okienko tramwaju motorniczego i jego przekleństwa rzucone w kierunku czarnego samochodu. Czarnego jak smutny, zmoknięty ptak. Wątroba

odprowadził wzrokiem odjeżdżający kondukt, po chwili wszystko ucichło. Kilka kruków, kracząc, zerwało się do lotu i poszybowało w tym samym kierunku co samochody. Kiedy zmieniły się w małe punkciki nad drzewami, odwrócił głowę w stronę budynku. W oknach nad wejściem tłoczyli się ciekawscy, ale gdy tylko zorientowali się, że są obserwowani, zniknęli w szarości tła. Wątroba pchnął drzwi i wszedł do szpitala.

– Pan do Nowaka? – Doktor nie był dziś w nastroju do erotycznych ani do żadnych innych igraszek. – Nie żyje, umarł wczoraj. Atak serca.

– Gdzie zostanie pochowany? Jaka jest procedura?

Pytanie bardzo rozdrażniło doktora.

– Procedura jaka jest, taka jest. Ciało zostało zabrane. Dziś, przed chwilą. A pan to kto, przepraszam?

Komisarz pokazał legitymację. Mina doktora mówiła jasno, że nawet jeżeli mają procedurę, to w tym przypadku jej nie zastosowano.

– Przyjechali po niego.

– Kto?

– A ja, panie, wiem kto? Pokazali dokument z pieczęciami, że mogą go zabrać, to wydałem ciało.

– Powiadamialiście już kogoś o zgonie?

– Nie. – Mina doktora wskazywała, że jest bardzo zdenerwowany. Wyglądał, jakby właśnie zdał sobie sprawę ze swoich zaniedbań. Pacjent dojechał jedynie do szpitalnej kostnicy, skąd zabrali go ludzie widziani przez Wątrobę; a oficjalne pismo o śmierci pacjenta nie dotarło jeszcze do ordynatora, choć było to wymogiem prawnym.

– Co to były za pieczęcie? Skąd oni byli?

– A ja wiem skąd!? Z jakiegoś urzędu czy instytutu. Zgoda była, to wydałem. Papier podpisałem, jestem czysty. – Do doktora dotarło, jak bardzo nie jest czysty w tej sprawie. I byle gliniarz może się go czepiać.

– A oni podpisali coś?

– Panie! Proszę wyjść! Nowak nie żyje i przejęła go kompetentna instytucja, więc pytaj pan o wszystko tę instytucję. Co mnie do tego? Czego wy ode mnie chcecie?! Przestańcie mnie dręczyć! – Prawie wypchnął Wątrobę z gabinetu i zatrzasnął drzwi.

Pusty, pomalowany beżową olejną farbą korytarz, kamienna, wytarta tysiącami kroków podłoga. Cisza. Jedyne w tle co jakiś czas ryk, jakby ktoś świnie zarzynał. Poza tym spokój.

– Pst. Ee, panie grubszy. – Zza załomu ściany wychynał Mietek. – A to się nasz konował wzburzył. Nieźle go pan trafiłeś.

– A, to ty. Co tu się działo? Co z Marlekoniewem?

– Marlekoniew poszedł na wieczne łowy. Dość się już namęczył w tej budzie. – Mrugnął porozumiewawczo do komisarza.

– Masz z tym coś wspólnego? – spytał Wątroba, widząc uradowaną gębę Mietka, który dawał do zrozumienia, że przynajmniej częściowo to jego sprawka.

– Ja? Ależ skąd. Serce nie sługa, samo stanęło. U takiego dziadka to nic dziwnego. Pooglądał se filmów, tego, no, erotycznych. Pobudził się i pompka nie wytrzymała. Jak nic innego nie staje, to chociaż serce może.

– Aha – zrozumiał Wątroba. – A coś mu tam puścił?

– Brazilian transwesti hard kor, czy jakoś tak. Mocna rzecz. To chłopaki chyba lubią najbardziej.

– Aha – wydukał Wątroba, nie wiedząc, czy ma podziękować swojemu wybawcy, czy raczej opierdolić za znęcanie się nad staruszką. W końcu nic nie powiedział.

– Ale pan to się zainteresowałeś tym Marlekoniewem, że stwierdziłem, iż na pewno chciałbyś przejrzeć jego papiery.

– Jakie papiery?

– A różne. Miał chłop taką jakby skrzynię-archiwum. Widzę, że biedaczyna kojfnął, to zabezpieczyłem, żeby się nie straciły. A ci czarni, smutni, co przyjechali, to szukali ostro. O, jak szukali. Wściekli jak osy, w każdy kąt zajrzeli. Ale nic nie znaleźli. A ten doktorek tylko biegał wokół nich i się zaklinał, że nikt niczego nie ruszał.

– Ten doktorek, który nie wie, kto go zabrał?

– Ten sam, niezorientowany biedaczyna.

– Sprytny jesteś. Gdzie te papiery?

– Zaraz, zaraz. Filmoteka nam się trochę znudziła. Przydałoby się coś nowego.

Wątroba zrozumiał ofertę. Mietek dorzucił do listy zamówieniowej jeszcze kilka kategorii i umówili się na wieczór.

– A jakby kto pytał na portierni, kto ty jesteś, to powiedz, że masz rozmowę kwalifikacyjną z ordynatorem na dyżurze nocnym.

– Uwierzy ktoś, że ordynator przyjmuje na nocnym dyżurze?

– Racja. No dobra. Powiesz, że nie masz tej rozmowy, to na pewno cię wpuszczą.

– Na pewno – mruknął Wątroba, który był pewien, że go wpuszczą, jeżeli tylko nie zastosuje się do rad Mietka.

Kilka godzin później Wątroba znów pojawił się w spowitym zmierzchem przyszpitalnym parku. Na ramieniu dyndała dość sporych rozmiarów torba, gdzie spoczywały zapasy rozrywki dla Mietka i jego kompanii na nadchodzące jesienne wieczory. Komisarz podszedł pod budynek, zakukał. Po chwili wychyliła się jakaś

głowa, w szarość wieczoru poleciały słowa: „Poczekaj chwilę”. Za kilka sekund koło Wątroby wylądowała końcówka znajomej liny.

– O nie! Tym razem inaczej się pobawimy – syknął przez zęby. Spodziewał się takiego obrotu sprawy, ale nie da się zrobić tak jak ostatnio. Zacisnął mocny węzeł na nodze ławki stojącej dotychczas spokojnie pod szpitalnym murem. Co prawda Wątroba nie był piórkiem, ale ławka, składająca się z dwóch żelbetowych nóg i solidnych dech wzmocnionych kilkoma stalowymi profilami, wyglądała na dużo cięższą. Kuknął na znak gotowości. Lina się naprężyła, ławka ani drgnęła. Wątroba syknął ponagląjąco, lina znów się naprężyła i kanciasty kształt uniósł się w powietrze.

– Jak macie tu za mało ruchu i rozrywek, to ja was trochę rozruszam – mamrotał komisarz śledząc powolną wędrówkę solidnego mebla ogrodowego na piętro.

Z okna dobiegały wzburzone głosy i posapywania; nie spodziewali się aż takiego obciążenia. W pewnym momencie znowu jakaś głowa wychynęła przez okno, po sekundzie Wątroba usłyszał zduszony okrzyk, następnie wiele okrzyków i ławka runęła na dół, wbijając się z łoskotem w chodnik. Prysnęły odłamki betonu, jakiś ptak wzleciał z korony pobliskiego drzewa, trzepocząc nerwowo skrzydłami. Najwyraźniej jeden z ciągnących nie puścił na czas liny i szarpnęła go tak, że wypadł połową ciała za okno; zaparł się rękoma o mur i kwiczał przestraszony, wisząc głową w dół. Koledzy wciągnęli go z wysiłkiem.

– Dobra, jest jeden-jeden, panie komisarzu. Już idę. – Mietek najwyraźniej uznał, że nie ma się o co obrażać i wkrótce wysunął głowę ze znajomych, bocznych drzwi. Rozpoczęli transakcję. Po kilku minutach Wątroba wracał przez ciemny park z ciężką skrzynią zamkniętą w torbie.

Jasiu stał na balkonie i rozczarowany odprowadzał Wątrobę wzrokiem.

– Miał latać, unosić się ponad marnością świata. A tu Mietek, porno i podejrzone konszachty wieczorami. Tfu! – Zatrzasnął drzwi, wskoczył do łóżka i schował głowę pod koc.

Wątroba roztapiał się w nieprzeniknionej szarości wieczoru. Sapał i dyszał, taszcząc nieporęczną, ciężką skrzynkę. Tajemnice Marlekoniewa były o krok, a może jeszcze bliżej.

Wykopowa rewolucja

– No i co? – Wszyscy wstali, wpatrując się z nadzieją w Mariana.

– No i, kurwa, nic. Nie ma! Nie ma w sklepie... W żadnym sklepie na dzielnicy! Nie ma w hurtowniach, podobno nawet producent nie ma nic na składzie. Ktoś to wykupuje na pniu.

– Ja pierdołę... – Opadli bezradnie na deski ławeczki, spuścili głowy w bezsilnej złości.

To się nigdy nie zdarzyło. Nigdy. Nawet za najgłębszej komuny *Wykop* zawsze można było gdzieś kupić. A tu co? Pustynia? Obszar bezwykopowy?

– Co oni z tym robią? Piją, czy jak? – wyrażał głośno oburzenie Marian.

– A co można jeszcze robić z *Wykopem*? – zastanawiał się głośno Stalowy.

– Może to również działa jak afrodyzjak? Ktoś wyczał, że ma działanie uboczne i serwuje teraz zimpotenciałym dziadom za grubą kasiorę.

– Jakby był afrodyzjakiem, tobyśmy zauważyli, przecież też go piliśmy.

– Ale się już uodporniliśmy, wszelkie leki tracą swoje działanie po długim używaniu, poza tym na te nasze żony to... – Stalowy machnął ręką, Marian pokiwał głową potwierdzająco.

– Pewnie masz rację. To musi być afrodyzjak. Pamiętasz, jak się przytulałeś do pana Franciszka pod instytutem? Nieźle się podkręciłeś.

– Marian, kurwa! Zatkaj dziób, bo jak cię...

– No już dobrze. Kończę temat. Nikogo już nie śmiesz. – Marian szybkim spojrzeniem skontrolował, czy jednak nie wywołał choć drobnych iskerek rozbawienia, ale dotychczas skory do wesołych parsknięć Pająk siedział z kwaśną miną.

Zapadła ponura cisza. *Wykop* zniknął z handlu i był to fakt, którego nie dało się wytłumaczyć niczym oprócz rozpoczęcia Sądu Ostatecznego lub może już nawet

początkiem wiecznej kary za wszystkie winy na tym łoż padole, wśród których nadmierne picie trunków procentowych zajmowało poczesne miejsce.

– Ja pierdolę... – Nic niewnoszące do sprawy jęki i wzdychania unosiły się chmurami nad zazwyczaj wesołą ławeczką. Świat wokół szarzał w tempie astronomicznym. – Ja pierdolę...

Po kilkudziesięciu minutach westchnień i przekleństw, które im wydawały się ciągnąć godzinami, na plac koło skwerku wjechała ogromna limuzyna. Białe, długi kształt, chromowane koła i zderzaki, troje drzwi po każdej stronie. W ich okolicy jeszcze się nigdy takie cudo nie pojawiło. Jak Bolek wykombinował skądś całkiem dobry wózek dla niemowlaków, którym transportował szabrowany złom bez obawy, że cały pojazd rozwali się na najbliższym krawężniku, to cmokali i podziwiali go z pół godziny. Nad tym musieliby stać pół wieku, żeby zachować proporcje. Jadąca dotąd majestatycznie drogą maszyna nagle zwolniła i skręciła na chodnik, wprost na ich bazę pod trzepakiem. Po pierwszym przebłysku zaskoczenia w ich oczach załśnił strach; zerwali się na równe nogi i skoczyli za śmietnik.

– Co to za patałach?! Ma samochód długi jak tramwaj i myśli, że może nam po palcach jeździć! – wrzasnął zdenerwowany Stalowy.

Limuzyna zatrzymała się kilkadziesiąt centymetrów od nich. Silnik pracował na wolnych obrotach, przez przyciemniane szyby nic nie było widać, jedynie słyszeli stłumiony rytm muzyki. Po sekundzie z szoferki wyskoczył murzyn w białej liberii. Kapiące złotem wyłogi i lampasy, a czapka lepsza niż u pułkownika Kadafiego. Nie zwracając uwagi na tubylców, zamienionych z zaskoczenia w słupy soli, podszedł z wyniosłą miną do tylnych drzwiczek, otworzył je i zastygł w usługnym ukłonie. Muzyka rozbrzmiała już całkiem wyraźnie:

*Ja to pierdolę, zdejmuję kominiarę,
zakładam ją wtedy, gdy idę na robotę,*

kopyto biorę, wjeżdżam na ostro,

bez żadnego ziewania waszka g 21 w tej zwrotce teraz ja nawijam...³

Ze środka zaczęły gramolić się różne postacie. Dwóch młodzianów w za dużych bluzach i bulwiastych spodniach, jeden starszy jegomość w marynarce w jakieś mazy, które z bliska okazały się konwaliami, całkiem łysy, ale za to z bujnymi, rudymi bokobrodami. Następnie trzy dziewczyny lat około siedemnastu, ładne, skąpo odziane, prezentujące kształtne łydki, uda, a w niektórych pozycjach i pośladki wyzierały spod miniówek. Wszystkie te osoby były pijane. Można rzec, nie wysiadły, a wytoczyły się z limuzyny – o ich stanie świadczyła nie tylko niemożność utrzymania pozycji pionowej dłużej niż przez kilka sekund, ale również fakt, że każdy z pasażerów dzierżył butelkę z brązowego szkła, pociągając co rusz łyk dla kurażu. Stalowy, Pająk i Marian patrzyli jak zahipnotyzowani. O ile widok mężczyzn był im prawie obojętny, pomijając zdziwienie gustem łysola z bokobrodami, dziewczyny w pierwszym odruchu wzbudziły większe zainteresowanie, ale po chwili cała trójka wlepiła wzrok w najciekawszą rzecz na tym obrazku.

– Te, patrzcie. Mają *Wykopa* – wymamrotał Pająk, przełykając ślinę. Pozostałych dwóch też już to zauważyło. Stali nieruchomo, nie mogąc oderwać wzroku od magicznych brązowych butelek, podnoszonych nie do tych co trzeba ust. Suchość w ich gardłach osiągnęła apokaliptyczną skalę; Stalowy miał wrażenie, że właśnie zjadł szczotkę ryżową bez popijania i ta ugrzęzła w przełyku. Jedyłą myślą było, żeby im to wyrwać, wlać w siebie choć trochę upragnionej ambrozji, a potem... A potem, choćby i potop. Miny dwóch kompanów wskazywały, że oni też chcieli zapić tę koszmarną chropowatość w gardle. Wszyscy trzej postąpili krok do przodu, bardziej podobni do zombie niż do żywych; martwy wzrok utkwiony w jeden punkt, lekki charkot dobywający się z gardzieli... Te trzy młode są najslabsze, nie będą się

³ Waszka G., *Życie ostre jak maczeta*

bronić, a jeśli nawet, nie dadzą rady... Kolejny krok, i jeszcze jeden. Powoli zbliżali się do rozochoczonego towarzystwa. I z czego się tak cieszą? Zaraz zobaczą, kto się tu będzie śmiać ostatni. Zacisnęli dłonie, gotowi nawet zabić, udusić, byle dostać *Wykop*...

– Cześć wujas, miło cię zobaczyć. – Z wnętrza limuzyny wyłonił się młodzian w złotej marynarce, przydeptanych za dużych spodniach, ogromnych tenisówkach i w czarnym kapelusiku z lamówką w złote serca. Postąpił ze dwa kroki i uśmiechnął się promiennie do pozostałych dwóch. – Cześć wam, oldskulowcy!

– Co? A, to ty, Konrad. Cześć, mhm, cześć... – Stalowy czuł, jakby się właśnie obudził, powoli otrząsał się ze stanu, w którym był jeszcze przed sekundą. Widok rodziny przywołał go do porządku, ale Marian i Pająk dalej łakomym wzrokiem patrzyli na butelki w dłoniach dzierlatek. – Jak tam twój *feeling*? Tym razem, słyszę, ćwiczysz po polsku.

– A tak, tak. A co oni tak? Ćwiczą jogę? – dopytywał się Konrad, zauważywszy dziwny stan ławeczkowiczów. – A może im się te panienki tak podobają? Ee, sorki, panowie! Liga seniorów gra za rogiem!

Towarzystwo zarechotało, najbardziej łysol z bokobrodami, prawdopodobnie nie chcąc być zaklasyfikowanym z automatu do ligi seniorów. Pająk i Marian również otrzeźwieli i zaczęli się rozglądać wokoło przytomniejszym wzrokiem.

– Co u ciebie, Konrad? Masz studniówkę? – Stalowy skinął głową w kierunku limuzyny z wyprężonym jak struna czarnoskórym szoferem.

– Nie, jeszcze nie. A u mnie, dziękuję. Fantastycznie!

– A to dobrze – wymruczał Stalowy, choć znawca mowy ciała zrozumiałby: „Spadaj na drzewo, pętaku”.

– I chciałem wujowi podziękować.

– Mnie? Za co? – zdziwił się szczerze Kazek.

– Za ostatni prezent. Za *Wykop*.

– Ach, o to chodzi. Nie ma za co. Ale szczerze mówiąc, dziś bym ci nic nie dał. Rura mnie suszy tak, że uuuuch... – Kazek nie znalazł odpowiednich słów na opisanie suchości w rurze.

– Jest na to rada. Zyga, Jajco. Flaszeczki dla starszyny, ale migiem! – Dwóch młodzianów odstawilo niedopite butelki na asfalt, minęli szofera, otworzyli bagażnik i wytargali każdy po dwie skrzynki butelek. Butelek pełnych *Wykopu*.

– Na zdrowie, panowie. I szacun! – krzyknął Konrad. Po sekundzie osiemdziesiąt butelek piętrzyło się przed zdumionymi ławeczkowiczami.

– Ale Konrad, co to jest? Skąd ty...

– Wujas, panowie! Jesteście wizjonerami! Ludzie jeżdżą do Indii, do Peru, do Chujgowiegdzie, a szczęście jest pod nosem.

– A tak konkretnie, to o co chodzi?

– *Wykop* to hit, daje w czachę jak najlepszy proszek, jest legalny, tani i patriotyczny, bo tworzy miejsca pracy w Polsce B. Idzie jak woda. Podpisałem już umowy z połową klubów w mieście. Idziemy ostro z promocją, Warszawa, Kraków, Wrocław, sponsorowane imprezy plenerowe, bezpłatne próbki w szkołach. Młodzież ma już dość jakichś podejrzanych chemikaliów. *Wykop*, to dziś jest modne...

– Zaraz, zaraz... Chcesz powiedzieć, że masz coś wspólnego z tym, że zniknął ze sklepów? To ty go wykupujesz?

– Spokojnie, wujas. Powiedzmy, że przejąłem kanały dystrybucji. No, wiesz. Jak coś jest ekstra, to nie może stać na półce w byle spożywczaiku za pięć zeta. My tu tworzymy nowy brend, ba, nową jakość i styl życia. A to znaczy...

– A to znaczy, że *Wykopu* nie ma i nie mamy co pić, a ja mam w dupie jakieś brendy, niech se to piją na Manhattanie i zdychają na drugi dzień od kaca. Ja chcę *Wykopa*! Konrad, ty niszczysz ludzi!

– Kończy się jedno, a zaczyna drugie. Wykopowej rewolucji już nie zatrzymacie, ale możecie w niej uczestniczyć. Mam propozycję.

– Ale...

– Posłuchaj, wujas, a potem na mnie nakrzyczysz.

Wszyscy umilkli. Konrad zaczął.

– Tworzymy sieć dystrybucji, ale jak powiedziałem, *Wykop* to nie tylko napój, to styl bycia, ubrania, to cała gałąź sztuki i dizajnu. I jak każda inna, potrzebuje swoich mentorów, ojców chrzestnych. To jest Maniek...

– Haj, lumpy! – Facet w marynarce w konwalie pomachał im ręką, rozpromieniając się w złotozębnym uśmiechu. Nastolatki zachichotały zachwycone błyskotliwym wejściem Mańka. Ten mrugnął do nich porozumiewawczo.

– Ja ci dam lumpy, ruda małpo – syknął Kazek pod nosem.

– No więc, to jest Maniek – kontynuował Konrad – nasz menedżer kreatywny. On jest duchem i siłą napędową tej akcji. Maniek, wyjaśnij panom ich rolę.

– Sprawa jest prosta, Konrad już co nieco wyjaśnił. Młodzież, pijąc alkohol, potrzebuje dobrych wzorców. Kogoś, kto robił to samo co oni przez całe życie, czyli chlał wino, i dalej jest kuul. To wy. Będziecie prowadzić z didżejami konkursy w picciu na czas, będziecie prowadzić pogadanki w luźnym stylu dla nastolatek szukających sensu w życiu. Będziecie przekonywać, że najlepszy sport to świeże powietrze i butelka wina w dłoni. Ogólnie będziecie kreowani na wzór właściwych wyborów życiowych dla młodzieży. Wszystko, oczywiście, ze znakiem *Wykopu* w tle. Kapejszyn?

Zapadła cisza. Cała trójka zamarła zszokowana. Wodzili zdumionym wzrokiem po limuzynie, czarnoskórym kierowcy, po młodym towarzystwie i kreatywnym Mańku.

– To jak, wchodzicie? Opłaci się wam. Będziecie wzorem, będą was kochali, a najbardziej nieletnie panienki. No i oczywiście *Wykop* gratis. – Konrad mrugnął okiem i skinął znacząco głową w kierunku trzech młodych dziewczyn. Te znów zachichotały.

– My wzorem... – wydukał w końcu Kazek. – To chyba jakieś jaja.

– Nie – wszedł mu w słowo kreatywny Maniek. – To sprawdzony styl pracy nad brendem. Oczywiście musimy was trochę przygotować, żeby wydusić z was co nieco. Fryzjer, kosmetyczka, mejkap, dentysta, prysznic. I co najważniejsze, inne ciuchy. Młodzież nie pójdzie za niedomytymi rencistami w wyciągniętych swetrach i znoszonych spodniach w kancik.

– Proponuję marynary w konwalie i bujne bokobrody. To mi się kojarzy z młodzieżą – rzucił jakby od niechcienia Stalowy. Maniek zmierzył go nienawistnym spojrzeniem; panowie wyraźnie się nie polubili od pierwszego wejrzenia.

– Słuchaj, jak chcesz być menelem spod śmietnika, to se bądź, ale ode mnie się odpierdol. Zrozumiano?

– Dobra, dobra, panie kreatywny, myśmy to się już chyba kiedyś spotkali na izbie, nie byłeś pan wtedy taki młodzieżowy.

– Spokojnie, koledzy – tonował niespodziewaną sprzeczkę Konrad. – Słuchajcie, zastanówcie się. Propozycja aktualna będzie jeszcze kilka dni, a potem poszukamy innych...

– Lumpów – wszedł mu w słowo Maniek. Stalowy i Marian rzucili się w jego stronę z pięściami. Zyga i Jajco zerwali się na równe nogi i stanęli murem za kreatywnym.

– No, no. – Maniek z pięściami przed sobą czekał tylko na zaczepkę.

– Konrad, dzięki za propozycję, ale chyba nie skorzystamy. Zarysowała się, niestety, niezgodność charakterów z panem Mańkiem, dyrektorem kreatywnym od picia wina. Ale dzięki, że o nas pamiętałeś, rodzina to rodzina. Będą jeszcze z ciebie ludzie. – Kazek najwyraźniej podjął decyzję co do udziału w akcji, a raczej jego braku.

Konrad wyraźnie się stropił, nie wiedząc, jak zareagować; spodziewał się entuzjastycznego akcesu, a tu takie fochy.

– Ale radzę ci, zmień przyjaciół, rudy zawsze będzie zdradliwy i nic tego nie zmieni. Nawet jak wyłysieje – dorzucił nerwowy wujas.

– Ożeż ty... – Maniek nie wytrzymał i wywiązała się bójka. Akcja tworzenia brendu przeszła w fazę rękoczynów.

Limuzyna za chwilę odjechała, młode dziewczyny, Zyga, Jajco, kreatywny Maniek i wyprężony jak struna Murzyn stali się historią. Pozostały cztery skrzynki *Wykopu* i pełna konsternacji cisza.

– Ty, Stalowy, a nas nie mogłeś spytać? Może my chcemy być wzorem dla młodzieży? Ja tam nie będę tęsknić za starymi ciuchami, jak dostanę co nowego. Przecież to mogła być szansa...

– A ciekawe, co by Zofia powiedziała na te narąbane panienki młodsze od twojej córki, które pomiędzy pępkiem a udem mają prawie wszystko na wierzchu? Myślę, że gorąco by cię namawiała do roli mentora wykopowej rewolucji.

Marian zrobił strapioną minę. No tak, Zofia. To była przeszkoda nie do pokonania

– A co to jest mejkap? – zapytał ni stąd ni zowąd Pająk.

– To jest... to jest... – Stalowy zaczął tłumaczyć, ale nie szło mu zbyt dobrze. Z jego opisu wychodziło, że to coś prawie żywego, ale nieruchomego, z dużą głową i w kropki. Pająk nie wyglądał na przekonanego. Jedyne osiemdziesiąt flaszek *Wykopu* było pozytywnym faktem, który w szybkim tempie przekonał wszystkich co do słuszności ich życiowych wyborów.

Srebrna poświata

Wątroba ledwo szedł. Skrzynka z każdym krokiem ciążyła coraz bardziej, czuł się tak, jakby ukradł coś zaczepionego na gumowej lince. On ucieka, ale linka się naciąga i stawia coraz większy opór. Chyba nie dojdzie do domu. Postawił pakunek po raz enty na ziemi, otarł pot z czoła. Co ten Marlekoniew tam trzyma? Nawet papier nie może tyle ważyć. Oprócz ciężaru doskwierało mu jeszcze jedno: smutek. Dziwny, przybyły nie wiadomo skąd i po co. Miał wrażenie, że wraz z nabyciem tej paczki włożył na siebie jakieś brzemie. Ale jednocześnie wiedział, że jest uprawniony do jej obejrzenia, nie czuł wyrzutów sumienia, nie czuł wstydu. Jedynie niewytłumaczalny smutek, że sprawy właśnie tak się ułożyły i nie ma odwrotu.

Uff, drugie piętro, zgrzyt zamka, znikający za szafą ogonek białej myszy. Znowu się tu kręcą jakieś małe, dziwne stworzonka. Wątroba nigdy nie wiedział: wróg to czy przyjaciel. Zatrzasnął nogą drzwi, rzucił skrzynkę na ziemię i ze stękiem opadł na kanapę. Sprężyny jęknęły; znały tego grubasa aż za dobrze. Mógłby się trochę delikatniej kłaść. Wątroba leżał chwilę nieruchomo, odpoczywając. Za oknem już się ściemniało. Lampa uliczna dawała mdłe, rozproszone światło pełgające po ścianach. Zza ściany słyszać było odgłosy serialu w telewizji, piętro wyżej ktoś spuścił wodę w ubikacji. Wątroba widział oczyma duszy, jak sąsiad wychodzi z toalety i ani myśląc umyć ręce, człapie w kraciastych bamboszach do łóżka, poprawiając opadające flanelowe gacie od pidżamy.

Po chwili komisarz wstał, ściągnął płaszcz i rzucił paczkę na stół. Zmyślny Mietek zaopatrzył go również w klucz do skarbu. Ma gość łeb na karku, ciekawe z jakiego powodu tam siedzi, może też się ukrywa? Po chwili przekręcił kluczyk w dziurce, uchylił wieko. Środek wyłożono zielonym, lekko połyskującym suknem. Większość skrzynki była pusta – co czyniło jej ciężar jeszcze bardziej zagadkowym – jedynie na dnie leżała oprawiona w skórę i drewno księga. Wątroba sięgnął po nią i w

tym momencie poczuł dziwne mrowienie w palcach. Im bliżej je przysuwał do księgi, tym bardziej się ono nasilało. Przerażony cofnął dłonie. Uczucie minęło. Znowu wyciągnął rękę. Mrowienie. Coraz silniejsze, przechodzące nieomal w ból w koniuszkach palców. Wyrzucił przedmiot ze skrzynki, gwałtownie puszczając go nad blatem, tak jakby parzył. Zbyt dużo trudu kosztowało go przejęcie tych zapisków, żeby teraz się poddał. Ciemność wokół falowała, jakby poruszana oddechem jakiegoś stwora. Wątroba stracił rezon. Dotychczasowy spokój wieczoru z człapiącym sąsiadem i telenowelą zza ściany przysł bezpowrotnie. Wyciągnął z tej skrzyni coś, co nie powinno chyba nigdy ujrzeć światła dziennego. Nerwowo rozejrzał się po swoim mieszkaniu, w którym pomimo zapadającej ciemności można było dostrzec każdy, choćby najmniejszy przedmiot. To przez księżyc. Tak. To przez niesamowicie mocne światło księżyca. Nigdy nie widział tak mocnego księżycowego światła. Zerwał się na równe nogi, chcąc zasłonić okno. Nie zniesie dłużej tej sinej poświaty, w taką noc wilk wyje do okrągłego srebra na niebie, a człowiek staje się człowiekowi katem. Zaczął nerwowo szarpać za poły kotary. Co jest? Zaczepiła się gdzieś? Nie mógł jej przesunąć, w rogu usłyszał jęk rozdieranego materiału. Szlag by trafił. Co tam? Gwóźdź, haczyk? I wtedy zobaczył. Zamarł z wrażenia w bezruchu. Instytut sterczał pomiędzy świecącymi srebrną łuną dachami kamienic i ławicami liści na drzewach. Jakże mógł go dotychczas nie zauważyć? Zaraz, zaraz. Przecież tu rosło jeszcze takie wielkie drzewo, było ogromne, wyglądało jak dąb. Nie ma po nim śladu, nawet malutkiego pniaka. A tamta kamienica? Głowę by sobie dał uciąć, że stała nieco bardziej z prawej. Wszystko poprzestawiali! Kto? Nie, to niemożliwe. Jak można w jedno popołudnie przesunąć dom i wyrwać drzewo z korzeniami? Nie. Ktoś go wrabia. Manipuluje nim. Zaczął się szarpać z kotarą, coraz mocniej i mocniej. Trzask rozrywanego materiału. Poszło. Przesunął ją. Z boku dyndał uszkodzony skrawek. Ciężko dysząc, odskoczył od okna, spojrzął na pokój. Jasność nie ustąpiła ani o jotę. To nie księżyc. To ta księga. Po co ją brał? Po co mu jakieś zagadki? Przecież nikt

niczego od niego nie chce. To on sam ciągle łąduje się w jakieś kabały, z których nie ma wyjścia.

– Taki już jesteś. Słaby, wiecznie przegrany z samym sobą.

Co to za głos? Kto tu? Komisarz wparł się plecami w ścianę, lustrował jaśniejący srebrem pokój. Cienie igrały na zwojach zasłony, wszystko drgało nerwowo. Rzucił się do kontaktu. Światło. Zapali światło, przytłumi tę lunę. Dlaczego na to wcześniej nie wpadł? Pyk, pyk. Przełączał w panice plastikowy guziczek, ale to nic nie dawało. Otaczała go jedynie srebrna chmura, coraz gęstsza i gęstsza. Zaczął się dusić, szarpnął za klamkę. Drzwi były zamknięte na głucho. W oddali głos: „Taki już jesteś... Znam cię... Pomogę...”. Srebro. Drganie srebra. Drganie wszechświata. Srebro wszechświata wlewa się przez dziurę wydartą w kotarze, która już niczego nie zasłania. Jest jedynie smętnym świadkiem własnej porażki, własnego braku zastosowania w srebrnej powodzi światła. Po chwili wszystko zamarło.

Wątroba szedł korytarzem, stukając obcasami o kamienną podłogę. Jakoś tak, lekko, naturalnie, jakby wszystko już rozumiał. W mijanych oknach mroczył szary październik, spływały krople mżawkowego smutku, tłoczyły się krucze opowieści, tłoczyło się czarne pierze czarnych wspomnień. On wychodził powoli z tej srebrnej mgły po prostej, kamiennej posadzce. Stuk butów wyznaczał jasną drogę w przyszłość. W mroku pod przeciwległą ścianą stał on. Poznał go z daleka. Jakże mógłby siebie nie poznać.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Po co się witasz ze sobą?

– Nie jesteś mną.

– Jestem, tylko jeszcze nie do końca. Musisz jeszcze trochę zrozumieć.

– Bo ty już wszystko rozumiesz i teraz czekasz, aż ten drugi głupek cię dogoni, tak?!

– Spokojnie, jesteś sobą, ja jestem tobą, a ty mną. Tak już zdecydowano. Kolory wrócą na swoje miejsca, ty zrozumiesz, uspokoisz się. Świat poszedł już w swoją stronę, decyzje zapadły, zanim dinozaury się narodziły, a takie fochy są wkalkulowane w proces.

– W jaki proces? Mógłbym sobie to jaśniej wyobrazić, panie „ja”?

– Przeczytaj księgę, zastanów się, stań na chwilę...

– Uprawiaj jogę i patrz w mandalę! Jak myślisz, że się dam wpuścić w taki kanał, to się grubo mylisz!

– To też jest wkalkulowane. Mamy czas...

– Czas na co?

– Czas na życie. Sam ciągle narzekałeś, że go nie masz.

– No niby tak. I niby ty mi go dasz?

– Sam sobie dasz... Już go masz...

Wątroba otworzył oczy. Leżał na ziemi w swoim pokoju. Za oknem szarzał wczesny ranek. Biała mysz ciekawie niuchała nosem za nogą fotela, piętro wyżej sąsiad człapał w rozdeptanych kapciach i pokaszliwał. Komisarz wstał obolały. Poszarpana zasłona zwisała na prostokącie okna. Rzucił się do niej i odsunął gwałtownym ruchem. Przed nim mgliły się dachy i korony drzew. Wielki dąb wypełniający prawie całą panoramę budził się ze swojego solidnego dębowego snu. Wóz służb miejskich opróżniał śmietniki. Ospale kruki spały skulone na gałęziach, gzyskach i w załomach dachów. Świat całkowicie nieświadomy dramatów funkcjonariusza policji w małym czynszowym mieszkanku rozpoczynał spokojnie swój zwykły dzień. Wątroba wyciągał szyję jak mógł najdalej i sprawdzał z każdego miejsca przy oknie, ale instytutu nie było widać. Wczoraj musiał mieć przywidzenie, albo znowu jakieś sztuczki... „Dosyć tego! Wyrzucę tę księgę albo odniosę do instytutu i *adieu*. Pojadę na urlop. Na koszmarnie nieprzyzwoicie długi urlop nad Adriatykiem” – takie oto

myśli kołatały się w jego zmęczonej porannej głowie. Oczyma wyobraźni widział siebie w białym hotelowym szlafroku z wyhaftowanym na piersi eleganckim logo hotelu. Stoi na balkonie, a u jego stóp faluje piękne morze.

Usiadł na kanapie i rozmarzył się. Codziennie masaż wykonywany przez solidnie zbudowaną masażystkę. Niemal poczuł potężny relaksacyjny ucisk na karku. Biorąc pod uwagę siłę nacisku, wolał nie wyobrażać sobie tej masażystki. Wzrok muska piękne skały oprószone pióropuszcami rozbijanych o ich biel fal. Piękne dziewczyny szukają tam chwili intymności, aby opalać swe smagłe, gibkie ciała w zacisznych, lazurowych zatoczkach... Wyteżył wzrok, szukając jakiejś gibkiej nagiej piękności nad zaciszną, lazurową zatoczką. Ktoś tam był. Spostrzegł ludzi, trzech ludzi, siedzieli i co rusz podnosili coś do ust. Cholera! Twarzy nie widział dokładnie, ale poznawał te sylwetki i typowe ruchy. Stalowy, Marian i Pająk. Całą elegancję i styl szlag trafił, oni również go zauważyli i pomachali. Ten dysonans wyrwał go z marzeń, podszedł do książki leżącej na stole. Wyciągnął rękę. Nic nie czuł, wczorajsze mrowienie i poświata były już tylko wspomnieniem. Bardzo niepewnym wspomnieniem, być może snem.

Rozłożył księgę na stole. Musiała być bardzo stara, powiało od niej zapachem zniszczonej skóry, pomiętego pergaminu i stęchlizny. Kartki były grube; ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby stworzyć długowieczny dokument. Wszystkie strony pokrywały zapiski. W różnych językach; początkowo wyglądało to na chiński, ale po kilkudziesięciu stronach alfabet zmienił się na łaciński, co wcale nie pomagało w odcyfrowaniu informacji, bo nie był to żaden ze znanych obecnie języków europejskich. Strona za stroną komisarz kartkował księgę i ogarniało go coraz większe rozczarowanie. Co go obchodzi jakiś manuskrypt? Można go włożyć do gabloty w muzeum i już, do tego się nadaje. Zapiski robiły różne osoby: atrament był wyblakły w różnym stopniu, pismo zmieniało swoją wielkość i krój. Wyglądało to jak kronika. Wątrobie wydawało się, że widzi coś jakby imiona czy nazwiska z

przypisanymi datami. Po kilkuset stronach doszedł do zapisków po rosyjsku. Choć uczył się kiedyś tego języka, pozostały dla niego niezrozumiałe. Jednakże był już pewny, że to rodzaj kroniki. Wyraźnie rozpoznawał rosyjskie imiona i nazwiska, rozróżniał strzępy wyrazów. W pewnym momencie pojawiły się wklejone małe zdjęcia, takie jak do dowodów. Postacie z niemodnymi fryzurami, wypłowiałe, wpatrzone w dal twarze. Najwyraźniej przeszli do dokumentacji z najnowszych czasów. Nagle jego wzrok padł na znajomą twarz. Małe druczane okulary, dłuższe włosy – Marlekoniew. I znowu jakieś daty, opisy. Po kilkudziesięciu następnych stronach niespodzianka – tekst pisany był po polsku. Wątroba zatopił się w lekturze.

...18 marca 1950 przyjazd z Moskwy. Przejąłem osobę i teraz rozpoczynam nowy etap w Polsce. Nazywam się już Nowak. Sytuacja wydaje się sprzyjać, BB działa. 20 marca 1950 spotkanie z BB – plan wzmocnienia roli Polski nowym człowiekiem. Powstaje zarys działań instytutu, konieczność zachowania dyskrecji, BB popiera, Stalin niepoinformowany...

Tych kilka zdań przykuło Wątrobę do lektury; był świadkiem tego procesu, szedł w swoich poszukiwaniach tropem tamtych wydarzeń. Teraz potwierdzały się klejone po omacku strzępy informacji i domysłów. Obraz się przejaśniał.

...29 czerwca 1950 pierwsze zabiegi z doktorem Malikiem. Zabieg celowo zepsuty – kontrola odporności psychicznej nowego współpracownika. Prace nad cmentarzem zaawansowane. 04 lipca 1950 pierwszy sukces, po serii zabiegów w nowym instytucie powstają pełny żyjący wtór i osoba. Obecnie trwają badania nad funkcjami życiowymi. Status z Moskwy nie został jeszcze osiągnięty. 12 lipca 1950 siłownia osiąga moc szczytową. Można planować pełne spektrum eksperymentu. Kolejnych pięć wtórów stworzonych. 18 lipca 1950 BB chciałby uczcić obchody tutejszego święta wprowadzeniem koncepcji nowego człowieka na plenum partii. Ledwo mu to wyperswadowałem, instytut musi zostać chwilowo w tajemnicy...

Wątroba nerwowo kartkował zapiski.

...30 lipca 1952 próba ucieczki Malika. Ostatni okres nie sprzyjał rozwojowi współpracy. Należy go wyeliminować z eksperymentu...

Daty, suche notatki o liczbie wtórów, osób, ich nazwiska, zastosowanie. Dokładnie prowadzona buchalteria. Odnalazł notkę o Kosińskim. Krótki opis procesu sądowego w 1956 wraz z opisem metody wykręcenia się od kontaktów z wymiarem sprawiedliwości, wszystko rzeczowo i lakonicznie. Z księgi wynikało, że działalność instytutu trwała nieprzerwanie i przejście Nowaka do szpitala psychiatrycznego było wycofaniem się na z góry zaplanowane pozycje. Kartkował dalej, zapiski były coraz świeższe, daty zbliżały się do dnia dzisiejszego.

...Policja poinformowana o zniknięciu Krzysztofa Podemskiego, komisarz Wątroba prowadzi śledztwo...

Kilka linijek dalej znowu się natknął na swoje nazwisko.

...zleciłem przejście wszelkich informacji w tym zakresie. PZ przekazał dokumentację komisarza. Badamy profil i przydatność na osobę. Oddelegowałem trzy osoby i piętnastu wtórów...

Jaki PZ? Co za profil? Wątrobie przebiegły mrówki po plecach. To daty sprzed kilku dni. Z notatek wynika, że osiemnaście osób, czy może raczej istnień, zostało zaangażowanych w analizę jego osoby. PZ – kto to jest? Zaczął gorączkowo przypominać sobie, który spośród jego znajomych lub współpracowników posiada inicjały PZ. Przekazał dokumentację. Znaczący, że to ktoś, kto ma wgląd w jego dokumentację na co dzień albo może mieć do niej dostęp. PZ? Przed oczami stanęła mu poczciwa twarz komendanta. Czy to możliwe? Zaraz potem pomyślał o Bierucie. Teraz zrozumiał: to nie Bierut rządził w tym układzie. Przypomniała mu się pewna siebie, bezwzględna mina Nowaka. Jeżeli mieli po swojej stronie prezydenta, to mogli mieć też innych. I ten układ trwa dalej. Dlaczego nikt się nie interesuje ogromnym budynkiem w środku miasta? Dlaczego szpital wydaje zwłoki i trzyma na wpół legalnie, do końca życia, człowieka na badaniach zleconych przez sąd, dlaczego

porwania i zbrodnie są tuszowane? Wróciło wspomnienie przerażonej twarzy właściciela kamienicy, w której mieszkał regularnie płacący czynsz nieboszczyk Kosiński. Tak, umieją pozyskiwać ludzi i trzymać ich w strachu. Kartkował dalej.

...KW ujęty, eksperyment w pełni udany. W chwili obecnej analizowane są funkcje życiowe i mentalne osoby. Wtór przeszedł pełną diagnostykę. Stan Nowaka niezadowolający, w dniu dzisiejszym kończę jego funkcje życiowe...

Wątroba poderwał się znad księgi jak szalony. Jak to eksperyment udany? Przecież nic się nie udało! Nic! Jest, jaki był. Stworzyli co prawda sobowtóra, ale on przecież jest kimś innym, jakimś odpadem, nieudaną kopią. Niech tam siedzi w tym instytucie i podaje kawę Nowakom, czy innym osobom i wtórom. On, komisarz Wątroba, jest zdrowy. Podbiegł do lustra. O, proszę, rumiana gęba, trochę niewyspana, ale to normalne po takiej nocy. Gruby jak zwykle, złośliwy jak zwykle. Wszystko jak zawsze! Uspokojony wrócił na miejsce. Idiotyczna, zakłamana księga, zaraz ją wyrzuci... Zaraz, tylko doczyta do końca. Przerzucił kartkę. Ostatni wpis. Dzisiejsza data.

...test osoby zakończony, przechodzę w Wątrobę. Trzydziestu wtórow i trzy osoby przygotowują obiekt...

Wątroba poznał swój charakter pisma. Siedział jak zaczarowany. Wspomnienia wlewającego się wszędzie srebra przygniotły go do krzesła. Koło notatki widniał rozmazany kleks – nerwowo spojrzał na swoje dłonie. Na wierzchu prawej dostrzegł ślad atramentu; potarł dłonią o dłoń, chcąc go zmazać, ale plama nie schodziła. Obrzucił swój pokój badawczym spojrzeniem. Tam na ziemi coś leżało. Podniósł. Pióro. Obok na ścianie plamy atramentu. Wyglądało to, jakby on... Jakby ktoś rzucił piórem o ścianę. Musiał nim pisać, ale nic nie pamiętał. Ale przecież nikogo tu nie było! Chyba. Rozejrzał się lękliwie. Naddarta kotara, szary prostokąt okna. Zakurzona podłoga. Nic nie pamiętał, ale pismo było jego. W tym momencie zerwał się na równe nogi. Nie! Koniec ciuciubabki. Odniesie księgę do instytutu, niech sobie

z nią robią, co chcą. Wrzuci ją po prostu przez te tylne drzwi. Ucieknie i już nigdy tam nie wróci. Nigdy. Wsadził kronikę do skrzyni, zatrzasnął wieko i wybiegł z mieszkania bez zamykania drzwi na klucz. Pędził, jakby go goniło stado demonów.

Plac przed instytutem był tradycyjnie pusty, kilka kruków kąpało się w brudnych kałużach, wiatr gwizdał na kamiennej balustradzie schodów. Dwóch naburmuszonych osiłków wspartych o miecze posepnie spoglądało na tę marność. Wątroba, ciężko dysząc pod ciężarem skrzynki, wspiał się do głównego wejścia i zaczął walić pięścią w drzwi. Był przygotowany na dłuższe oczekiwanie, ale minuty mijały i nic się nie działo. Komisarz nie poddawał się, walił i krzyczał, w końcu usiadł na schodach, opuścił bezradnie głowę. Po chwili przyszło mu na myśl, że to nic nie szkodzi. Nikogo tam nie ma, może nawet wyjechali? I bardzo dobrze. On ma spokój. Wyrzuci skrzynkę i idzie do domu. Ta myśl napełniła go otuchą, zaczął schodzić ze schodów. Co kilka stopni odwracał się, patrząc, czy nikt nie otworzy drzwi i go nie zawoła. Ale wejście trwało zamknięte na głucho.

Komisarz powłókł się alejką wzdłuż budynku. Nie chciał zostawić skrzynki byle gdzie, czuł się za nią odpowiedzialny. Nie wyobrażał sobie, że mógłby ją ot tak gdzieś zostawić, wyrzucić. Nie chciał jej mieć, ciążyła mu, ale jednocześnie była dla niego ważna. Nie wiedział, jak to wytłumaczyć, była ważna i już. Doszedł do zielonej gęstwiny na tyłach budynku, walczył chwilę z nieporęczną skrzynką, która utknęła pomiędzy prętami ogrodzenia, zanim przedarł się na drugą stronę. Podszedł do wejścia, za którym czaili się lwi strażnicy. W szarości przejścia panował jednak martwy spokój, wszystko wyglądało, jakby spało.

Wątroba postawił skrzynkę za drzwiami i wycofał się. Ruszył ku zielonemu przejściu, ale w połowie drogi zatrzymał się. Nie można tego tam tak zostawić, jeszcze zginie, albo nikt nie zauważy i będzie leżeć latami. Odwrócił się na pięcie i znowu wszedł do budynku. Skrzynka stała tam, gdzie ją położył. Prawie tam. Głowę

dałby sobie uciąć, że postawił ją tuż pod ścianą, a teraz znajdowała się dobre dwa metry dalej. Rozejrzał się, badając otoczenie. Pusto, milcząco i szaro. To musi być pomyłka. Na pewno nikt nie zdążyłby przesunąć skrzynki i zniknąć w tak krótkim czasie.

– Hop, hop, jest tam kto!?! – krzyknął w czeluść klatki schodowej. Czuje zazwyczaj lwy nad drzwiami nawet nie mrugnęły. Wątroba westchnął z rezygnacją, spojrzął jeszcze za zakręt schodów w dół, ale niczego nie dostrzegł. Podniósł skrzynkę i sapiąc, zaniósł ją na górę, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz wewnątrz instytutu. Tak. Tu może ją zostawić. Tu będzie bezpieczna i na pewno ją ktoś znajdzie. Stał w szarości posepnego gmachu, rozpraszanej mdłymi plamki światła ze świetlików. Po drugiej stronie tunelu widoczna była biała kreska posągu Marlekoniewa. Po tych wszystkich wirtualnych ucieczkach, eksperymentach z sobowtórem i lekturze książki czuł się tu całkiem swojsko. Wiedział, gdzie jest, wiedział, co mający na końcu korytarza. Wszystko to sprawiło, że nie wrócił do wyjścia, tylko rozpoczął wędrówkę przez ciemność w stronę kamiennego Marlekoniewa. Pokonywał kolejne metry kamiennej czerni. Tędy musiał wędrować Stalowy, kiedy zobaczył jego wtóra podczas operacji. To musiało być gdzieś tu. Może znajdzie tę salę. Macał na oślep płaszczyznę ścian, nieskończoność niosła stuk butów o posadzkę. Instytut wciągał powoli, czarował, podawał dłoń z dzikim, skrętnie ukrywanym uśmiechem. Kolejny krok. Jest klamka. Otworzył delikatnie drzwi. Sine, jarzeniowe światło, bzyczenie lampy bakteriobójczej, biała nieruchomość sali, przewodów, zlewu. Nikogo tu nie ma. Wrócił na korytarz. Pusto. Instytut wyglądał na opuszczony. Komisarz dużo pewniejszym krokiem ruszył w kierunku jasnego prostokątka z majaczącą w oddali figurą Marlekoniewa; echo kroków grzmiało dużo głośniejsze, budynek wydawał się bardzo długi. W pewnym momencie przez światło na końcu korytarza przemknęła jakaś postać. Wątroba

zatrzymał się i skarcił w duchu za zbytnią pewnością siebie; zbyt szybko pozbył się obaw.

– Hej, jest tam kto? – zawołał. Odpowiedziała cisza. Ponowił wędrówkę, figura zbliżała się. Po chwili wyszedł na placyk przy wejściu głównym. Znajdował się za drzwiami frontowymi, mógł oglądać plecy uzbrojonych, kamiennych osiłków. Ale z istot żywych nikogo tu nie było.

– Hop, hop! – zawołał ponownie. Marlekoniew patrzył na niego przez swoje okulary. Przez mętne szybki drzwi Wątroba widział kamienny podest schodów po drugiej stronie i kłębiące się w oddali szare chmury nad linią drzew i kamienic. Tu było cicho, spokojnie. Tylko serce biło mu mocno, wręcz panicznie. Nagle gdzieś na górze rozległ się stuk. Wątroba zadarł głowę, jednak niczego nie zauważył.

– Halo! Kto tam? – Znowu odpowiedziała cisza. Czyżby to tylko złudzenie akustyczne? Przypomnił sobie ostrzeżenia Chwiejczaka, że złudzenia akustyczne mogą być bardzo niezdrowe. Miał chłop rację. Powoli, ostrożnie zaczął wchodzić po schodach na piętro. Przy każdym załamaniu muru zatrzymywał się, sprawdzając, co się za nim kryje. Co tak hałasuje? To tylko jego serce i przyspieszony oddech. W końcu dotarł na piętro. Spojrzał w głąb korytarza. Pusto. Chyba pusto. Wzrok Wątroby padł za okno, na kawałek placu przed budynkiem. Kamienice, anteny, wiatr głaszczący drzewa i kręcący bielizną na sznurze. O szybę rozbiły się pierwsze krople deszczu, kruki przysiadły na najbliższym gzymsie, szukając osłoniętego miejsca. Przez plac szedł jakiś człowiek, za daleko, żeby go rozpoznać albo przynajmniej rozróżnić elementy stroju.

Komisarz odwrócił głowę w stronę drugiego korytarza; tam też pusto. Ponownie spojrzał w pierwszą odnogę, nic się nie zmieniło. Zaraz. Drugie drzwi były lekko uchylone, teraz są zatrzaśnięte. W trakcie długoletniej pracy policyjnej wyrobił w sobie spostrzegawczość odnośnie drobiazgów, lekkich zmian w porządku rzeczy. Wiele razy okazywało się to początkiem nitki wiodącej do kłębka. Podbiegł do drzwi,

chwycił za klamkę. Zamknięte na zamek albo ktoś trzyma od środka. Szarpał wściekle, coraz mocniej. W pewnym momencie drzwi puściły; siła odrzutu była na tyle duża, że przewrócił się na plecy. Zerwał się i wpadł do pokoju. Pusto. Duży pokój, niegdyś biały, teraz z poszarzałymi ścianami. Na środku stół i krzesło. Tu by się nawet mrówka nie schowała, a co dopiero człowiek. Przypadł do okna. Zamknięte. Szare krople deszczu tłuką o szybę. Nikt nie dałby rady tędy wyjść. Usłyszał kroki uciekającego człowieka. Za drzwiami. Komisarz wybiegł na korytarz, rozejrzał się: ani żywej duszy. Ruszył pędem w dół.

Marlekoniew stoi niewzruszenie. Echo szybkich kroków oddala się w czarną czeluść, głośnie bicie swego serca i przyspieszony oddech, ale wokół samego pomnika faluje duszna cisza. Spokój tego kamiennego miejsca miał jednak charakter zewnętrzny. Komisarz czuł tu jakieś prądy, życie, które zaklęte w te marmurowe ściany, wrywało się i wyło do wolności, ale za nic nie umiało pokonać dzielącej ich bariery. Trzeba uciekać, zostawić to miejsce i uciekać gdzie pieprz rośnie.

Pod figurą na postumencie coś leżało. Wątroba podbiegł. Księga. Ktoś ją tu przyniósł, a więc te kroki nie były złudzeniem, ktoś lub coś niepostrzeżenie krążyło wokół niego. Obserwowało. Księgę rozłożono na ostatniej stronie, do porannych zapisków coś dodano. Wątroba poznał swoje pismo.

...jestem już w Instytucie, przejmuję teren. Eksperyment dobiega końca.

Wątroba odrzucił księgę, jakby go ugryzła. Uciekać, uciekać. Tylko ta jedna myśl kołatała mu się w głowie. Naraz zerknął w kierunku głównych drzwi; za ogromnymi dębowymi wrotami, przez mętne grube szyby dostrzegł postać. Przypadł do drzwi i przylepił nos do szyby. Zobaczył sam siebie. To pewnie ten drugi, ta jego nieudana kopia, ten... wtór. Pomyślał tak o nim i wtedy zdał sobie sprawę, z jaką pogardą to zrobił. Przeraził się – nie tylko tej sytuacji, ale również zmian, jakie w nim zachodziły. Nieznanych dotychczas myśli. Czuł, jakby bulgotał, jakby ktoś wywracał całe jego ciało i duszę na lewą stronę. Chwycił wielką klamkę i ciągnął z

całych sił, ale nic to nie dawało. Budynek był zamknięty na cztery spusty, a wielkie drzwi stanowiły równie niepokonaną przeszkodą jak lity mur. W tym momencie Wątroba po drugiej stronie drzwi uchylił kapelusza, skłonił się uprzejmie, z szacunkiem, a następnie zaczął powoli schodzić po schodach. Komisarz walił i krzyczał, ale nic to nie zmieniało. Potem pobiegł czarnym korytarzem do tylnego wyjścia. Dotarł do końca, ale nie znalazł żadnego wyjścia. Ściana pomalowana do połowy farbą olejną błyszczała, szyderczo milcząc. Wątroba macał rozpaczliwie domniemane miejsce wyjścia, szukając drogi ucieczki, ale korytarz właśnie tu się kończył. Nie było nic. Ani drzwi, ani lwów. Przerażony pobiegł z powrotem do figury Marlekoniewa, ponowił walenie w dębowe wrota. Nikt już za nimi nie stał, tamten poszedł sobie. Wątroba przebiegł jeszcze kilka korytarzy, i na parterze, i na piętrze, ale wszędzie trafiał na mur i ślepe zaułki. Po kolejnym powrocie pod rzeźbę stracił nadzieję, że się stąd wydostanie. Księga leżała porzucona, Marlekoniew spoglądał drwiąco ze swoich wyżyn. Wątroba usiadł na posadzce i zaszlochał, bezradnie i niewątpliwie wzruszająco dla ewentualnych świadków tej sceny, gdyby tylko się znaleźli. Ktoś tu jednak był, chodził za nim, obserwował. Był również Marlekoniew, wiecznie śledzący go tym swoim kpiarskim spojrzeniem.

– I co się tak gapisz?! Ty kreaturo! Masz ubaw?! Masz? No to zobaczmy, kto się będzie lepiej bawił?! – Kopnął z całej siły w postument. Ten ani drgnął. Kamień trwał niewzruszenie. Znowu kopnął. Potem wspiął się na kolumnienkę i stojąc twarzą w twarz z wielkim rosyjskim uczonym, zaczął go wściekle okładać i wrzeszczeć. Wreszcie pchnął figurę z całej siły. Rzeźba zakołysała się. Pchnął ponownie. Dumny Marlekoniew początkowo powoli zaczął się przechylać, następnie nabrał tempa i po sekundzie roztrzaskał się na podłodze. Wątroba stał na opustoszałym podwyższeniu, dysząc wściekle, i wodził nierozumnym spojrzeniem po bałaganie, którego narobił. Marlekoniew rozbił się na wiele kawałków, hall pokrywały fragmenty kamiennych

rąk, nóg, tułowia; głowa pękła na dwoje. Wątroba zszedł na podłogę, kopnął kawałek dłoni.

– Masz za swoje!

Cała podłoga była zasłana kamiennym gruzem, księga leżała w kącie, cisza grała, jakby stanowiąc preludium do tego, co miało nastąpić. Chwilę później cały budynek pokryła srebrna poświata, taka jak w mieszkaniu komisarza. Wszystko zastygło w srebrnej galarecie. Jednocześnie instytut budził się jakby z letargu, poobiedniej drzemki. Drzwi na korytarzach to otwierano, to zamykano, rozlegały się głosy ludzi krążących po korytarzach, srebrna poświata otoczyła komisarza, widział wszystko, co się tu działo, ale nie mógł nic zrobić. Ani uciekać, ani się schronić. Za oknami przewalały się szare kłęby chmur znaczone kropkami kraczących ptaków. Wszędzie stukały kroki spieszących do pracy ludzi, buczała jadąca gdzieś na dół winda. Wątroba rozglądał się i coraz więcej z tego rozumiał, wiedział, że czekają go ważne zadania, że świat, jaki znał, przestaje dla niego istnieć. Nie potrzebuje go, ba, nie toleruje nawet tych małych dziwnych istot za murem, goniących za swoim małym życiem. Widział również znany już obraz skał z tablicami nagrobnymi, skąd jedna za drugą wypelzały postacie i tworząc wielkie strumienie tłumu, podążały przed komisarza, składając mu pokłon. A on stał nieruchomo, wpatrzony w te niezmierzone tłumy oddające mu cześć i czuł, że z każdą odchodzącą postacią odchodzi również dawny on.

...eksperyment dobiegł końca. Instytut przejęty, wszelkie funkcje podtrzymane...

Wszystko jak dawniej

Następnego dnia rano Chwiejczak i Wróżka siedzieli w biurze i wymieniali uwagi, że mają nadzieję na spokojny dzień bez morderstw, pobić i grabieży. Byli również zgodni co do tego, że mógłby ten Wątroba pójść sobie na L-4, bo mu się od dawna należy, nawet jeżeli nie jest chory, im zaś chwila świętego spokoju dobrze zrobi. Również dyżurny, pomimo że dopuścił już do siebie petentów, miał dziś łaskawy wyraz twarzy. Podniósł ocenę świata z „przejebane” na „znośne” i tego się trzymał.

Trzasnęły drzwi i do biura wpadł jak bomba komisarz, rzucił kapelusz na wieszak, powiesił płaszcz i usiadł przy swoim biurku, nerwowo bębniąc palcami o stół.

– Co nowego, Chwiejczak? – warknął.

– Melduję, że nic. Spokojny dzień, można nadrobić papierkową robotę – wydukał posterunkowy. Widząc zdenerwowanie pryncypała, wyciągnął z szuflady jakieś papiery i zaczął je segregować z zapalem godnym lepszej sprawy.

– A wy co? Nie macie nic do nadrobienia? – komisarz zaatakował z kolei Wróżkę, który widząc, co się święci, wymknął się czym prędzej do przedsionka z automatem z kawą, gdzie i tak spędzał większość czasu podczas normalnego dnia pracy. Wątroba zapatrzył się w przestrzeń.

– Aha, dzwonił ten pan doktor z uniwersytetu – dorzucił Chwiejczak. – Mówił, że ma jakieś rewelacje w sprawie Nowaka. Powiedział, że jeszcze zadzwoni.

– Słuchajcie, Chwiejczak! A co wy mi tu z jakimś Nowakiem? Macie swoje protokoły i tego się trzymamy. Jakiś doktor dzwoni, a ten już ma pretekst, żeby nic nie robić. Jeszcze raz zadzwoni, to opierdolić, postraszyć i wysłać na drzewo, a nie zamieszanie wprowadzać. Zrozumiano?

Nie ma chyba słów, które opisywałyby stan Chwiejczaka po tej tyradzie. Zdziwienie pomieszane z przerażeniem i wściekłością aż bulgotały pod spokojną

zwykle czaszką. Już miał wstać i wygarnąć chamowi, co on myśli o tych jego śledztwach i głupawych historyjkach o Stalinie i Bierucie, ale opanował się, mruknął: „tak jest” i wziął się na powrót do przerwanej pracy. Komisarz rozglądał się długo, sprawiając wrażenie, jakby nigdy wcześniej tu nie był i rejestrował każdy szczegół pomieszczenia, chcąc wszystko zapamiętać, wykuć na blachę. Chwiejczak śledził go spode łba i mełł życzliwe słowa pod wąsem. Natomiast dwie figurki Kataryniarza i Rycerza stały na stole i czujnie obserwowały zwalistego policjanta, co rusz wymieniając porozumiewawcze spojrzenia. One wiedziały, kim jest, same były nieżywymi, choć niemartwymi stworami. Komisarz spostrzegł wreszcie ich wlepione w siebie, badawcze spojrzenie, chwycił je gwałtownym ruchem, wepchnął do kieszeni.

– Ani słowa, bo was przetopię na opony, zrozumiano? Na razie zamieszkacie gdzie indziej.

Zrozumiały.

Zegar tykał, kukułka czekała na pełną godzinę, żeby się przewietrzyć, Chwiejczak szeleścił papierami, petenci awanturowali się za ścianą, co skłoniło dyżurnego do ponownego obniżenia rankingu świata. Wszystko było znów jak zwykle.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń
na każdy czytnik

Kryminał, w którym miesza diabeł.
Znowu spotykamy komisarza
Wątrobę (kuszonego),
posterunkowego Chwiejczaka
(niezłomnego) i nieśmiertelną
ławeczkową trójcę (Pająk, Marian i
Stalowy), która postanawia iść... do
pracy. Cud boży? Raczej szatańskie
sztuczki Nowaka.

tomasz mróz

przejście A8



tomasz mróz

szary cień



Mylne tropy, zjawiska paranormalne,
półświatek, którego życie
koncentruje się w miejscowym parku
– to sceneria powieści. Historia
dziwnego zgonu i jeszcze
dziwniejszego podejrzanego kładzie
się cieniem na życiu bohaterów,
komisarza Wątroby i
posterunkowego Chwiejczaka, nie
dając im spokoju przez lata.

Dobre ebooki
w dobrej cenie

szukaj na

www.rw2010.pl

lub w e-księgarniach

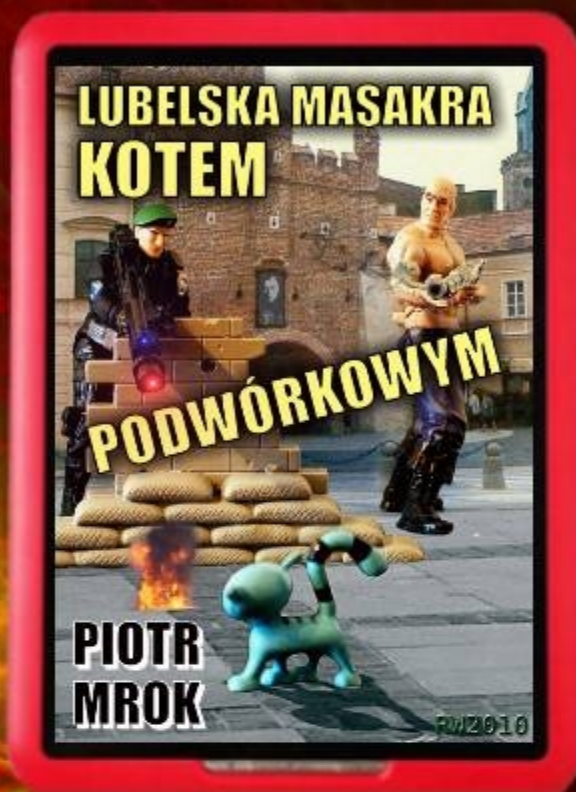
RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń
na każdy czytnik

Dariusz jest nastoletnim pisarzem. Ma głowę pełną marzeń, ale też kompleksów. Spotkanie z bratem w jednej z lubelskich kawiarni staje się dla niego początkiem obłądnej przygody. Na drodze chłopaka staje zakonnica i wielki gość w białym kapeluszu, przy którym Kuba Rozpruwacz to niewinna pensjonarka.



Zaprawdę istnieją książki, których nie należy czytać w miejscach publicznych, bowiem rżąc ze śmiechu i plując na czytnik, można samemu się narazić na ośmieszenie. Pisać o durnotach w sposób inteligentny nie każdy potrafi, ale autor *Księgi studenckiej*, Marcin Orlik – bez dwóch zdań posiadał tę umiejętność.

Dobre ebooki
w dobrej cenie

szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!